



BOLESŁAW LEŚMIAN

Klechdy polskie



BOLESŁAW LEŚMIAN
*Klechdy polskie**Czarny kozioł*

Na przednoku Walery Kiepas ujął ze czcią darowany mu przez córkę sędziego niedogodnie cienki ołówek i na kawałku szarego, spod zjedzonej przed chwilą kielbasy, papieru nakreślił przy pijanym blasku powiewającego płomieniem luczyna imię własne i nazwisko: Walery Kiepas.

Nauka, Słowo

Całość kreślił powoli i mozolnie, a każdą z osobna literę z nieobliczalną i niepochwytną dla siebie samego szybkością, jakby się bał, że mu się wymknie spod ołówka, zanim ją do papieru stępieniem nieco ostrzem raz na zawsze przygwoździć zdąży.

Czuł bowiem, że o ile całość nagromadza się stopniowo i mitrężnie, o tyle litery poszczególne, gmatwając się skocznie i w oczach, i w pamięci, albo przychodzą od razu, albo nigdy.

Musiał ich tedy i dopilnować, i odpowiednio zacząć się na nie, i wreszcie w chwili stosownej przyłapać.

Nauczycielka

Córka sędziego, szkoły w mieście świeżo ukończywszy, wróciła na stały pobyt do ojcowskiego domu i pewnego razu, podczas przechadzki zoczywszy¹ z dala nie znanego jej jeszcze Kiepasa, oceniła go na oko jako pole szerokie dla swobodnego rozwoju jej zamiarów społecznych.

— Niech się zabierze do roboty! — rzekła dość surowo, ze szlachetnym oburzeniem w głosie i w ruchu zniecierpliwionych widokiem nieuka ramion. — Nic mu to nie zaszkodzi.

I rzeczywiście — nic to Kiepasowi nie zaszkodziło. Sam nie wiedząc, jak i kiedy, posiadał mimo woli sztukę pisania i czytania i w nagrodę za pilność oraz pojętność otrzymał od córki sędziego długi i bardzo cienki ołówek, który w duszy kilkakrotnie do byliny² w polu przyrównywał, a który co dzień na samym dnie jedynego kufra ukrywał, tak że co dzień dla wydobycia ołówka cały kufer musiał starannie przetrzebić³.

Imię

Nakreśliwszy swe imię i nazwisko, odczytał głośno: Walery Kiepas, zdziwił się, jak to on sam na tym papierze wygląda, i wyszedł z chałupy.

Chciał pogodę na jutro w niebiosach wyczytać.

Niebiosy pogodne były tak, że gwiazdy wyosobniały się w nich i każda z kolei po swojemu śpieszyła się oczom ukazać.

Kiepas spode łba spojrzął na chałupę sąsiednią, w której mieszkał Tomasz Gryz, człek uparty i nieużyty.

Światło

Z chałupy Gryza przeniósł wzrok na jedyną we wsi latarnię, która naprzeciw jego własnej chaty sterczała i sztucznym światłem zmierzchłe liście brzozy pobliskiej odbarwiała na zielono, złoty im odcień i błaszany pozór nadając. Widno było w przejrzystym wnętrzu tej brzozy, niby w ołtarzu bocznym, gdy pierwsze świece skróconym płomykiem jarzyć się poczynają.

Własność

¹zoczyć (daw.) — zauważyć.

²bylina — roślina zielna.

³przetrzebić — tu: przeszukać, przetrzepać.

ufundowania i zatkwienia owej latarni w tym właśnie, bezludnym nieco miejscu, w pobliżu chaty Kiepasa, może pragnąc bezwiednie uczcić w ten sposób pamięć pierwszego swego zwycięstwa społecznego nad ciemną duszą chłopca.

Kiepas nieraz chępliwie doskwierał Gryzowi tą właśnie latarnią, jak gdyby jego wyłącznym stała się nabytkiem, a i Gryz, choć niechętnie, uważał ją, zda się, za nieodrodną własność Kiepasa.

Zresztą i chłopci we wsi nazywali ją zazwyczaj latarnią Kiepasową i chcąc określić miejsce, mówili: „Wedle latarni Kiepasowej” — albo: „Na prawo od latarni Kiepasowej”.

Nie mając innego, taki z niej dla siebie zrobili użytek.

Kiepas nie bez przyczyny ową latarnią oczy Gryzowi kłuł, chciał bowiem przed miesiącem jeszcze jedynaczkę Gryza poślubić, ale ten ostatni odmówił stanowczo i wyprawił córkę do miasta na wyrobek.

— Czemuś mi córkę sprzed nosa, jak te śmiecie zbyteczne, uprzątął? — pytał Kiepas i nos pocierał.

— Bo chciałem — odpowiadał uparcie Gryz.

— A czemuś mi jej nie oddał, zamiast do miasta, jak owcę głupią na kołowaciznę, gnać? — mówił Kiepas z wyrzutem w głosie i krzywiąc gębę, przedrzeźniał w ten sposób nie samego Gryza, jeno duszę jego, która w oczach Kiepasa tak mniej więcej w tej chwili wyglądała.

— Bo nie chciałem — odpowiadał Gryz krótko i beznadziejnie.

Wczoraj właśnie Kiepas Gryza na jarmarku spotkał. Gryz głaskał po grzbiecie kupionego przed chwilą kozła. Gryz był zadumany, a kozioł czarny.

— Kozła kupiłeś? — spytał Kiepas, uśmiechając się pogardliwie, bo ilekroć Gryza zaoczył, tylekroć już zawczasu pogardliwym się stawał.

— Kupiłem — odmruknął Gryz.

— Ileś dał? — zagabnął go ciekawie Kiepas.

Gryz powiedział, ile dał.

Kiepas, zawczasu śmiech nagromadzając, wybuchnął nagle tak, aby Gryz zgodnie z rachubą śmiechu głupcem się poczuł.

Nie zawiodła go ta rachuba.

Gryz śmiechu posłuchał uważnie i głupcem się poczuł.

— Kupiłem — powtórzył — ale chętnie bym odsprzedał, bo mi już niepotrzebny.

— Mnie odprzedaj! — zawołał Kiepas i okiem mrugnął.

Gryz spojrział w to oko i na wszelki wypadek odpowiedź, milcząc, odroczył.

— Pożałowałeś mi córki, więc kozła przynajmniej nie poskap! — napraszał się Kiepas i kozła nogą w brzuch łagodnie uderzył.

Kozioł ożywił się i spojrział w przeciwną stronę.

— Nie odprzedam! — postanowił nagle Gryz.

— Czemu? — spytał Kiepas, żal udając.

— Bo nie chcę — odparł Gryz.

— A przecież sam przed chwilą chciałeś — przypomniał mu Kiepas i kozła palcem, niby świadka, wytknął.

— Przed chwilą chciałem, a teraz nie chcę! — odpowiedział Gryz.

— Już mi się zdawało, że do domu z kozłem wrócę — rzekł Kiepas. — A teraz sam nie wiem, jak to będzie. No więc jakże? Wrócę do domu z kozłem czy nie wrócę?

Gryz zamiast odpowiedzieć, z kozłem w milczeniu do domu ruszył.

Wszystko to Kiepas pogardliwie sobie przypomniał, na chałupę Gryza spode łba po-
glądając.

Chałupa we mroku białymi ścianami majaczyła ruchliwie, jakby płócienne były i fałdowały się nieznacznie. A czasem znikła z oczu doszczętnie, aby znów się w całości odbudować i wynurzyć z głębin sadu, który w pobok niej gęstym zadrzewieniem na tle nieba ciemniał gałęziste — i już to niebu, już to chałupie bliższy się na przemian wydawał.

Od sadu i od chałupy cisza wiała swoista, płotem chruścianym od reszty milczenia nocnego wygradzona, tak że ją z dala mogłeś wyróżnić i wysłuchać z osobna.

Sąsiad

Pogarda, Śmiech, Drwina

Rozczarowanie

Ciemność, Noc

W chwili właśnie, gdy Kiepas najzłośliwszym zdźbłem zmrużonej źrenicy chałupę badał, drzwi jej rozwarły się nagle, wyskrzypując ciepło mrocznego wnętrza na świat, po nocy chłodniejszą.

Sam Gryz wyszedł z chałupy i przystanął tuż, w pobliżu.

Dziwnie on jakoś przystanął! — pomyślał baczny Kiepas. — Nie po swojemu i nie po zwyczajnemu, jakby udawał tylko, że przystanął, aby oczy ludzkie otumanić...

Gryz tymczasem ruszył z miejsca i skierował się ku latarni.

Latarnia rzucała na ziemię okrąg złotawy i targała nim nieustannie na strony, jakby go z kurzu chciała otrząsnąć.

Murawa w tym okręgu zieleniała po dziennemu, a jedyny i samotny rumianek zdawał się olbrzymieć niepomierne dzięki wybujałemu cieniowi, który odeń po murawie dłużył się bez końca, jakby to czynił z myślą o innej, nie znanej nikomu, a zgoła niebotycznej roślinie.

Gryz szedł ku latarni krokiem powolnym i na pozór niedbałym.

I chód ma jakiś odmienny! — miarkował podejrzliwie Kiepas. — Nigdy on tak nie chodził i nigdy tak nogami nie przebiera. Licho go wie, co za nogi ma teraz pod sobą. Może własne, a może nie własne. Wszystkiego się po nim spodziewać można, bo człek ponury i niewiadomy... Najczęściej milczy, a kto wie, co by powiedział, gdyby milczeć przestał. Pewno by coś takiego powiedział, że włosy na głowie dęba by stanęły.

Kiepas przeżegnał się zapobiegliwie i wzroku natężył.

Gryz szedł wciąż w tym samym kierunku i zbliżył się właśnie do latarni.

Ale, zaledwo w jej okręgu złotawym stanął, Kiepas za głowę się oburącz chwycił.

Ni mniej, ni więcej, jeno Gryz bez żadnej widomej przyczyny znikł z jego oczu. Ani znaku, ani śladu po sobie z rozmysłu pewno nie zostawił. A ma miejscu Gryza zjawił się kozioł czarny, jako zastępca nagły a nieprzewidziany.

Takie to on zajęcie dla siebie po nocy obmyślił! — zawołał w duchu Kiepas, do cna zgorzony. — Nie dość mu tego, że Gryzem jest na utrapienie własne i cudze! Chce mu się jeszcze od czasu do czasu dla rozrywki piekielnej w kozła się przerzucać!... Udawał przede mną, że kozła na jarmarku nabył, a pewno go z rąk czartowskich dla niegodnego użytku otrzymał... A może to nawet i nie kozioł był, jeno on sam w dwóch zarówno nikczemnych osobach!... Dobrze się stało, że kozła nie odkupił. Niech no ja teraz popatrzę, co ten kozioł pod latarnią uczynił!

Kozioł postął pod latarnią chwilę małą, równą tej, którą Gryz przedtem koło chałupy stojąco spędził, i opuszczając niespodzianie latarnię, ku chałupie Gryza się skierował.

Szedł krokiem powolnym i na pozór niedbałym, nieochajnie⁴ kręcąc zadem i powłócząc długą szerścią⁵, niby spódnicą postrzępioną.

Ledwo dotarł do chałupy, Kiepas od nadmiaru zwichniętego na umyśle zdziwienia rękami w powietrzu, jak wiatrak, bezładnie zatrzepotał. Kozioł znikł z jego oczu, niby starannie z oblicza ziemi zdmuchnięty, a na jego miejscu Gryz zjawił się pilnie — tym razem jako odmianek kozła.

Postał chwilę małą, odpowiadającą ściśle owej, którą kozioł przedtem koło latarni zwłókl, i machnąwszy dłonią, wszedł do chałupy i drzwi za sobą zatrzasnął.

Jakiś ty mądry! — pomyślał Kiepas z radością złowieszczą w duszy. — Córkę rodzoną do miasta z chałupy wyгнаłeś, aby ci tylko w twych wybrykach czartowskich nie przeszkadzała! Wiem teraz przynajmniej, z kim mam do czynienia! Nie wiem tylko, kto w twej chałupie główną i odpowiedzialną jest osobą. Czy ty, czy kozioł, czy oboje razem? Kto z was gospodarzy, a kto komu służy? Myślisz, że ci bezkarnie ujdzie twoja nocna w dwie osoby przechadzka i że nikt jej nie widział? Ciekawym, jak mi w oczy spojrzysz, gdy zapytam o to, co się na oczach moich stało!

I Kiepas krokiem zwycięskim zbliżył się do chałupy Gryza.

W chacie ciemność panowała i cisza.

Jeno w głębinie sadu mocował się ze sobą ledwo pochwytny dla ucha a mozolny szmer, jakby w nim po ciemku łódź samotna do brzegu nieznanego przybijała.

Kiepas twarz do szyby przywarł i nakryciem dłoni oczy postronnego światła pozbawił,

⁴*nieochajnie* (reg., z ukr.) — niechlujnie, niedbale.

⁵*szerść* (daw., reg.) — dziś popr.: sierść.

Tajemnica, Kłamstwo

Światło

Obcy

Czary, Diabeł

Przemiana, Czary

Przemiana

Czary, Sługa, Gospodarz

Okno

aby je z wnętrzem izby połączyć.

Ciemno było w izbie i nic wypatrzyć nie mógł, prócz bielejącej naprzeciwko ściany.

Udaje, że śpi! — pomyślał Kiepas. — Ledwo do chałupy powrócił, a już by właśnie zasnąć zdążył. Chce mi snem oczy spylić! Nie dam się!

I Kiepas pięścią w szybę uderzył.

Szyba zadygotała, jak w febrze, i zadzwoniła rżęsiście.

Nikt się na to dzwonienie z izby nie odezwał.

Jeszcze udaje! — pomyślał Kiepas zniecierpliwiony. — Nic mu teraz nie pozostało, jak tylko udawać i udawać... Niech mu przynajmniej to udawanie wedle sił utrudnię.

I znowu pięścią w szybę głośniej uderzył.

Jednocześnie niemal z powtórным uderzeniem na szybie od wewnątrz zarysowała się bezkształtnie spłaszczona twarz Gryza, lgnąca do szyby jak zakalec.

Twarz zresztą nic nie rzekła, zadawalniając⁶ się najzupełniej swym ścisłym do szyby przyłgnięciem. Kiepas z uciechą stwierdził w tej twarzy pytający wyraz kłopotliwej trwogi, lecz pomyślał, że lepiej po nocy sprawy drażliwej nie wszczynać i odroczyć do jutra odpowiedź na pytanie, które w tej twarzy, z nosem u samej szyby na bok przetrąconym, wyczytał.

— Jutro ci powiem, co dziś miałem do powiedzenia! — zawołał i dał znak ręką, że rozmowa poniekąd skończona.

Twarz z oburzeniem odkleiła się od okna i ze złością znikła w ciemnościach.

Domyśla się, że wiem wszystko! — rzekł w duchu Kiepas i powrócił do swej chałupy.

Maska

Nazajutrz, skoro świt, czatował już na Gryza, stojąc wytrwale w pobliżu jego sadu.

Gryz wkrótce wyszedł i spojrzął na szybę swego okna, jakby chciał sprawdzić, czy tkwi na miejscu. Kiepas też na szybę spojrzął.

— Czegoś chciał? — spytał Gryz mrukliwie.

— Niby to nie wiesz, czego chciałem? — odparł Kiepas, pomrugując okiem na Gryza.

Gryz nic nie odpowiedział, dając do poznania, że na słowa z gęby Kiepasowej czeka od niechcenia.

— Powiedz: wiesz czy nie wiesz? — spytał z mocą Kiepas i dłoń tak podniósł, jakby zamierzał nią targu dobić.

— Nie lechtaj mię słowami po próznicy, jeno gadaj wprost — odpowiedział Gryz i wąsa wargami, jak siana ze żłoba, poczerpnąwszy, przymiał go dość mocno, zanim znów na swobodę wypuścił.

— Co ty po nocy wyprawiasz? Hę? — spytał Kiepas i głową mu na szyi rozwahanej pogroził.

— Patrzę przez okno, kto mi szyby pięścią wygrzmaca — odrzekł Gryz i pięść Kiepasowi pokazał.

— A ja patrzę na to, jak się ty w kozła czarnego przemieniasz i zadem włochatym do gwiazd się mizdrzysz na oslep! — odparł Kiepas i splunął na łopuch, który w tej chwili pod nogami spostrzegł.

— Głupiś! — rzekł Gryz i na ten sam łopuch splunął niemal jednocześnie.

— Nie głupim, jeno oczy mam we łbie! — zaprzeczył Kiepas, obcasem łopuch oplwany dziurawiąc. — Może się zaprzesz tego, żeś po nocy z chałupy wyszedł?

— Wolno mi z chałupy wyjść — zauważył Gryz i z nieznacznym pokłonem chałupę wskazał.

— A może się zaprzesz tego, żeś wyszedłszy z chałupy, postął przy niej chwilę małą? — rzekł Kiepas i, przymarszczywszy lewego policzka, brew jednocześnie podniósł.

— I tego się nie zapieram — odparł Gryz, rozwachlarzając dłonie. — Kto z chaty wyjdzie, ten zazwyczaj koło niej chwilę małą postoi.

— A postawszy chwilę małą, nie skierowałeś kroków do mojej latarni? — spytał Kiepas, pośpiewując uszczypliwie i wysuwając naprzód dolną szczękę.

— Tego już nie pamiętam — odpowiedział Gryz i głowę z lekka odwrócił.

Pogarda

Sąd

⁶zadawalniać (gw.) — dziś popr.: zadowalać.

— Więc może i tego nie pamiętasz, żeś dotarłszy do mojej latarni, w kozła czarnego się przedzierzgnął? — zawołał zwycięsko Kiepas i ujął się pod boki.

— Głupiś! — powtórzył Gryz. — Pewno widziałeś i mnie, i kozła, i poplątałeś nas we łbie, w którym płacze się wszystko, cokolwiek się tam przedostanie. Kozioł do miejsca nowego nawyknąć jakoś nie chce, więc go już kilka razy z drogi nawracać musiałem. Zwichnęło ci się coś we łbie na ten widok i kwita. Znam twoje bajdy nie od dzisiaj i nigdy im ani ucha, ani wiary nie daję. Gadałeś mi przecie, żeś naszego wikarego na samym środku księżycy przyłapał na tym, jak pelerynę nieustannie to zrzucał, to wdziewał. To pewna, że księżyc był osobno na niebie, a wikary osobno na ziemi. A tyś wikarego do księżycy tak właśnie, jak mnie do kozła przyłapał. Nie mógł to wikary innego miejsca dla wdziewania i zrzucania peleryny znaleźć, jeno musiał aż na księżyc wędrować, aby tam to wszystko, coś mu wraz z peleryną przypisał, załatwić? I mało mu było księżycy, że sam środek jego wybrał?

Głupota

Księżyc

— Nie moja w tym głowa, a jego, czemu środek upatrzył, a okraje pominął — odparł Kiepas, spychając na wikarego wyłączną odpowiedzialność za wybór miejsca.

— Głupiś! — powtórzył znowu Gryz. — A drugi raz mi opowiadałeś, że sędzina, w kokoszę czarną przeobrażona, dziobem do twej szyby kołatała, upraszając pilnie o pozwolenie znieśienia jaja w twej izbie.

Prawda, Kłamstwo

— I pozwoliłem! — zawołał Kiepas, podnosząc palec do góry i przytaczając swe pozwolenie na dowód, że i reszta zdarzenia tak samo była prawdziwa i rzeczywista.

— Głupiś! — rzekł Gryz. — Tak samo jej twoja izba do znieśienia jaj była potrzebna, jak tobie to jajo do twej opowiadanki durnej! A przyparty do muru upewniałeś na domiar, że czarne było, nie białe.

— To już jej rzecz, nie moja, dlaczego czarne, a nie białe zniosła — zauważył pośpiesznie Kiepas, spychając tym razem na sędzinę wyłączną odpowiedzialność za wybór koloru.

— Głupiś! — zawrzasnął Gryz i ujrawszy w oczach Kiepasa jakieś zaprzeczenie, wdrygnął się bezsilnie całą swoją osobą.

Kiepas ręką machnął.

— Co wiem, to wiem, i nikt mi tego nie odbierze — odparł spokojnie w poczuciu podejrzanej dla Gryza słuszności.

— Co wiesz? — spytał Gryz.

— A to wiem, że masz z diabłem konszachty — rzekł Kiepas i wytknął palcem rozwarłe oburzeniem oczy Gryza.

— Nie rzucaj mi obelg w twarz, bo cię kiedyś w pysk za to lunę! — odparł Gryz i odwróciwszy się, wszedł z powrotem do chałupy.

Poczekaj no, bratku! — pomyślał Kiepas, pięścią odgrzając się już nieobecnemu Gryzowi. — Niech no tylko noc nastanie, a sprawdzę, kto z nas ma słuszność. Na pewno cię będzie twoja chętką czartowska korciła. Nie wytrzymasz i znów swą przemianę kozłatą wedle układu z diabłem odrobisz!

Noc nastała i o tej samej, co poprzedniej nocy, godzinie Gryz się z chałupy wyłonił.

Nie wytrzymał! — pomyślał Kiepas, dech w piersi tamując.

Gryz postął chwilę małą i ku latarni swe kroki skierował.

Zaledwo do latarni się zbliżył, a pierzchnął z oczu Kiepasa. Na jego miejscu powstał kozioł czarny.

Kiepas sznur, zawczasu przygotowany, na szyję kozła zarzucił i do latarni go przywiązał. Kozioł z lekka przekrzywił na bok głowę i znieruchomiał.

Kozła mam, więc i jego mam. Ciekawym, co teraz uczyni? — pomyślał Kiepas, patrząc na kozła tym wzrokiem, którym zazwyczaj Gryza obdarzał. Ledwo to pomyślał, a Gryz z chałupy wyszedł.

A to ci bestia! — zaklął w duchu Kiepas. — U latarni stoi uwiązany, a jednocześnie z chałupy wychodzi! A może to nie on, jeno ktoś trzeci? — zdjął go strach lekki.

— Kto tam? — zawołał, patrząc na zbliżającego się Gryza.

— Czy ślepy jesteś, że nie widzisz? — odparł Gryz. — Znów mi kozioł z zagrody uciekł.

— Niby to nie wiesz, co się z twym kozłem dzieje? — rzekł podejrzliwie Kiepas.

— A co się dzieje? — spytał Gryz.

— Do latarni go przywiązałem — odpowiedział Kiepas z przebiegłym uśmiechem.

— Nie masz tam śladów od sznura na szyi?

— Głupis! — odrzekł Gryz i kozła odwiązał.

— A ja co twierdzę, to twierdź! — rzekł Kiepas z mocą.

— Co twierdzisz? — spytał Gryz.

— A to właśnie twierdzę, że z diabłem konszachty masz! — odparł Kiepas i kozła kolanem szturchnął.

— Nie miotaj mi obelg w twarz, bo cię kiedyś w pysk lunę — przypomniał mu Gryz i z kozłem, tłocząc się o jego boki, do domu wrócił.

Kiepas milcząc, wzrokiem pogardliwym do końca go odprowadził.

Następną noc powtórzyło się to samo zjawisko.

O godzinie, z góry Kiepasowi wiadomej, Gryz wyszedł, jako zawsze, z chałupy.

Postał chwilę małą i ku latarni wolnym krokiem podążył. Zaledwo w jej pobliżu się znalazł, a znikł swoim zwyczajem z oczu Kiepasa, ustępując miejsca zjawionemu znikąd kozłu.

Kiepas krokiem stanowczym zbliżył się do kozła i w oczy mu zajrzał uporczywie.

— Tomaszu? — rzekł porozumiewawczo, z naciskiem imię Gryza sylabizując.

— Czego chcesz? — zapytał kozioł, ku niewielkiemu zresztą zdziwieniu Kiepasa.

— A więc ty wiesz, że ci Tomasz na imię? — zawołał z tryumfem Kiepas, jakby kozła na gorącym uczynku przyłapał.

— Wiem i nie zapieram się tego — odparł wyraźnie kozioł. — *Nigdy nie wiadomo, co za stworzenie pod powłoką ludzką na świat przychodzi.* Każdy z niej dla siebie i po swojemu korzysta. To tylko pewna, że właściwy jej użytek jest dotąd jeszcze nie znany nikomu. Stąd tyle pomyłek i stąd owo nieustanne zrzucanie w ciemność tej luźnie lub samozwańczo, lub wreszcie na opak przywdzianej powłoki, co zazwyczaj śmiercią się nazywa, a co ma pozór dość niedorzeczny, jak gdyby nie osoba przyodziewku, jeno przyodziewek osoby stosownej poszukiwał i znaleźć jej nie mógł. I częstokroć się zdarza, iż przyodziewek bezprawnie przywłaszczony niecierpliwi się i marszczy na osobie źle dobranej, co znów się starością nazywa, a co ma też pozór dziwaczny, jak gdyby nie odbiorca majstrowi, lecz majster odbiorcy zły krój zarzucał. Nie wiem, czyli owo zrzucanie w ciemność i niecierpliwienie się powłoki ludzkiej na osobie, która ją przywdziała, jest koniecznością nieuniknioną, to wszakże wiem, iż pewnego razu sam Bóg pod tą powłoką na świat i jego sloty przyszedł, i wątpię, aby wspomniany przyodziewek, osoby poszukujący skwapliwie, godniejszego i właściwszego dostąpił użytku.

To powiedziawszy, kozioł czarny odwrócił się tyłem do Kiepasa i skierował się ku chałupie Gryza.

Kiepas w ślad za nim podążył, dziwiąc się w duchu, że tym razem kozioł i większy jest na oko, i poważniejszy, i uroczystszy.

Zaledwo wszakże razem do chałupy Gryza się zbliżył, kozioł, nie zwlekając ani chwili, zniknął dość wprawnie z oczu Kiepasa i, zamiast pustki, samego Gryza po sobie na miejscu zniknięcia pozostawił.

Kiepas do Gryza się zbliżył i w oczy mu zajrzał uporczywie.

— Kozłem uparty — rzekł porozumiewawczo, z naciskiem wyrazy sylabizując.

— Czego chcesz? — spytał Gryz.

— A więc ty wiesz, że ci kozioł uparty na imię? — zawołał z tryumfem Kiepas, jakby Gryza na gorącym uczynku przyłapał.

— Wiem i nie zapieram się tego — odparł wyraźnie Gryz. — *Nigdy nie wiadomo, co za stworzenie na świat pod ludzką powłoką przychodzi.* Raczej ty byś się zapierał, gdybym cię osłem dla przykładu nazwał, a wszakże, gdybym jeno chciał, mógłbym w tobie nic prócz osła nie widzieć.

Imię

Ciało, Starość, Śmierć,
Strój, Kondycja ludzka

Chrystus

— A czemu nie widzisz? — spytał ciekawie Kiepas.
— Bo nie chcę! — odparł uparcie Gryz.
— Na przekór mnie, czy na przekór sobie? — dopytywał się Kiepas.
— I tobie, i sobie na przekór! — odpowiedział Gryz.
— A ja co widzę, to widzę! — zawołał Kiepas i dłonią w pierś się uderzył.
— Co widzisz? — spytał Gryz, w tę dłoń ukosem wpatrzony.
— A to właśnie widzę, że z diabłem konszachty masz — odparł Kiepas, wydłużając ku niemu szyję i łokcie w tył cofając.
— Poniechaj obelg, bo cię kiedyś w pysk lunę! — odrzekł Gryz i odwróciwszy się do niego tyłem, wszedł do chałupy.

Następną noc powtórzyło się to samo zjawisko.

O godzinie, którą Kiepas za umówioną uważał, Gryz z chaty się wyłonił. Postał chwilę małą i w stronę latarni się udał.

Zbliżywszy się do niej, znikł umiejętnie, przekazując opróżnione miejsce pośpiesznie zjawionemu kozłowi.

Kiepas czekał właśnie na tę chwilę i jednym susem kozła dosięgnąwszy, grzbiet jego wełnisty okraczył.

Opowiadał potem, że kozioł czarny, jak zwierze nie z tego świata, poniósł go w dalekie pola i lasy, których opis niezmiernie dziwił słuchaczy, jako zgoła niezgodny ze znanymi im naokół miejscowościami.

Tak czy owak, Kiepas konno na kozle niezły kawał drogi ujechał, nogami włócząc po ziemi, a kończyną własnego grzbietu kłócąc się dotkliwie ze grzbietem na przełaj skaczącego kozła.

Właśnie galopował zuchwale po jakichś jarach, których rozpoznać w biegu nie mógł, gdy nagle zoczył z dala idącego mu naprzeciw Gryza, i widokiem jego wykołejony, osiadł znienacka na ziemi, uczuwszy przesadnie wielką próżnię pomiędzy kolanami, które kozła z uwięzi ściślej wypuściły.

Gryz ramiona w porę rozkrzyżował i kozła, który poskokami utratę zmysłów zdradzał, pochwycił i dłonią silną okiełznał.

Kiepas się z ziemi nie podnosił, upadek swój w rodzaj spoczynku trafnie przedzierzgał.

Upadek

Gryz z kozłem zbliżył się do niego.

— Czemu chudobę mi dręczysz? — zapytał.

Kiepas na piasku pierwszą literę swego nazwiska kreślić zaczął, lecz nie dokończył.

— Czemu chudobę mi dręczysz? — powtórzył głośniejszym głosem Gryz.

— Tyłem ją udreńczył, ile ona i mnie udreńczyła — odpowiedział Kiepas, sapiąc moczolnie.

— Kto ci pozwolił kozła pod wierzch zażywać? — dąsał się Gryz i kozła pchnął przed same oczy siedzącego na ziemi Kiepasa, aby mu pokazać, jak zwierzę po jeździe wierzchowej wygląda.

Wyglądało oplakanie.

— Nie o kozłą skórę, jeno o własną ci chodzi — rzekł Kiepas, uśmiechając się chytrze.
— Sam się tą jazdą zmęczyłeś, a kozła do oczu mi pchasz dla niepoznaki. Albo ja wiem, który z was — człek, a który — kozioł?

— Głupiś! — odrzekł Gryz.

— Zły jesteś, żem cię pod sobą kawał czasu miał i żem na twym karku kawał świata ujechał! — odparł zwycięsko Kiepas.

— Głupiś! — powtórzył Gryz.

— A może ci twą kozłą odmianę tak postrzepilem i poniszczyłem, że ci się w nią teraz wystroić już niesporo — domyślał się Kiepas.

— Głupiś! — wrzasnął Gryz, nateżając szyję, jakby ją chciał do cna wyżyłować.

Kiepas zamilkł na chwilę.

— A ja co myślę, to myślę — odezwał się po chwili milczenia i grudkę ziemi, w palcach wygniecionej, cisnął za siebie.

— Co myślisz? — spytał Gryz, głosem zawczasu zdławionym.

— A to myślę, że z diabłem konszachty masz — odparł Kiepas i powstał z ziemi stanowczo. Kara, Groźba

Gryz milcząc w pysk go lunął.

— Jeżeli jeszcze raz tę obelgę powtórzysz, w pysk cię lunę — rzekł, dłoń o grzbiet kozła pocierając.

— A przecież mnie już lunąłeś? — zauważył prawdomównie Kiepas.

— Tym razem na pogroźkę cię lunąłem, a drugim razem lunę cię na pokaranie twej gęby zuchwałej — wytłumaczył Gryz.

Pogroźki otrzymanej Kiepas się nie uląkł, ale obietnica kary niemile go dotknęła.

— Nie będę ci dokuczał, jeśli i ty mnie dokuczać nie będziesz — rzekł z nagłym wybuchem szczerości. Sprawiedliwość

— Jakże ci to dokuczam? — spytał Gryz.

— Dokuczasz mi tylekroć, ilekroć w obecności mojej twierdzisz, że niby *nie wiadomo, co za stworzenie na świat pod ludzką powłoką przychodzi*. Mąci mi się w głowie od tych wyrazów, a ten zamęt dręczy mnie więcej, niżli ja kozła twego udręczyć zdążyłem. Kozioł mię bowiem zrozumiał, a ja tych wyrazów zrozumieć nijak nie mogę.

Gryz obiecał, że nigdy wobec Kiepasa zdania tego nie wygłosi. I dotrzymał słowa. A i Kiepas słowa dotrzymał i nigdy mu już odtąd kozła nie okraczył.

Jan Tajemnik

Chadzał ongi po ziemi Jan swego nazwiska, Tajemnikiem zwany, bo ludzi unikał, na drzewa się boczył i figury przydrożne omijał. Najchętniej po lasach samotnikował, włośćką trudząc duszę i nogi. Duszę miał skrytą, a nogi — bose, że to mu los półzłotka na buty poskąpił. Samotnik

Ilekroć bosą stopą ziemi zmacał, tylekroć sercem butów dla się zapragnął. Stąpi po ziemi — i zapragnie, zapragnie i znowu stąpi. Tyle jego, co zapragnie, a w pragnieniu był bardzo nauczny. Głodnemu chleb na myśli, a bosemu buty. Noga nieobuta — we śnie szuka buta. Sen, Strój

Umiał Jan-Tajemnik takie buty czasami wyśnić po nocy, że nie wiedział nawet, jak je wzuć na nogi, snem dostatnim zaszczycone. Miewał bowiem z łaski snu onego i srebrne, i zgoła złote obuwie, które nad ramię pierzchało, jak wszelka inna mara, co to z nią człek we śnie poprzestaje.

Pewnego razu wracał Jan-Tajemnik z lasu do wsi.

Noc była na świecie, noc ponad światem, a i dalej poza światami noc była pewnoć ta sama, a nie inna, bo i po cóż by się miała odmieniać i różnić, kiedy ją jednaka wola Boża z jednakiego wszędy utkała zasępienia. Noc

Księżyc toczył się po obłokach, jakbyc go właśnie srebrnymi szprychami napierzył, żeś ledwo turkotu jego w niebiosach samochcąc nie dosłyszał. Księżyc

A na ziemi cisza rozmaita: brzoza — w brzozach, topolowa — w topolach, a płacząca — w wierzbach płaczących. A owa płacząca tak się jakoś ku ziemi chyliła, jakby kto nowym grzebieniem warkocze jej odwieczne rozczesywał. Wszystko zasię niewidzialne — i grzebień nowy, i warkocze odwieczne, i ten, kto rozczesywać raczył... Cisza

Jan-Tajemnik, bocząc się na drzewa i spode łba ciszę rozważając, zbliżył się do młyna popod wioską.

Młyn był stary, popsuty i bezużyteczny.

Coś w nim skrzypiało po nocy pilnie i pracowicie, niby z nawyku i z nałogu, którego pozbyć się nie chciał.

Światło księżycowe zieleniało na nim, krusząc się po sękach i strzępiąc się po zadrach. Popod młynem — staw i grobla przegniła.

Jan-Tajemnik spojrzął na młyn i przystanął, jakby go coś tknęło.

Księżyc, stopy jego bose światłem z mroku wyławiając, położył na lewej talara ku ozdobie, a na prawej — dukata ku pociesze. Księżyc, Światło

Spojrzał Tajemnik na ową ozdobę i na ową pociechę. Jedna mu się w oczach zasrebrzyła, druga zazłociła, a on stał nadal, siłą nieznaną do miejsca przykuty. Przykuło go i nie puszczało.

Stoi i patrzy. To na nogi własne zerkanie, to na młyn spojrzenie przerzuci. Oczy mu się, widać, w onej przestrzeni pomiędzy bosymi stopami a popsutym młynem zbłąkały, że ich zowąd nie mógł nijak wybląkać.

Patrzył tak długo, aż się i czegoś dopatrył. Ni mniej, ni więcej, jeno na kole młyńskim ktoś siedzi i z kolei patrzy tak samo, jakby mu się patrzeniem odwzajemniał. To na młyn zerkanie, to na stopy Tajemnika spojrzenie z młyna przerzuci.

Nie to zdziwiło Tajemnika, że ktoś wbrew zwyczajom ludzkim na kole młyńskim siedzi, jeno to, że mu się patrzeniem tak starannie odwzajemnia.

Nic, jeno patrzy i poziera, i zerka, i ogląda.

Pewno ślepy się urodził i przejrzał niedawno — pomyślał Tajemnik.

A ów, co na kole młyńskim się utrwalił, uśmiecha się i głową kiwa, jak po starej znajomości.

Księżyc mu się na gębie uśmiechniętej wyiskrza, a on owo wyiskrzenie językiem co chwila zlizuje smakowicie, niby jaką omastę, i znowu patrzy. Zniecierpliwil się Tajemnik, bosą stopą o ziem uderzył i zawołał:

— A cóżeś ty za jeden, u kaduka?

— Piórkowski jestem, iż się tak wyrażę! — ozwał się ów z młyna i w oka mgnieniu sfrunąwszy z koła samowicie, zakrzętnął się kędyś w powietrzu i stanął tuż przed Tajemnikiem.

Zmiarkował zaraz Tajemnik, że z diabłem ma sam na sam do czynienia, ale strachu nie doznał.

Piórkowski skłonił się i dłoń na powitanie wyciągnął. Dłoń z pozoru ludzka, lecz nazbyt kosmata.

Namyślił się Tajemnik i po żmudnym namyśle dłoń podaną uściskał, aby diabła bez potrzeby nie urazić. Uściskał i po raz wtóry strachu nie doznał.

— Cóż wy tu we młynie robita, panie Piórkowski? — zapytał po dobremu, aby milczenie przykre słówkiem stosownym przerwać. — Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z diabłem zawsze... Markotno mi jeno, że na wasz widok strachu należnego sercem zgola nie pokosztował, ażem się brakiem onego strachu dwakroć zatroskał, boć to tak, jakby gębem zabrakło splunięcia, gdy się nieszczęsnym trafem pomyjami, zamiast gorzałką, oraczy⁷.

Mówiąc to Tajemnik splunął na stronę, lecz natychmiast bosą stopą plunięcie na ziemi zatarł, aby w ten sposób zatrzeć niemile wrażenie, które mógł na diabła ów uczynek poniekąd wyrzucić.

Piórkowski udał, że splunięcia ani widzi, ani słyszy, choć głośnie było i znaczne. Uśmiechnął się i rzekł:

— Nie wiem, czyli diabeł z człowiekiem zawsze się schodzi, aleć to wiem na pewno, że bosa noga czasem z butami się styka, aby się w nie przyoblec, jak przystoi. Odkąd po świecie samopas dla własnej przyjemności się włóczę, nigdym jeszcze tak bosych nóg, jak te twoje, nie spotkał! Bo, mówiąc między nami, ani one buta, ani but ich nigdy nie obarczył. Siedziałem tu — na kole młyńskim i myślałem właśnie o nich, ile że o niczym innym myśleć jakoś nie chciałem.

— A cóżeście o nich myśleli, panie Piórkowski? — zapytał ciekawie Tajemnik, kciukiem prawej nogi złościąc wprawnie ziemię, zwilgotniałą od rosy.

— Myślałem, że one butom, a buty by się im przydały.

— To prawda! — westchnął Tajemnik, pocierając stopą o stopę.

— Mam ja dla ciebie na widoku parę butów niezgorszych — rzekł nagle Piórkowski i ściszył głos. Ściszył głos i zbliżył się do Tajemnika. Wydało się Tajemnikowi, że i w nim się głos zawczasu ściszył, choć go jeszcze nie spróbował, jeno trzymał gdzieś w piersi na pogotowiu.

— Jakież to buty? — rzekł wreszcie, przysłuchując się własnemu głosowi. Głos był rzeczywiście ściszony.

⁷oraczyć się — uraczyć się.

Wzrok

Spotkanie

Diabeł

Strach

— Czerwone! — szepnął Piórkowski i mrugnął lewym okiem.
— Czerwone! — powtórzył Tajemnik i też mrugnął lewym okiem, a jednocześnie uczuł, że mu się w tym rozmruganym oku coś zaczerwieniło i zabłysło, jakby ktoś podkówkami ognia skrzesał, a ogień potrwał jedno mgnienie i zgasł.
— Wyście to ognia skrzesali? — spytał nagle Tajemnik.
— Nie ja — odrzekł Piórkowski.
— A kto? — spytał znowu Tajemnik.
— A o jakim ogniu mowa? — mruknął niechętnie Piórkowski.
Nie umiał Tajemnik opowiedzieć dokładnie, o jakim ogniu mowa. Zaplątał mu się język — i zamilkł. Piórkowski też zamilkł.
Obydwaj pomilczeli przez chwilę.
Pierwszy przerwał milczenie Piórkowski.
— No więc jakże? — zapytał. — Pragniesz tych butów?
— Pragnę!
— Całym sercem?
— Całym sercem!
— Całą duszą?
— Całą duszą!
— I całym rozumem swoim?
W tym miejscu Tajemnik zapóźnił się nieco z odpowiedzią i drożąc się, utkwiał tym rozumem w jakowymś namyśle.
— A czy na pewno czerwone? — zapytał wreszcie, badawczo zazierając w ślepie Piórkowskiemu.
— Na pewno! — zawołał Piórkowski.
— Tedy pragnę ich całym rozumem swoim! — odpowiedział Tajemnik. — Powiedzcie mi jeno, gdzie są owe cuda?
— Poczekaj, bratku! — odrzekł, drożąc się z kolei, Piórkowski. — Zanim powiem ci, gdzie są, musisz mi wprzód zapłacić za zdradzenie nikomu niewiadomej tajemnicy.
— Czymże ja wam zapłacę, panie Piórkowski? — zakłopotał się Tajemnik. — Nic nie mam ani przy duszy, ani przy ciele!
— Mieć — masz, jeno, widać, skąpisz — zauważył Piórkowski i serdecznym palcem wskazał talara na lewej, a dukata na prawej nodze Tajemnika. Leżały tam bowiem dotąd tak, jak je księżyc był położył.
Uśmiechnął się Tajemnik i rzekł:
— Bierzta ów dobytek, jeśli wam się widzi, ale go zagarnijta własnoręcznie, bo ja bym tam tego zgarnąć nie potrafił.
Przycupnął Piórkowski do ziemi, a Tajemnik ze zdziwienia gębę na oścież rozwarł, widząc jak diabeł kosmatą dłonią zdjął talara z lewej, a dukata z prawej nogi, obejrzał je pilnie, zważył na dłoni, zadzwonił nimi w powietrzu i wsunął do kieszeni.
— Dobre? — spytał Tajemnik, z podziwu wybrnąć jeszcze nie mogąc.
— Dobre! — odrzekł Piórkowski z zadowoleniem. — Bywa tak czasem, że gdzie księżyc się zasrebrzy, tam się talar uzbiera, a gdzie się zazłoci, tam się dukat uciula. Tak czy owak — targ ubity! Powiem ci teraz, gdzie znajdziesz parę butów czerwonych. Bywałeś w tym borze, co na prawo od rozstaju?
— Bywałem.
— Idźże tam jutro w nocy, bo jutro noc Zmartwychwstania.
Ugryzł się diabeł w język, wymawiając to słowo, a Tajemnik na dźwięk tego wyrazu pomyślał, iż wypada mu wobec diabła znakiem krzyża świętego swoją powłokę doczesną pokrzepić. Wzniósł więc dłoń do góry i zaczął: „W imię Ojca...” — lecz nie chcąc diabła płoszyć i dręczyć bez potrzeby, dłoń wzniesioną zatrzymał w powietrzu ponad czołem.
Piórkowski spode łba zerknął na dłoń powstrzymaną, co tkwiła jeszcze w powietrzu, jakby zadumana o tym, czy jej po drodze, czy z drogi.
Udał, że nie rozumie tego ruchu, co się tak wielmożnie zapoczątkował, zmarszczył jeno brwi i rzekł pośpiesznie:
— Będę ci ojcował w twej wędrowce po ziemi, tylko opuść dłoń i słuchaj dalej, coć powiem.
Tajemnik dłoń opuścił i słuchał.

— Jutro noc Zmartwychwstania — powtórzył Piórkowski. — W tę noc skarby zakłete wydobywają się z ziemi na powierzchnię, aby się przesuszyć. Płoną słabym, błękitnym płomykiem, który się to nieci, to gaśnie, wedle swej potrzeby i wedle swego zamysłu.

O samej tedy północy wnijdź do boru z motyką za pasem. Patrz uważnie, który skarb największym ogniem płonie. W tym miejscu kop a kop, aż się dokopiesz zamku, który się Przed wiekami zapadł w podziemia.

U stóp zamku stoją buty czerwone. Są one własnością pana owego zamku, alic pan ów jest dzisiaj jeno upiorem. Nie wolno ci do zamku wniść bez tych butów. Wzuj je co prędzej na nogi, lewy but na prawą nogę, a prawy — na lewą, bo takie jest ich przyrodzenie i taki porządek po śmierci. Co na ziemi — lewe, to pod ziemią — prawe, i na odwrót. Obuty w ten sposób idź śmiało do wnętrza zamku, a znajdziesz tam skarby zakłete. Pamiętaj jeno, abys wracając, nie zapomniał butów zzuć i na dawnym miejscu popod zamkiem należycie ustawić: but lewy po prawej stronie, a but prawy — po lewej. Niech ci nawet w głowie myśl taka nie postanie, aby buty, z tamtego świata wydobyte, sobie przywłaszczyć, bo nie przystoi w takich butach po ziemi chodzić. A choć czerwone — nie bądź na nie łasy. Pozwól im się i nadal pod ziemią czerwienić, bo co podziemne — to nie twoje. Aż nazbyt zadość twym bosym nogom uczynisz, udzielając im przygodnego w onych butach schronu na czas pobytu twego w podziemiach. Chciałem ci ojcować w twojej wędrowce, ale w tej chwili właśnie, napatrzywszy się do syta twej gęby, rozmyśliłem się i poniechałem dobroczynnego zamiaru. Zbyt podłego jesteś pochodzenia i zbyt, pomimo przydomku, nieznanego nazwiska, abym miał cię usynowić i ojcowaniem dookoła ciebie się zatrudniać. Sam sobie ojcu i bywaj zdrów!

Domówiwszy tych wyrazów, wyciągnął Piórkowski z niegodnej badania kieszeni tabakierę złotą, w najlepszym razie — skradzioną, a w najgorszym przez jakiegoś piekielnego złotnika w dniu imienin ofiarowaną mu na pamiątkę.

Uderzył po niej palcem kosmatym tak głośno, jakby odsłonięcie zatajonej we wnętrzu tabaki nie mogło się obyć bez jakiegoś pomnikowego — szalonej pamięci — pioruna, otworzył ją wreszcie i z wielkim znawstwem ujął w dwa palce spory niuch jedwabistego miąu. Owym niuchem szczerze wyposażył swój nochal, dosyć pojemny, i kichnął zapamiętałe na cztery strony świata, tedy więc na wschód, na zachód, na północ i na południe.

Pokrzepiony kichnięciem, znikł przed oczu stropionego nieco Tajemnika. Znikł tak nagle i tak usilnie, że Bogu ducha winne powietrze, owym zniknięciem wstrząśnięte, drgało jeszcze i dygotało przez chwil kilka, jakby je zimnica opadła. A wdał się w nie — po zniknięciu Piórkowskiego — zapach dymu, siarki tudzież — z pominięciem tabaki — ów zawiew przykry, który się zawsze zdąży uzbierać w miejscu, kędy się diabeł zbytnio zadomowił, a który ponoć w potach diabelskich ma swą przyczynę nikczemną.

Przynagliło go! — pomyślał Tajemnik. — Spieszno mu było do mnie, ale i ode mnie również było spieszno.

Nazajutrz, skoro noc Zmartwychwstania nastąpiła, pobrnął Jan-Tajemnik do lasu, co na prawo od rozstaju, i tam pod lasem północy się cierpliwie doczekał.

O samej północy wniknął do gęstwiny leśnej, macając co chwila motyki, którą miał za pasem.

Dziwno i straszno ujrzeć noc Zmartwychwstania w niebiosach, gdy gwiazdy, ostrzami wbite w ciemnotę, jarzą się tak, że widać poza nimi strumieniące się nieustannie powietrze, którym nikt jeszcze nie oddychał, a którego świeżość i głębię studzienną węższą nozdrza, spragnione powiewów ożywczych.

Dziwniej wszakże i straszniej ujrzeć noc Zmartwychwstania po krzewach leśnych, po jarach i parowach, gdzie i duszno jej, i ciasno, i niewygodnie. Dziwniej i straszniej, bo ma się ją tuż — blisko, tuż — obok na samochojącym dosiężeniu...

Idąc, wyciągnął Jan-Tajemnik przed się swe dłonie grzeszne i dotykał nimi krzewów, jakby chciał zawieruszony w nich mrok tej nocy ugłaskać i oswoić, bo czuł, że gniewna była i o nim zadumana...

Święto, Zmartwychwstanie,
Skarb

Zabobony

A i on miał ją na myśli. Miał na myśli to noc ową, to buty czerwone. To buty czerwone, to skarby zakłète. To znów noc ową... I tak wciąż na przemian.

W końcu zaś zapomniał o wszystkim, prócz butów czerwonych. Rozpanoszyły się one w jego zamysłach ukrytych i tkwią tam jeden obok drugiego, i czerwienią się dobrane, maściste, chodziwe, a tak, zda się, do tańca pochopne, że pokaż im jeno skrzypki, a pewno w miejscu nie ustoją...

Ledwo to pomyślał, a nagle gdzieś na uboczu ukazał się płomyk błękitnawy.

Zrozumiał Tajemnik, że to jeden ze skarbów zakłetych wydobył się spod ziemi na powierzchnię, aby się przesuszyc. Uprzykrzyła mu się wilgoć podziemna, więc płonie teraz z ochotą i przesypuje się garściami, i przesusza. Płonie dorywczo — z przestankami, bo mu widać trudno swą zwilgotniałą zawartość rozżarzyć. To zatli się, to zgaśnie na chwilę, aby znów się zatlić.

Doznam strachu czy nie doznam? — pomyślał Tajemnik, lecz strachu i tym razem nie doznał. Takie już było jego przeznaczenie, że mu strach na drodze do złego nie stawał. Poszedł wprost w kierunku owego płomyka, aż tu nagle i drugi płomyk się ukazał, i trzeci, i czwarty.

Cały las zbłękitnił się zjawionymi płomykami, aż zaroilo się w nim od tych migotów zakłetych, bo w całym lesie odbywało się teraz pośpieszne i pracowite przesuszanie się skarbów, że to wszystko, znużone długim leżeniem i przesiąknięte wilgocią, wypełzło tłumnie z nor podziemnych, niby robactwo, stopą Bożą pominięte, a dłoniom ludzkim nie zawsze dostępne. Pomimo wrzenia tej pracy pilnej i w sobie skupionej, nie było w lesie słycać nic, prócz wydechu ziemi parnej i tego piętrzenia się wśród drzew ciemności, która się zмага z własnym nadmiarem.

Tajemnik oczy wytrzeszczył, aby zbadać, który z tych skarbów największym tli się płomykiem. Patrzy i wnioskuje.

Łatwiej mu patrzeć niżli wnioskować, bo tyleż w lesie płomyków, ile w głowie wniosków. Ale go żadna trudność nie przeraża. Nic, jeno wnioskuje i wnioskuje.

Na pewno by ze zbytnej zadumy skołowaciał albo i kręćka jakiego przy sposobności nabył, gdyby mu sam przypadek z pomocą nie przyszedł.

Tuż nieopodal jego stóp bosych ziemia się zakolysała, jako ta woda w cebrze, i wytrysnął z niej na powierzchnię skarb obfity.

Nie tyle nawet wytrysnął, ile się jakoś ciszkiem a chyłkiem znikąd wygramolił, jakby mu kto drabinę dla ułatwienia onej podróży użyczył.

Rozgościwszy się na powierzchni ziemnej, zatlił się tak sutym płomykiem, że wszystkie inne wobec tego zmalowały, i jał się przesypywać tak zapamiętałe, żeś w onym rojeniu się i zgiełku nie mógł rozróżnić talarów od dukatów, choć jedne i drugie migotały rześście w świetle błękitnawym.

Ten ci się przesusza, jakby nic innego przez całą wieczność nie robił! — pomyślał Tajemnik, przyglądając się błyskotliwym a niepochwytnym wirowaniom srebra we złocie, a złota we srebrze, a zaś obojga — w błękitnawym rozwidnieniu. — Ślepy by chyba zrozumiał, że w całym lesie ten skarb jest największy!

Taką myślą ulżywszy swej żmudnej dotąd zadumie, Tajemnik bosą nogą naprzód się pokwapił, przycupnął znienna i dłoń wyciągnął, aby skarbu dostać, a skarb — smryg pod ziemię! Nie ma go, jakby nigdy nie było!

Takiś ty oględny i do znikania skory! — pomyślał znowu Tajemnik. — Wolisz ty pod ziemią się wylegiwać niż w ludzkiej kieszeni serdeczną szczyć się gościna? Poczekaj no, bratku! Nie chciałeś ty po swej woli przyjść do mnie, przyjdę ja wbrew twojej woli do ciebie!

Ujął Tajemnik oburącz motykę i uderzył nią po ziemi w tym miejscu, gdzie skarb zakłety przed chwilą swą tajemnicę złocistą oczom jego obnażył.

Ziemia, motyką zraniona, sama się rozstąpiła postusznie i bezopornie. Coś w niej tylko westchnęło, zapodziało się w sobie, ułożyło się wygodnie i, znieruchomiawszy, zamilkło.

Westchnęło niemal po człowieczemu, a zamilkło zgoła nie po ludzku. I ukazał się w niej, niby w samym środku onego milczenia, otwór głęboki, od spodu światłem, jak pyłem złotym, z lekka tu i ówdzie potrząśnięty.

Strach

Skarb

Przykucnął Tajemnik i zajął skwapliwie do otworu, a tam — u samego pobrzeża — drabina wisi, pewno ta sama, po której skarb zakłęty piął się żywcem ku górze, zanim się na powierzchnię ziemi przedostał. Ale drabina krótka, niecałkowita, z trzech jeno stopni złożona, nie tylko do dna otworu nie sięga, lecz kończy się tuż u pobrzeża; ledwo się zaczęła, a już i ku końcowi swemu dobiegła, jakby naumyślnym skrótem chciała wnijscie do otchłani utrudnić.

Po takiej drabinie ani wwyż do nieba, ani w dół do piekła nie zajdziesz! — pomyślał Tajemnik. — Do nieba — za niska, do piekła — za krótka.

Mimo to, nie mając na podorędziu dłuższej drabiny, pogodził się i z tą, która w zjawionym otworze Bóg wie dla jakich potrzeb i dla jakiego użytku tkwiła usłużnie, może nawet własnej krótkości nieświadoma. Bosą nogę do otworu pilnie wściubił i na pierwszym stopniu umiejętnie ją utwierdził. Stał na tym stopniu chwilę przelotną, jakby dla wypróbowania, czy drabina brzemię jego należycie podźwignie, i na drugi stopień się osunął, a potem na trzeci. Na trzecim przystanął i, jedną nogę luzem za się postroniwszy, jął bosą piętą macać naokół powietrze, światłem zaproszone, w tej nadziei, iż coś stałego zmaca.

Aż tu nagle poczuł, że się drabina w sobie zмага i krzepi, i jakoś rozkurcza. Spojrzał pod się na drabinę, a drabinie ni stąd, ni zowąd czwarty stopień przybył.

Tajemnik luźną nogę, w powietrzu myszkującą, natychmiast do powrotu przynaglił i do stopnia nowo przybyłego pośpiesznie przywarł.

Ledwo to uczynił, a drabinie już i piąty stopień znikąd przybywa.

Od przybytku głowa nie boli! — pomyślał Tajemnik, na piątym stopniu utrwalając swe brzemię, bosymi nogami czynnie zakończone. — Nie taka głupia ta drabina, jak mi się po pierwszynie wydało. Umie się ukrócić, aby pod ziemią miejsca zbyt wiele bez potrzeby nie zagarniać, ale też i rozrastać się potrafi, gdy po temu konieczność i sposobność się zdarzy.

I rzeczywiście — co prawda, to prawda. Drabina się rozrasta i rozrasta w miarę tego, jak Tajemnik z wyższego stopnia na niższy nogi bose omackiem przemiejszcawia.

Rosną na niej te stopnie, jak grzyby po deszczu. Zdawałoby się, że drabina wraz z Tajemnikiem schodzi do ziemi, aby ją wespół z nim nawiedzić.

Schodził Tajemnik tak długo, jak długo drabina się rozrastała, a gdy zatrzymała się w swym rozroście, zatrzymał się i Tajemnik w swym zniżściu⁸.

Zatrzymał się i spojrzał w górę — ponad siebie, gdyż dotąd, zajęty podróżą, w górę oczu nie podnosił.

Spojrzał — i gębę rozdziawił od zbytniego wrażenia! Wszystkie górne stopnie znikły z taką samą łatwością, z jaką przed chwilą przybywały.

Pozostał jeno ostatni, na którym Tajemnik trwał jeszcze z gębą rozdziawioną. A i ten znikł bez śladu, gdy na ziemię zeń uskoczył.

Nie taka głupia ta drabina, jak mi się po pierwszynie wydało! — powtórzył w myśli Tajemnik. — Drogę mi ulawiała⁹, a powrót utrudniła.

Niedługo się jednak frasował tym, co mu się stało. Nagliła go ciekawość i butów czerwonych żądza nieodparta. Obejrzał się naokół, czy gdzie zamku zakłętego albo butów czerwonych nie zaoczy¹⁰.

Przed nim — murawica¹¹ niska, która się pewno wraz z zamkiem pod ziemię ongi zapadła. Dotąd się jeszcze zieleni po dawnemu już to z przyzwyczajenia, już to dla tej przyczyny, że nic innego czynić nie potrafi, jak właśnie zielenić się, choćby nawet po ciemku. A i nie bardzo po ciemku, bo to samo światło, które ostatkiem spylonego pobrzasku dozłacało się u pobrzeży otworu, jaskrawi się po niej i żdźbła jej zielone do rozkwitu zagrzewa.

Opoдал murawicy — zamek stoi zakłęty, rzęście oświetlony. Z niego to właśnie wysnuwa się światłość nieustanna.

Zamek

⁸zniżście (daw.) — zejście.

⁹ulawiała — może powinno być: ulatwiała.

¹⁰zaoczyć (daw.) — zobaczyć.

¹¹murawica — trawa; por. murawa.

Marmurowe wschody prowadzą do złotych wierzej¹² samotnego zamku. Tuż popod wschodami para butów czerwonych tkwi, jak na czatach. Tkwi i czerwieni się pod ziemią, jakby ta czerwień, wiekując, nabrała mocy niespożytej i koloru niezniszczalnego. Mrugnął Tajemnik lewym okiem i uczył, że mu się w tym rozmruganym oku coś zaczerwieniło i zabłysło, jakby ktoś podkówkami ognia skrzesał. Przypomnił sobie natychmiast, że miał już taką iskrę w oku, gdy mu Piórkowski o tych butach prawił.

Spojrzał ukradkiem na swoje nogi bose i w te pędy do butów się zbliżył.

Pogłaskał je pieścizliwie, rękawem nieco potarł dla wzmożenia połysku i gwoli wzucia ustawił tak, aby lewą nogą w but prawy, a prawą w lewy utrafić.

Wówczas ze złością i radością swe nogi bose wprowadził do ich wnętrza, jak na nowosiedliny — do przestronnego a wygodnego pomieszkania. Dobrze było tym nogom w butach! Tak dobrze, że się po nich jakaś słodycz nieznaną rozlała. Uczuły się lekko i skocznie, jakby im do tańca grano.

Nigdy jeszcze Tajemnik nogami swymi tak, jako teraz, nie poruszał. Szły nie tylko chętnie, ale i tanecznie.

Toteż wbiegł po wschodach¹³ marmurowych z taką ochotą, jakby płasem porwany. Wszedł do wnętrza zamku — z komnaty do komnaty wędrował ciekawie, a płas, w nogach zatajony, nie ustawał i nie zamierał.

W komnatach światłość i bezludzie.

Popod ścianami — wory dukatami i talarami upchane, a u każdych drzwi, na oścież rozwartych — koń stoi coraz to innej maści.

Ale koń to nieżywy, zastygły w posąg kamienny takiej barwy, jaką była maść jego na ziemi.

Jeden — bułany, drugi — wrony, trzeci — kasztanowaty, czwarty — cisowy, piąty — jabłkowity, szósty — gniady, siódmy — siwy. Kto by tam zliczył owe konie!

Stoją u drzwi, jedną nogę wzniosłszy ku górze, jakby z miejsca ruszyć miały.

Czapaki¹⁴ na nich — malinowe, siodła — złociste z terlicami¹⁵. Stoją w pogotowiu.

Może i przyjdzie taka chwila, że z miejsca ruszą... Bo na pewno, gdy archaniołowie zatrąbią, aby zmarłych i żywych przed oblicze Boskie na sąd ostateczny powołać, konie owe, zasłyszawszy trąb odgłosy, pomyślą, że bitwę kędyś otrąbiono, i z miejsca wówczas ruszą... Ale kto ich tam w chwili takiej dosiędzie!

Stoją tymczasem bez ruchu, niby na straży. Czapakami okryte, śmiercią w biegu powściągnięte.

Tajemnik przechodził obok nich, połyskując czerwonymi butami w świetle, które napełniało zamek, a które nie wiadomo skąd wynikało. Dukaty i talary iskrzyły się w worach.

Przed chwilą jeszcze na powierzchni ziemi przesywały się garściami, jak żywe, a teraz — zamarły w bezruchu.

Ukryły się do worów, wzrokiem ludzkim spłoszone. Może i nie wiedzą o tym, że je zdradza połysk niespokojny.

— Tuście się zataiły, połyskliwie, zazdrosne! — szepnęła Tajemnik, zbliżając się do worów. — Nie zdążyło się jeszcze to robactwo tchórzliwe przesuszyć, a już spod ręki umknęło, aby mi siebie poskąpić! Nauczę ja was szczodrości i hojności!

Po kolei Tajemnik zanurzał dłonie we worach, gruntując je aż do dna. Garściami wsysywał dukaty i talary do kieszeni, do czapki i za pazuchę. Tak się w nie skrzętnie zaopatrzył, że wyglądał jak brzuchaty i zbyt otyły, prócz gęby, która wrodzoną chudość, chcąc nie chcąc, zachowała.

— Czas mi już pono wrócić na ziemię — mruknął po namyśle. — Śpieszno mi do tego, aby się ze sobą samym, jako z osobą bogatą, żyć i porozumieć stosownie, bo już ja nie ten, co dawniej, więc mi nie przystoi po dawnemu siebie traktować. A nie wiem jeszcze, jak mam siebie traktować i jak się dookoła własnej osoby krzątać, bo wszystkiego trza się nauczyć. Czy za pan brat być ze sobą, czy nie za pan brat?

I, popląsując, skierował się ku wyjściu.

¹²wierzeje — drzwi, zazwyczaj potężne; wrota.

¹³wschody (daw.) — schody.

¹⁴czaprak — przykrycie konia kładzione pod siodło.

¹⁵terlica — sztywna część siodła.

Koń, Sąd Ostateczny

Skarb, Pieniądz

Chciwość, Kradzież

Bogactwo, Przemiana

Buty go niosły tak lekko, jakby on szedł na swoją rękę, a one — na swoją. On — sam przez się, i one — same przez się. On po swojemu, i one po swojemu. Nie wiedział w końcu Tajemnik, kto kogo nosi i kto za kim idzie. Wygodę miał z tej przyczyny i skoczność, i wypoczynek nieustanny. Nie tylko czuł się obuty, lecz i obsłużony, i obtańczony.

Pośpiesznie zbiegł ze wschodów marmurowych i przystanął u ich podnóża.

Wypadało właśnie zzuć buty i ustawić je popod wschodami — lewy po prawej, a prawy po lewej stronie. Tak mu sam Piórkowski doradzał. A wiedział Tajemnik, że diabeł kusić — kusi, lecz kłamać — nigdy nie kłamie. Jeśli doradzał tak a tak, to znaczy, że tak a tak być powinno.

Spojrzał Tajemnik na buty czerwone i zadumał się śmiertelnie.

Zzuć czy nie zzuć?

Podumał, podumał — i zzuć postanowił. Gdy w nim to postanowienie zapadło, uczył w sercu żal i smutek luty¹⁶.

Przysiadł na wschodach i dłoń już wyciągnął, aby zzuć, ale ledwo dłonią butów dotknął, po raz pierwszy w życiu strachu doznał.

Doznał strachu na myśl, że się z tymi butami rozstanie.

Takiż to jest ów strach, któregoś dotąd nigdy nie pokosztował? — pomyślał, zasępiając czoła. — Chodzi on mi po kościach, jak ciągota bolesna, rozłąką z butami zasmucona. Chodzi po kościach i pomawia mnie o niewdzięczność względem tych czerwonych dobrodziejów, i pstrzy się w oczach, niby lzy nieproszone... Raczej but bez nogi, niżli noga bez buta, ma na świecie i zastosowanie jakieś, i umiejscowienie, i samowitość... Niech mię Bóg broni od tego, abym miał z własnej i nieprzymuszonej woli nogi moje brakiem onych trafnie dopasowanych przytułków upośledzić i marnotrawić! Otóż nie zmarnotrawię i nie upośledzę!

Tak rzekł i postanowił nog swoich na dokuczliwą rozłąkę z butami nie narażać.

I nie naraził.

Zaraz mu na sercu ulżyło.

Pobiegł przez murawicę ku otworowi, którędy do podziemi był się przedostał.

Drabina wisiała, jak poprzednio, u samego pobrzeża otworu. Znów ci była skrócona i niecałkowita. Trzy jeno stopnie widniały na niej w świetle, które od spodu resztą złotawej fali doplusnąć zdołało.

Zafrasował się nieco Tajemnik niedostatkiem potrzebnych stopni i bezpowrotnością drogi przebytej.

Z tęsknotą utkwiał wzrokiem na pierwszym stopniu. Przeniósł wzrok na drugi i na trzeci, a z trzeciego opuścił na to miejsce, gdzie dawniej czwarty stopień tak się w czas i pożytecznie z niczego uklecić czy też uciosać raczył.

Ledwo to uczynił, a czwarty stopień przybył, majstrując się bez niczyjej pomocy w oczach Tajemnika i utwierdzając się starannie na swym miejscu, jakby mu pilno było na świat przyjąć znikąd i w poprzek drabiny znieruchomieć.

Tajemnik radosnym uśmiechem powitał jego narodziny pożądane i natychmiast wzrok, od tego stopnia oderwany, niżej nieco ze wspomnianą tęsknotą ugruntował.

Piąty stopień przybył bez omieszki¹⁷.

I w miarę jak Tajemnik wzrok swój z miejsca na miejsce przenośli, przybywały drabinie stopnie jeden za drugim, aż przybyły wszystkie.

Wówczas Tajemnik, ani chwili nie zwlekając, jął się po drabinie wspinać.

Buty czerwone niosły go wwyż tak lekko i tanecznie, że w oka mgnieniu znalazł się na powierzchni ziemi.

Odetchnął wesoło i zajrzał do otworu.

Ale otworu już nie było, jakby nigdy nie istniał.

Dobrze to takiemu otworowi na świecie! — wywnioskował Tajemnik. — Inni trudzą się i kłopotczą, aby weń wleźć lub zeń wyleźć, a on tkwi sobie w ziemi bezczynnie i ani mu w myśli jakiegokolwiek zejście lub wyjście, bo sam jest jednym i drugim.

Noc Zmartwychwstania nie przeminęła jeszcze.

Tu i ówdzie błękitniały niespokojne płomyki przesuszających się skarbow.

Strój

Diabeł, Kuszenie, Kłamstwo

Konflikt wewnętrzny

Strach

Wzrok, Czary

¹⁶luty (daw.) — okrutny.

¹⁷bez omieszki — nie omieszkając; natychmiast.

Czasem drzewo samotne zaskrzypiało, pacząc się od wonnej, przejrzalej wilgoci.

Czasem spróchniała gałązka, złamana w najkrótszym kolanku, spadała, nie chcąc, na ziemię i uderzała po drodze o pozostałe sęki i gałęzie, jakby rachując je w przelocie nie mogła podolać tej przygodnej rachubie.

A ciemność snuła się po krzewach, biegła po drogach leśnych, przemykała się bezdrożami i, odbita od ziemi, cwałowała ku górze, niby konno i na skrzydłach, i pławem, i samym zamysłem niepochwytnym...

Czuleś hen — ponad lasem jej piętra puste, w niebiosy wparte, a stojące otworem dla wszelkiej zmory wędrowniej, bezprzytulkiem umęczonej, a nocą Zmartwychwstania zaskoczony pomiędzy niebem a ziemią.

Tajemnik pośpiesznie pomknął lasem, na oślep drogę zgadując.

Buty czerwone niosły go, ujmując stopom trudu i zbytecznej mitręgi. Czuł się tak, jakby sam siebie wziął na barana, gwoli ułatwienia podróży, lub jakby w jednej osobie był i jeźdźcem, i wierzchowcem.

Biegł, popląsując, a buty co chwila, jakby dla większej zachęty, krzesaly ognia podkówkami, skrząc się w ciemności i żarząc się swą czerwienią wiekuistą. Odblask purpurowy padał od nich na murawę i chwiał się na niej plamiście. Ten sam odblask ruchliwym swoim szkarłatem oświetlał od spodu twarz biegnącego Tajemnika.

Ktokolwiek by go teraz ujrzał z daleka, pomyślałby na pewno, że nogi jego objęte są pożarem, a twarz polśniona łuną.

Wybiegłszy z lasu, zboczył ze zwykłej drogi, aby ludziom czerwonymi butami w oczy nie zaświecić.

Skierował się ku bezdrożom i pustkowiom.

Stała tam lepianka opuszczona, która już się w połowie rozpadła.

Do jej wnętrza zawieruszył się Tajemnik.

W kącie leżało trochę siana i słomy. Tajemnik na sianie do snu się ułożył, a słomą buty starannie opatulili, aby poblask czerwieni wiekuistej nie zwabił do wnętrza przypadkowego przechodnia.

Zasnął po raz pierwszy w życiu obuty i dukatami obciążony.

Przespał resztę nocy i cały dzień następny, i wieczór.

I znów noc — druga z kolei — nastąpiła, a on spał, pochrapując.

Byłby i tę noc przespał bez mała, bo go nadmiar szczęścia uznoił i przymusem sennym, niby jakimś opatrunkiem jedwabistym, na sianie znieruchomił, ale o samej północy dusza mu w ciele, jak w tej komorze ciemnej, niepokoić się zaczęła, a serce do piersi zapukało, niby do drzwi, snem właśnie zapartych.

Ocknął się, ale nie chciało mu się powiek, resztą snu oślepych, na jawę rozewrzeć.

Nie chce się i nie chce.

Trwa tedy z powiekami zamkniętymi, aż tu nagle słyszy już to stąpanie czyjeś, już to nie słyszy nawet, jeno czuje i węszy czyjś pobyt we wnętrzu lepianki — pobyt sam przez się — bez żadnego stąpania, bez odgłosu, bez szmeru.

Nie umiałby nawet powiedzieć, czemu wyczuł czyjaś w pobliżu obecność, ale mógłby przysiąc, że ktoś tu nieopodal czy to stoi, czy też trwa, albo raczej tkwi tak, jak drogowskaz na rozstaju.

Postronił nieco jednej powieki, żeby oku dać szparę dla wyrzenia, i natychmiast owa szpara zappełniła się przygodną cząstką oglądanego przedmiotu.

Rozszerzył Tajemnik szparę, aby całość obejrzyć. Obejrzał całość i dech zataił.

Przed nim na środku lepianki stał upiór barczysty, wąsaty i bosy.

Tajemnik stopy jego bosc zauważył od razu.

Domyślił się, że stoi przed nim właściciel butów czerwonych.

I znowu doznał strachu na myśl, że zbliża się straszliwa chwila rozłąki z butami.

Ale tym razem strach nogi mu zdrętwił, a gardziel zdławił, niby powrółem¹⁸ piekielnym.

W lepiance cisza, jakby nikogo nie było, choć dwóch w niej przebywa, bo każdy z tych dwóch swoją usilną zachowuje ciszę.

Podróż, Czary

¹⁸powrółość — sznur.

I łączą się obydwu w tej ciszy, i dwoją, każdy po swojemu zaczajony i po swojemu nieruchomy.

Choćby mi przyszło skamienieć, nie poruszę się pierwszy! — pomyślał Tajemnik. — Niech on się pierwszy poruszy, jeśli mu śpieszno do ruchu w ciemności.

W tej chwili właśnie upiór się poruszył.

Jego powłoka przejrzysta, ruchem z lekka wstrząśnięta, wydała ze siebie zapach mógilny, który pośpiesznie nappełnił wnętrze lepianki i dosięgnął, jakby umyślnie skierowaną falą, nozdrzy Tajemnika.

Musiał teraz wdychać to zarażone powietrze, które za każdym westchnieniem coraz bardziej obezwładniało go i przepajało swym jadem.

Bierze mnie w swe trupie posiadanie! — pomyślał resztą sił wylękłych.

Upiór węża pokręcił, brwi przymarszczył, a potem dłonie odbydwie wyciągnął przed siebie, poruszając skwapliwie palcami, jakby chciał coś pochwycić.

Usta jego rozwarły się, zamknęły i znowu rozwarły.

Mówił czy nie mówił?

Nie słyhać było słów żadnych.

Pewno chce, abym ja pierwszy przemówił — pomyślał znowu Tajemnik. — Niech sam to uczyni, jeśli mu śpieszno do rozmowy.

W tej samej chwili głos, podobny do echa potwornego, wydobył się z gardzieli upióra. Tajemnik nie mógł na razie słów od samego głosu odróżnić, bo głos bardziej przykuł jego zdrętwiałą uwagę niżli słowa.

Powoli jął się wsłuchiwać i nawykać do brzmienia tego głosu, aż wreszcie zrozumiał.

— Oddaj buty, oddaj buty! — rzeźił bosy upiór.

Butów nie oddam! — pomyślał stanowczo i uparcie Tajemnik, ale się słówkiem jednym nie ozwał, bo i dech mu sparło, i język mu w gębie skołowaciał, i zgoła nie chciał należeć do rozmowy, chociaż się jego tyczyła i dokoła niego się obracała.

Starał się jeno zgadnąć, co ma czynić i czego się trzymać, aby się do rąk upióra nie dostać.

Zgadywał tak długo, aż zgadł.

Zgadł, że upiór wówczas tylko pochwycić go zdoła, gdy buty czerwone zobaczy.

W przeciwnym razie żadnego prawa doń nie poczuje, noc w lepiance przestoi, a nad rankiem, skoro trzeci kur zapieje, pierzchnie tak samo bosy, jak bosy się zjawił.

Buty były słomą starannie opatulone.

Chciał Tajemnik z pościeli siana garść zacerpnąć, aby je na wszelki przypadek jeszcze doosłonić, lecz — mimo wysiłku — nie mógł ręką poruszyć.

Ręce miał bezwładne.

Zaduch trupi coraz bardziej zatruwał i przesycał jego ciało, na słomie poległe.

Spojrzał znów na upióra.

Upiór stał po dawnemu i wyciągał dłonie, i szeptał:

— Oddaj buty, oddaj buty!

Nie oddam, bom nie po to je nabył, aby oddawać! — pomyślał Tajemnik. — Możesz tu stać po prośbie aż do trzech kurów i trupim swoim zapachem pod sam nos mi kurzyć bez wychnienia! Wiem, że mię nie tkniesz dopóty, dopóki się naocznie nie przekonasz o obecności na moich nogach skradzionego obuwia. A i to wiem, bratku z tamtego świata, że chętnie byś połowę swej wieczności oddał za to, żeby choć jeden, na ten przykład lewy, but wysunął mi się spod słomy i oczom twoim zalecił się w całym swym przepychu purpurowym.

Zaledwo to pomyślał, a uczuł nagle, że lewa noga zdrętwiała mu do reszty i bezwolnie, całym swym brzemieniem doczesnym osuwa się i ześlizguje z mańczkiej wysokości sienego barlogu na ziemię, jakby właśnie jej nieogłędny właściciel — wbrew zabobonnym obyczajom — lewą nogą chciał wstać z posłania.

— Oddaj buty, oddaj buty! — zawołał głośniejszym głosem upiór i, zda się, baczność swą natężył.

Tajemnik uczynił i zewnętrzny, i wewnętrzny, lecz zarówno bezskuteczny wysiłek, aby nieposłuszną nogę w tej podróży rozpaczliwej powściągnąć i jej zapędy samodzielne pohamować.

Noga odmówiła mu wszelkiego posłuszeństwa.

Bezwładny i bezsilny czekał na to, co się stanie za chwilę.

Wydało mu się, iż właśnie nogi uknuły przeciw niemu spisek niegodny i zdradziecki. Przerazenie jego wzrosło, gdy zrozumiał, że nie nogi własne, jeno buty cudze, dając ujście swym nałogom tanecznym, zakrzętały się ciszką na podściółce siennej i — najwidoczniej — zdradzają nieprzepartą chęć skrziesania ognia podkówkami.

Taniec rozpoczął but lewy.

Rozpoczął nieznacznie, niemal niepostrzeżenie, jakby upajając się swym przedwstępnym do zamierzonego tańca zdążaniem.

Za nim w ślad podybał but prawy, wlekąc zawartą w jego wnętrzu a bezwładną i bezradną nogę Tajemnika.

Zachowanie się butów na podściółce siennej nie uszło zagrobowej uwagi czatującego upióra.

Pochylił się ku nim pilnie całym widmem swej nieważkiej a barczystej postaci, zbłysnął białkami swych spod ciemnej gwiazdy ślepi i wyciągnął chciwie zaczajone dłonie, które się czujnie najeżyły ruchliwymi palcami.

Zdołał Tajemnik z trudem głowy nieco wzwyż unieść, aby się własnej kłęsce przyjrzeć. Przyglądali się oba z jednakim natężeniem.

A buty coraz wyraźniej szły w tan, nie zważając na to, czy ów tan jest zgodny z obumarłą wolą i z oplakany stanem nóg, które w nich tkwiły, jako dwa szczury wędrownie w nie byle jakiej pułapce.

Szły w tan i już kilka razy w swych słomianych powijkach popisały się próbnym a zręcznym podrygiem.

Coraz im przybywało ożywienia i ochoty beztroskiej, aż wreszcie, ześlizgnąwszy się całkowicie z posłania na ziemię, otrząsnęły ze siebie słomę natrętą, rozbłysły w ciemnościach swą purpurą wiekuistą i w sam nos pochylonego upióra skrzesały ognia podkówkami.

W oka mgnieniu upiór ułapił je oburącz i, pociągając wraz z nimi obutego a bezwładnego Tajemnika, wybiegł z lepianki na świat, nocą objęty.

Zanim Tajemnik zdążył zmiarkować, czy ma jeszcze buty na sobie, czy nie ma, upiór wraz z nim uniósł się w przestwory, przeciwstawiając się barczyście wiatrom przeciwnym, które mu widocznie drogę utrudniały.

Polecieli.

Noc, choć wietrzna, jaśniała pogodą. A nadmiar pogody był tak wielki, że aż zgrozą na wysokościach przejmował. Gdziekolwiek okiem rzucisz — tam pogoda, w nieskończoność na oślep idąca. Ani w niej namysłu, ani zrozumienia siebie samej, ani żadnego w niebiosach opamiętania.

Po prawdzie mówiąc, trudno było i nieporęcznie Tajemnikowi gdziekolwiek okiem rzucić, bo wisiał nieborak do góry nogami, mając jedną otchłań pod sobą, a drugą nad sobą — i w obydwu onych otchłaniach czuł się zarówno obco i nieswojo.

Wąsaty upiór, ociężałym lotem sunąc się po gościnnych przestworach, dzierzył go wciąż za nogi, podeszwami obcisłych butów ku niebiosom strojnie zwrócone.

Wiekuisty szkarłat tych butów jarzył się po nocy i rozpraszał naokół odbłaski, niby czerwone a zwiewne ochłapy zbyt koźnie panoszącego się płomienia.

Tajemnik poprzez cholewy sute wyczuwał dokładnie kurczowy uścisk łownych i czepliwych palców obrzmiałego śmiercią upióra.

Wisiał, głową ciężąc ku padolom i znosząc taką niewygodę w niebiosach, jak gdyby się w tych obszarach powietrznych z ciasnotą co chwila spotykał, bo ani tu stać, ani polec, ani usiąść po ludzku, jeno wisieć, jako ten powróż na kołku, z tą na domiar różnicą, że zamiast kołka — upióra ma się nad sobą, dla tym większej hańby i uprzykrzenia.

Tyle mi z tej przestrzenności, co innemu właśnie z szubienicy — pomyślał, smętnie zwisając. — Będę tak wisiał dopóty, dopóki mózgowica moja grzeszna, gdy jej dokuży zbyt wisielcze w przestworach stanowisko, krwią się własną w końcu nie zachłyśnie. Wprawdzie upiorzysko chciwe dotąd jakoś butów mym nogom nie ujęło, aleć na pewno znajdzie w tej próżni dookolnej i chwilę odpowiednią, i miejsce stosowne, aby mię z butów wreszcie raz na zawsze ogolocić i nieobutego z wygód doczesnych na niewygody wiekuiste do krainy cieniów zapędzić. Będę się po onej krainie na bosaka wałęsał i u wrót raj, proszając, wystawał!

Tak myślał rozgoryczony Tajemnik, starając się zwiśać jak najwygodniej, aby przeciwnym przyrodzeniu położeniem duszy i ciała nie uszkodzić, aż tu nagle poczuł, że dukaty i talary, korzystając z odwrotnej jego względem siebie postawy, wysuwają się powoli ze wszystkich kryjówek, których im gościnnie udzielił.

Chciał tym zdrajcom ucieczkę nagłą dłońmi obiema zawczasu przeciąć, ale dłonie miał wciąż bezwładne.

A właśnie pierwszy stojniś złoty, najbardziej widać niecierpliwy, bez szmeru wymknął mu się zza pazuchy i, połyskując skupioną w swym szczupłym zaokrągleniu powierzchnią, powędrował kędyś ku padołom. A chciało mu się jeszcze w tym samowolnym odlocie przedrzeźniać na oczach Tajemnika gwiazdę spadającą, która niby przypadkiem przeznaczone w niebiosach miejsce opuściła.

— Do widzenia! — szepnął Tajemnik ze wzgardliwym i gorzkim uśmiechem.

W tej samej chwili czapka, jakby żegnając złotego zbiega, zsunęła się z głowy Tajemnika i spadła w otchłań wraz z ukrytymi w niej dukatami.

W ślad za nią reszta dukatów i talarów wysypała się z kieszeni i zza pazuchy i gromadnie zaroila się w powietrzu, jak pszczoły z dziupli wykurzone.

Tajemnik zubożał nagle w przestworach niebieskich i dawna nędza zaskoczyła go znowu, w miejscu od ziemi wielce odległym.

W miarę jak się pozbywał cennego balastu, upiór coraz wyżej wzbijał się z nim w powietrze.

Lecieli dość długo.

Starał się Tajemnik godziny zgadywać, lecz poniechał wkrótce tej pracy mitrężnej i bezowocnej.

Wydało mu się bowiem, że jakiś zegar popsuty we łbie mu się zagnieździł i nie tyle czas odmierza, ile zastojem i przewłoką życie mu obrzydza.

Dobrnąwszy do jakiegoś, upatrzonego zapewne, miejsca w przestrzeni, upiór skręcił nagle już to na prawo, już to na lewo.

Trudno było zajętemu uciążliwym zwisaniem Tajemnikowi rozróżnić prawy kierunek od lewego w chwili, gdy mu się cały świat do góry nogami odwrócił.

Dość, że upiór skręcił, i dość, że w tym samym czasie Tajemnik, ile zdołał zauważyć, zauważył niezwłocznie jakąś postać, która naprzeciw nim, lecąc, zdążyła.

Gdy ów zaoczny z dala przechodzień napowietrzny zrównał się z nimi, Tajemnik gębę odwróconą ze zdziwienia rozwarł na chwilę, poznając w onym przechodniu samego Piórkowskiego.

Piórkowski nie spojrział nawet na dawnego znajomego, jeno znak dłonią dając, do upiora się zwrócił.

— Zaczekaj no, waśc, napowietrzniku zawołany! — krzyknął, dłoń na powitanie wyciągając. — Chcę ci ulżyć brzemienia, które, na opak do rąk twych przytwierdzone, straci głowę pierwej, nim ją rozumu nauczysz!

Przystanął upiór w próżni i wąsem sierdziejście poruszył.

— Sprzedaj mi tego grzesznika, który na darmo chęć i zgoła niezasłużenie odbywa dzięki twym gniewom podróz, przyrodzeniu jego wcale niedostępną. Dam ci za tego wisielca z przypadku zapłatę sowitą i niebywałą.

I, mówiąc to, Piórkowski pieczołowicie i nie bez czci wyciągnął z kieszeni talara i dukata, które to księżyc na stopach Tajemnika był złożył.

Poznał je natychmiast Tajemnik po błysku księżycowym.

A błysk ów olśnił upiora, bo niezwyklego był pochodzenia. Ślepie zaiskrzyły mu się we łbie, jakby kto siarniki, o parcianki zręcznie potarte, do dwóch, ognia chciwych, knotów przytknął niespodzianie.

— Zapłata przednia i godziwa! — zawołał znowu Piórkowski. — Tego oto talara dam ci za ciało, a dukata za duszę wspomnianego urwipolcia.

Kiwnął upiór głową na znak, że targ ubity.

Ściągnął niezwłocznie buty z nóg boleśnie tym uczynkiem dotkniętego Tajemnika i wręczył Piórkowskiemu nabyte w przestworach brzemie.

— Wolę go bez butów niż w butach — zauważył mimochodem Piórkowski. — Bosy winien do rąk się moich dostać tak samo, jak bosy przyszedł na ziemię.

Czas

Zanim Tajemnik należycie kości swoje znużone wyprostował, Piórkowski ujął go pod ramię i jednocześnie dał upirowi talara za ciało, a dukata za duszę.

Pochlebila Tajemnikowi ta postronna zresztą okoliczność, że i kupiony był nie byle jako, i sprzedany niezgorzej.

Upiór, zapłatę otrzyawszy, poleciał dalej, czerwonymi butami zwycięsko potrząsając, i zginął wkrótce w oddalonych nocnych.

Jeno się po nim purpurowy odbłask butów w ciemnościach na odlotnym zapóźnił.

Tajemnikowi, butów nagle pozbawionemu, markotno zrobiło się na duszy, jakby go kto niemilosiernie osierocił lub wraz z butami urodę mu całą odebrał, której zresztą natura dać — nie dała.

Chociaż, ściśle mówiąc, sam te buty ukradł, miał ci takie żalodne wrażenie, jakby mu je właśnie przed chwilą skradziono.

A chociaż nogi jego nawykły do bosej po ziemi włóczędzy, po raz pierwszy w życiu zaznał dokuczliwego wstydu, który mu ognistym rumieńcem gębę nie tylko osmalił, lecz jakoby spoliczkował na widok tych nóg do cna obnażonych w miejscu tak zewsząd widocznym i otworzystym, a tak poczesnym i wielmożnym, bo i w pobliżu nieba, i nieopodal tej nieskończoności, gdzie wszystko, poczynając od gwiazd, a kończąc na powietrzu, ma pozór odświętny, jakby tam panowała nieustanna Niedziela, wiekuistą beczynnością pilnie zatroskana.

— Co czynisz? — zapytał nagle Piórkowski, przyglądając się zbląkanemu na gębę chłopca rumieńcowi.

— Wstydzę się... — szepnął Tajemnik, nogami bosymi w powietrzu kłopotliwie przebierając.

Piórkowski zrozumiał.

— Nie przystoi chłopcu wstydzic się nóg bosych — zauważył surowo. — Tak ci w tym rumieńcu do twarzy, jak ślepemu w okularach! Bo i jakież to niedobór w swej grzesznej gębce owym rumieńcem zalałeś? Bacz, by ci się przed czasem w ogień piekielny nie rozżarzył! Do piekła jeszcze kęs drogi mamy. Zblednij raczej, bo czas nagli, a piekło się zbliża!

I Piórkowski pomknął chyżo, wlekąc za sobą nabytego za księżycową jałmużnę grzesznika.

Trzymał go wciąż pod ramię — na pozór przyjaźnie i poufale.

Czuł się tedy Tajemnik i wygodniej, i czcigodniej niżli w towarzystwie upiora, a i prawdziwiej, i należyciej, gdyż ciało jego odzyskało postawę przyrodzoną.

Krew odbiegła mu od głowy, a ręce i nogi pozbyły się drętwoty i bezwładu.

Lecieli wszakże tak szybko, że tchu mu w piersi brakło. Nic mówić nie mógł i nic naokół nie widział, bo w tym locie rozszalałym wszystko się zmąciło w jakąś nierozwiklaną i co chwila znikającą przejrzystość, z której jeno od czasu do czasu wylaniał się zgiełk światła, natłok cieni i bezoporna ciżba pyłów srebrnych, zapewne z drogi mlecznej wywianych.

Piórkowski też milczał zawzięcie, oddany całkowicie swym lotom.

Śpieszno mu było dotrzeć do celu.

A celu tego nie przewidywał, o butach czerwonych zadumany, Tajemnik.

Niósł go Piórkowski po bezdrożach napowietrznych, po rozstajach niebieskich, po kniejach śródgwiezdnych.

Niósł go tak długo, aż wreszcie zaniósł na sam kraniec świata, gdzie nie ma wokół nic, prócz chyba tego właśnie krańca...

Na onym krańcu postawił go, wielce zdrożonego, zajrzał mu w oczy, mgłą umęczenia, niby bielmem śmiertelnym, pociągnięte, i rzekł:

— Skrzep się w sobie, bo za chwilę do piekła cię wtrącę!

Poruszył Tajemnik we łbie ociężałymi białkami i gębą nieco rozwarł.

— Nie wtrącisz — odrzekł stanowczo. — Nie wtrącisz, bom nie twój!

— Mój jesteś, bom cię kupił! — zaprzeczył Piórkowski.

— Kupiłeś mię za mego własnego talara i za mego własnego dukata, które mi księżyc ku ozdobie i ku pociesze na bosych stopach złożył.

Kradzież

Wstyd

Przestrzeń

Piekło, Obraz świata

— Podarowałeś mi te klejnoty przygodne, a teraz ponieważś chcesz darowiznę cofnąć? Mój jesteś i basta! Przygotuj się, bo zaraz z tego krańca świata zepchnę cię do pobliskich czeluści piekielnych!

— Nie zepchniesz! — odpowiedział znowu Tajemnik. — Obiecałeś mi przecież ojcować, a chcesz się po macoszemu ze mną obejść?

— Zapomniałeś chyba, że się onego ojcowania co prędzej wyrzekł — odparł diabeł głosem zniecierpliwionym.

— Wyrzekłeś się — to prawda — szepnął Tajemnik — lecz nie wyrzekł go się Ten, który mi zawsze po wieczne czasy będzie ojcował.

— Nie będzie! — zaprzeczył diabeł z wielkim ożywieniem i z widocznym niepokojem.

— Będzie! — upierał się Tajemnik i dłoń wznosił ku czołu, aby znak krzyża uczynić.

Ale dłoń, którą niegdyś samochcąc zatrzymał w powietrzu, skamieniała teraz bez ruchu naprzeciw czoła tak, że nie mógł zapoczątkowanego znaku krzyża dłonią ową dokończyć.

Wówczas jej było z drogi, teraz — po drodze, jeno sama droga postroniła się, widąc unikając grzesznej dłoni.

Diabeł spojrział na ową dłoń i rzekł z pogardą:

— Zaczekam, aż się zmęczysz i dłoń ową opuścisz, a wówczas zawładnę twym ciałem i duszą.

— Nie opuszczę jej nigdy! — odparł Tajemnik z mocą.

— Opuścisz, gdy ci sił zabraknie i gdy się przekonasz, że Ów, do kogo ją wzniosłeś, nie będzie ci ojcował!

— Będzie! — upierał się Tajemnik.

— Nie będzie! — zaprzeczał diabeł.

— Będzie!

— Nie będzie!

I znowu spojrział diabeł na wzniesioną dłoń Tajemnika, czekając, zali¹⁹ już prędko ją opuści, zniewolony umęczeniem.

Wszakże czekał na próżno.

Minął wiek, minął drugi i trzeci, a Tajemnik dłoń jak trzymał, tak trzyma. Mimo bólu, mimo znużenia nie opuszcza swej dłoni, która znak krzyża jeno zapoczątkować ongi zdołała.

Majka

Działo się na pierwszy dzień Zielonych Świątek²⁰. W maju ów dzień wypadł. Marcin Dziura nie po bożemu go spędził, bo w karczmie. Milczał i pił, pił i milczał. Trudno nawet powiedzieć, czego mu więcej było potrzeba — picia czy milczenia. Jedno i drugie zarówno było niezbędne.

Inni gawędą stosowną wódkę zabarwiali, a on siedział odludnie wpodle²¹ ściany i pił sam do siebie, jakby się przed chwilą dopiero ze sobą samym pokumał²² czy pobratał.

Tęsknota go jakaś bezimienna opadła i do samotności niewoliła.

Nie umiałby nawet opowiedzieć, jak owa tęsknota na oko wygląda, po co przyszła, czego chce i ku czemu się garnie.

Wiedział jeno, że mu serce w piersi coś tak sparło, jak czasem dech w gardle spiera.

Już od tygodnia czuł, że mu czegoś braknie, a określić braku nie potrafił.

— Niech sobie — powiada — i nadal w swym nieokreśleniu przebywa, jeśli mu tam dobrze i wygodnie.

Milczenie, Melancholia

Alkohol

Tęsknota

¹⁹zali (daw.) — czy.

²⁰Zielone Świątki — daw. ludowe święto wiosny, w polskiej tradycji katolickiej ludowa nazwa święta Zesłania Ducha Świętego, obchodzonego 7 tygodni po Niedzieli Wielkanocnej.

²¹wpodle (daw.) — obok.

²²pokumać się — daw. gw.: zostać czyimś kumem, tj. ojcem chrzestnym jego dziecka a. teściem tego dziecka; wejść z kimś w jakieś istotne relacje (dziś: dogadać się z kimś, nierzadko w złych zamiarach).

Na próżno młynarzowa, rok temu jeszcze owdowiawszy, gdy Dziura przed tygodniem o tym braku i o tej tęsknocie jej prawil, stan jego bezzenny mimochodem skarciła.

Nie słuchał jej Dziura, a brak tymczasem coraz się zwiększał, jakby rósł na drożdżach za piecem. I teraz oto, w karczmie siedząc i poczucie onego braku rozważając, wymiarkował, że mu właśnie wódki zabrakło.

Ale nadaremno wódką brak ów starannie wypełniał. Przeklęte poczucie trwało nadal. Dzień cały Dziura w karczmie przetrwał, a nocą, gdy właśnie inni na dobre schodzić się zaczęli, karczmę nagle opuścił.

Wyszedł ze wsi w pole, pszenicą przesłonięte.

Noc księżycowa, z równią kłosów pszenicznych zetknięta, w miejscu onego zetknięcia dymiła światłem błękitnym, rozwidniając odmienne cokolwiek, bo srebrzyście wybiegła tu i ówdzie ponad równią kłosy samotne, dorywczy wybijające, które to zazwyczaj stróżami przezywają.

W powietrzu pachniało jak we młynie.

Idąc brzegiem pszenicy, Dziura dłoń płazem sunął po jej grzbietach posłusznie fałujących, bo mu przyjemnie było za pomocą dłoni porozumiewać się z ich gładkością i ochłodą, jakby właśnie tą dłonią światło księżycowe zgarniał.

Zgarniał je kęs czasu, aż tu nagle dłoń na jakąś przegrodę natrafiła, i nie na zwykłą przegrodę, jeno na żywą, bo czuł Dziura że owa przegroda czy to postroniec²³ się, czy to umknąć usiłuje.

Zanurzył dłoń głębiej w pszenicy i niezwłocznie pochwycił coś, niby sznur jedwabny.

Pociągnął za sznur i widzi, że to nie sznur, lecz warkocz złocisty.

Pociągnął tedy za warkocz, a tuż za warkoczem głowa się czyjaś z pszenicy wychyla.

Głowa dziewczęcia, a w ślad za głową — szyja biała, a w ślad za szyją ramiona młode, obcisłe...

Zaniechał Dziura dalszego pociągania.

Dość mi na tym, com po ramiona obejrzeć zdołał — pomyślał nie bez słuszności. — Tyle się tego z pszenicy wyłoniło, że już można z tym wyłoniątkiem i pogawędzić, i o rodowód zapytać. Wystarczy!

Pochylił się nieco i, warkocza z rąk nie wypuszczając, zajął do oczu błękitnych, ponad pszenicą, jako dwa świetlaki, jaśniejących.

— Domyślam się, coś za jedna! — powiedział. — Majka jesteś i basta! W pszenicy w noc Zielonych Świątek rusalkujesz²⁴, czatując pewnikiem na przechodniów urodziwych, brakiem czegoś nieokreślonego niby pokusą dotkniętych.

— Puść mnie! — jęknęła Majka, gdyż ona to była we własnej osobie.

— A jak puszczę — to co? — zapytał ciekawie Dziura.

— To nic — odrzekła Majka po krótkim namyśle.

— Nie głupim! — odparł Dziura. — Nie puszczę!

Wiatr lanem pszenicznym kolejno i stopniowo zakołysał, i kołysanie owo z nieznanym opóźnieniem udzieliło się mży²⁵ błękitnej, którą księżyc ponad lanem rozetlił.

Zdawało się, iż te lany, aż do zawrotu głowy falowaniem objęte, mają dno tak samo chwiejne i niestale jak powierzchnię.

— Nie puszczę! — powtórzył Dziura, zgrubiałymi od pracy palcami wyczuwając miękkość i bezbronność jedwabistego i zwilżonego rosą warkocza, który w tym miejscu, gdzie go ucisk dłoni zdławił, zagrzeł się i od zagrzewku parował wonią ziół polnych.

Majka z wolna po pas się wynurzyła z pszenicy.

Dziura w te pędy poprzez źdźbła pszeniczne zerknął ukosem do głębi i ujrzał resztę jej ukrytego ciała.

Była ta reszta łuską szczerlnie pokryta i ogonem rybim zręcznie zakończona.

— Trzebaż ci było tak trafnie się zacząć, a tak szpetnie zakończyć? — spytał nie bez żalu. — Do pasa rzetelnie i uczciwie, wedle wszelakiej stosowności, jako ten sprzęt Boży uciosana, a od pasa — obraza oczu ludzkich i pośmiewisko, niebu i ziemi postronne²⁶!

Noc

Rośliny

Tajemnica, Spotkanie

Woda, Księżyc, Rośliny

Uroda

Rozczarowanie, Pogarda

²³postroniec się — odsunąć się na bok, usunąć się.

²⁴rusalkować (neol.) — być rusalką; czas. utworzony od rzecz. rusalka (boginka, nifma).

²⁵mża — rzecz. utworzony od czas. mżyć (tu: świecić rozproszonym, słabym światłem); lśnienie, poświata.

²⁶postronny — tu: obcy, niewłaściwy, niepotrzebny, niechciany.

— Tegom się bała najsrożej, że do pasa mnie uznasz i przygarniesz, a od pasa — nie uznasz i postronisz — szepnęła boleśnie Majka. — Czekałam na ciebie w pszenicy, jak się czeka w alkowie²⁷, zewsząd na oścież rozwartej. Nie zgotowałam twym dłońmi innej przegrody, prócz tego oto warkocza, który trzymasz tak groźnie, jakby był zbiegiem, dlatego tylko, że dotąd w twych dłoniach nie bywał... Myślałam o tobie i myślałam tak nieustannie, aż się we mnie coś jeszcze, okrom²⁸ tych myśli, samo przez się zadumało, i nie mogę tego ani łzami rozwikłać, ani rąk nagłym załamaniem rozstrzygnąć! Bo i cóż ja wiem o tobie? Wiem jeno, że podarki lubisz, więc ci podarek przyniosłam.

Dar

Zerknął Dziura spode łba, aby podarek wspomniany przed otrzymaniem jeszcze na odległość wzrokiem pogłaskać i ocenić, i stwierdził nie bez zakłopotania, iż Majka trzyma w rękę księgę, której dotąd nie zauważył.

Książka, Nauka

Księga była w mech zielony oprawna i kłamrą koralową spięta.

Dziura wprawdzie ani czytać, ani pisać nie umiał, ale wstydził się wyznać przed Majką, że jest nieczytelny i niepiśmienny. Z dumą tedy i godnością wręczoną księgę sobie przyswoił i uczynił przy tym osobliwy ruch ręką, który, jak mu się zdawało, był nieomylną oznaką umiejętności dość biegłego czytania.

— W tej księdze — mówiła tymczasem Majka — w tej księdze przeczytasz o tym, co się pod wodą dzieje, dzieje i dzieć będzie. Przeczytasz tam i o mnie, i o siostrach moich, i o innych pokrewnych nam, chociaż odmiennych, mieszkankach jezior, rzek, strumieni i ruczajów²⁹.

— A jużci, że jak zacznę czytać, to i w końcu przeczytam wszystko, bom nauczny — podchwycił w czas Dziura, lecz warkocza z rąk jakoś nie wypuszczał.

— Nie ściskaj tak mego warkocza, bo ci w rękę zemrze, jak wąż zdeptany! — zawołała Majka. — Zbyteczna jest twoja surowość i płonne twoje obawy. Choćbyś mnie nawet z rąk na wolność moją rusalczaną wypuścił, nie ujdę ci i nie umknę, bo kocham!

Miłość

Na dźwięk tego wyrazu Dziura gębę rozwarł, jak do okrzyku, i palce, w warkoczu zanurzone, rozluźnił.

Warkocz opadł na pszenicę, gromadząc się na jej powierzchni we złote wzgórze, którego lekkość widocznie w miarę, jak wiatr, rozczesując, objętość mu przydawał.

Majka trwała nadal bez ruchu, jakby na wolność wypuszczona nie chciała się pozbyć swej uwięzi.

A Dziura, księgę dzierżąc pod pachą, ponad lanem pszenicznym w osłupieniu górował i nie uszczuplał gębę rozwarcia, przysporzonego zdziwieniem.

Nie to go zdziwiło, że wybredna snadź³⁰ Majka upodobała sobie jego urodę niezapreczoną, jeno to, że, obarczona tak nieznośnym i rybim ogonem, w same oczy miłość mu nagle wyznała, a on tego wyznania nie tylko nie odpycha, lecz — najwidoczniej — przyjmuje i z duszą własną ze względu na ów ogon jakieś układy potajemnie zawiera.

I nie dziwota, że mu natrętna obecność rybiego ogona psuła uroczyste powaby zdarzonego szczęścia, marnując to szczęście od tej właśnie strony, kędy³¹ niegodny przywłaszczania ogon przebywać raczył.

Pogarda, Szczęście

Gdybyś beczkę miodu kroplą smoły zanieczyścił, mniej byś ją uszkodził i mniej byś jej ubliżył, niżli krasie dziewiczej taki ogon niespełna rozumu przydając.

Toteż czuł się Dziura tak, jakby mu kto szczerozłotego dukata do rąk na własność dawszy, przedzierzgnął onego dukata sztuką diabelską w drzazgę, albo i — nie daj Boże — w gorszą jeszcze bezpożyteczność.

Lecz mimo tych uczuć słusznych a mitrężnych³² zawrzała w nim radość niestrudzona, jakby go po duszy snopem dojrzałego zboża pogłaskano na znak, że wiosna mu sprzyja i rok nadchodzi urodzajny.

Dusza, Radość

Dawna tęsknota i poczucie braku nieokreślonego, jeśli nie znikły bez śladu, pochowały swe łby uparte w jakieś norze ciemnej, dokąd człek uczciwy nie zagląda, ciemnością ową zgoła pogardzając.

²⁷alkowa (daw.) — sypialnia.

²⁸okrom (daw.) — oprócz.

²⁹ruczaj (daw.) — strumień.

³⁰snadź (daw.) — podobno, przecież, zapewne.

³¹kędy (daw.) — gdzie; którędy.

³²mitrężny — trudny, męczący; powolny, marudny.

A natomiast uczył Dziura, że dusza jego, dotąd połowiczna, uzupełniła się snem niepodzianym, który i ciało pokrzepił, i oczom udzielił niebywałego połysku. Czarowała go, widać, Majka, a on — człek śmiertelny — poddawał się tym czarom nieodpartym.

Poddawał się ochoczo i wprawnie, jak się chłop wszelkiemu jarzmu na tym świecie poddaje.

— Kocham! — szepnęła znowu Majka, przygarniając do się warkocz, na pszenicy w bezładzie złocistym poległy.

Nic jej na to Dziura nie odpowiedział, a i ona już odtąd żadnym się szeptem ku niemu nie ozwała.

Oboje bowiem nie mogli od pewnej chwili na mowę ludzką się zdobyć, milczeniem, które przyszło, pilnie zajęci.

I tak milcząc, przetrwali i przestali w pszenicy noc całą aż do przedświt, wpatrzeni w siebie nawzajem i do miejsc swoich przykuci — on zadumany i nieczytelny, z księgą pod pachą, a ona wiotka i smukła ze światłem księżycy na obnażonych ramionach.

Dopiero o samym przedświcie Majka pierwsza otrząsnęła się z drętwoty całonocnej i rzekła:

— Czas mi już od ciebie, jak był czas do ciebie. Odchodzę, ale pamiętaj w niedzielę następną przyjść do lasu nad jezioro. Będę tam na ciebie czekała.

Zanim zdążył się Dziura opamiętać i oniemiałym językiem słowo jakiegokolwiek z gęby wygarnąć, Majka dała nura do pszenicy i z oczu mu znikła.

Ujrzał tylko, jak się równia pszeniczna bruździ i jak się po niej koła, niby po wodzie, rozchodzą, znacząc zapewne drogę Majki, która się spodem pszenicy wpław przemyka.

Świt się już na widnokresie rozniecał i rozdmuchiwał, pierwszym swym pobrzaskiem zielonym dzieląc ziemię od niebiosów.

Wiatr poranny zakrzętał się w powietrzu i lanom pszenicznym tu i ówdzie powierzchni z lekka nadłamał. Pył biały uniósł się po drodze i, pachnąc, w słońcu zaprzęczył się.

Dziura westchnął, księgę przed wzrokiem ludzkim ukrył w zanadrze i do domu kroki od zadumy zbytniej osowiało leniwie skierował.

Świt tymczasem rozwidnił się już na dobre.

Wieś się ocknęła.

Powietrze, wypoczęte i nocną ciszą pokrzepione, chciwie zdawało się chłonać żaloszny skrzyp wozów drabiniastych i miarowe odgłosy dalekiego młota, które się, nie chcąc, spóźniały do własnych, dobywających je skądś uderzeń — i zapamiętały, ani tchu, ani żadnych odstępów czasu nie znający poświst piły, która, jak gryzoń piekielny, wżerała się w drzewo podatne — i niechlujny a śpiewny pobrzęk pustych wiader, które się chwiały jeszcze na niewidzialnych już plecach znikłej na zakręcie ulicy dziewczyny.

Dziura rozruchał się nieco i oprzytomniał po nocy, w dziwnym a rozszalałym milczeniu i bezruchu spędzonej.

Czuł się teraz dobrze i odświeżnie, jak wybraniec, któremu nie lada los się wydarzył.

Przechodził właśnie koło niecałkowitej, jak przybudówek, chałupy, skleconej z kilkunastu rozmaitych odcieni desek, jakby naprędce i dla chwilowego użytku, a przeznaczonej na stały pobyt zagnieżdżonego w niej mieszkańca.

Mieszkańcem tym był krawczyk-popsujko, któremu już od niepamiętnych czasów uprzykrzyło się na tej ziemi wszystko, prócz jego własnej wiary żydowskiej.

Chałupa, jeśli to była chałupa, okien nie miała, jakby się urodziła niewidoma i ślepa na to, co się poza nią na tym świecie doczesnym dzieje.

Wszakże czy to dla ozdoby, czy to w drodze ustępstwa obyczajom ludzkim, miała na jednej ścianie podobiznę okna, błękitnym konturem dość trafnie wymalowanego.

Ileokroć krawczyk-popsujko gwoli rozwidnienia swej ciasnej izdebki okna zapotrzebował, tyleokroć drzwi otwierał i zawsze skutek osiągał.

I teraz właśnie siedział we drzwiach otwartych na progu i, gwałtownie w sobie skulony, latał z obojętnością nic warte portki sąsiada Sikory, które to portki, od dawna swej osnowy³³ pierwotnej wyzbyte, stały się jeno umówionym miejscem spotkania lat czernia-

Chłop, Niewola,
Mężczyzna, Czary, Kuszenie

Milczenie

Świt

Wieś, Praca

Dom, Okno, Żyd, Bieda

³³osnowa — tu: tkanina; podstawa.

wych i białawych, żeś z dala mógł je wziąć za szachownicę, Bóg wie czemu kształt dwóch nogawek potwornych przybierającą figlarnie.

Dziura zbliżył się doń i, zamiast powitać, powstał chwilę w milczeniu, dając w ten sposób do zrozumienia, że i wita, i pomówić pragnie.

Krawczyk-popsujko, oczu od roboty nie odrywając, jął jeno szybciej igłą portki sąsiada Sikory w upatrzonym miejscu nakłuwać, jakby tam nagle prześlępiony dotąd niedobór zauważył.

— Widzę ja — rzekł, nie patrząc na Dziurę — widzę ja dobrze, że pan Dziura ma do mnie jakiś pośpiech i zapotrzebowanie.

— Mam — potwierdził Dziura dumnie i z zadowoleniem, poprawiając się w ramionach.

— A czym ja mogę panu Dziurze dogodzić? — spytał znowu krawczyk i, uniósłszy nagle portek wzwyż ku słońcu, spojrział w nie ze znawstwem i z taką lubością, jakby się w najczystszy z zwierciadła przeglądał.

— Ubranie mi potrzebne — odpowiedział Dziura ze stanowczością i umilkł z zakłopotaniem.

Krawczyk obrzucił teraz Dziurę od stóp do głów wzrokiem przymglonym, jakby zeń miarę już to na kozuch, już to zgoła na trumnę zdejmował.

— Zrobimy panu Dziurze ubranie tak dopasowane, że jak w nie wlezie, to i wyleźć nie potrafi — rzekł bez namysłu i językiem cmoknął nagle dla zachęty.

— Nie dla mnie ubranie, jeno dla dziewczyny — zauważył niby nieznacznie Dziura i westchnął wspominając niezbyt obyczajną nagość Majki.

— Jak dla dziewczyny, to i dla dziewczyny — rzekł obojętnie krawczyk i natychmiast dodał domyślnie: — Czy na miarę, czy na oko?

— Bez miary — na oko — odparł pośpiesznie Dziura, czując pewną ulgę z powodu, że rozmowa dobiegła wreszcie właściwego celu.

— A jakaż jest na oko wysokość dziewczyny? — spytał krawczyk.

— Do ramienia mi dostaje, gdy, kibić³⁴ prostując, głowę na karku wygodnie osadzi — wytłumaczył Dziura.

— A za przeproszeniem — szerokość? — pytał dalej krawczyk.

— Szerokość? — zamyślił się Dziura. — Tyleż miejsca w pszenicy wyźłobi, co ta przepiórka, gdy skrzydłami zatrzepece.

Powiedział to i gębę, jak furtę popsuta, zatrzasnął, ale za późno.

— W pszenicy? — powtórzył krawczyk, nie tyle przyłapując Dziurę na słowie nieogłędnym, ile zastanawiając się poważnie nad wspomnianą szerokością.

— Dla przykładu jeno wziąłem pszenicę — rzekł wymijająco Dziura. — Sam nie wiem, czemu mi ta pszenica do łba się napatoczyła, jakby ją kto posiał tam na wiosnę. Ale już słowo rzekłem, więc go nie cofnę, bo nie mogę. Mogę jeno dla przykładu pszenicę owsem albo i koniczyną zastąpić.

— Nie potrzeba! — zapewnił usłużnie krawczyk. — Już ja wiem, jak ta dziewczyna wygląda! Ładna dziewczyna, zgrabna dziewczyna! Jakbym ją na własne oczy widział!

Mówiąc to zmrużył domyślnie oczy i zakolysał z zachwytem głową, luźnie zatkwioną na cienkiej, jak zwątlony dzierzak³⁵, szyi, na ukos żyłą nabrzmiąłą przekreślonej.

Dziura spojrział machinalnie na tę szyję i w tę zmrużkę oczu przeciw słońcu, które, przedostając się z nieba ku samemu wnętrzu wsi, jaskrawiło po drodze dym, z pobliskiego komina wytchnięty, i czub brzozy, stojącej opodal w takim pochyleniu, jakby przed chwilą wiadra pełne wody na ziemi właśnie ustawiła.

Pochlebiała mu domyślność krawczyka.

— A któż by się tam za byle jaką dziewczką uganiał? — rzekł z samowitą brawurą w głosie i w spojrzeniu. — Niczego jej nie brak, prócz chyba kilku drobiazgów, grzesznej powłoce ludzkiej niezbędnych. Przede wszystkim tedy uszyjesz mi koszulę z płótna cienkiego.

— Koszulę — zakarbował w pamięci krawczyk.

Obyczaje

Strój

³⁴kibić (daw.) — talia.

³⁵dzierzak — dłuższa część cepa trzymana w ręku przy młóceniu.

— A jakże — potwierdził Dziura. — Od koszuli robotę zaczniesz, bo ciału najbliższa. Potem letniczek³⁶ fiolkowy sporządzisz.

— Fiolkowy — powtórzył znowu krawczyk, barwie wybranej kiwnięciem głowy przytakując.

— A na końcu kacabejkę³⁷ wатовaną, barchanem³⁸ suto podszytą, zmajstrujesz, bo choć wiosna, aleć i wiosną, jeśli kto chce, chłodu się doszukać może — zawyrokował w zadumie Dziura, mając na względzie nieustanny pobyt Majki w wodzie jeziornej.

— Już ja jestem pewien, że się panu Dziurze moja robota spodoba, bo będę dla pana Dziury robił tak, jak dla siebie samego — rzekł krawczyk ze szczerym postanowieniem w głosie.

— Rób jak chcesz, czy tak, jak dla mnie, czy tak, jak dla siebie samego, bylebyś zrobił uczciwie i bylebyś wszystko do przyszłej niedzieli wykończył.

— Będzie pan Dziura miał na przyszłą niedzielę jeno kłopot od samego oglądania gotowej roboty — zdążył jeszcze wtrącić w czas krawczyk, zanim Dziura ruszył w dalszą drogę ku swej chałupie.

Przechodząc koło młyna, zauważył pęczniejącą w ramie górnego okna twarz młynarzowej, na której policzkach, zbryzganych świeżymi rumieńcami, krwawiło się słońce poranne.

Uśmiechnęła mu się z góry, a on jej z dołu mimochodem się odśmiechnął.

Wszedłszy do chałupy, stanął w pośrodku izby, wyjął z zanadru księgę, w mech

Książka

oprawną, roztworzył ją i ciekawie zajrzał do jej tajemniczego wnętrza.

Szkoda doprawdy, że Dziura czytać nie umiał, bo nacytałby się takich cudów, o jakich nikt dokładniej niż ta księga nie mógł go powiadomić.

Stało w tej księdze po kolei o tym, co się pod wodą dzieje.

Stało tam o rusalkach, które się z móżz wyłaniają i tak cudownym śpiewem nęcą przechodnia, że — zasłuchany — zapada się w sen i nie postrzega nawet, jak sen jego, na pozór chwilowy, przeobraża się z wolna w sen wiekuisty. Snem wiekuistym zaskoczony, nie potrafi nawet śmierci od śpiewu odróżnić, a nicości od swego zasłuchania. Rusalki mówią o nim: „zasłuchany”, a ludzie mówią: „umarły”.

Czary, Sen, Śpiew

Kuszenie, Śmierć

Prócz rusalek są jeszcze Memozyny, które zwabionego samotnika na śmierć mogą białymi palcami zalechtać, a śmiech konającego długo jeszcze po skonaniu trwa i błąka się w powietrzu, strasząc podróżnych i zakłócając ciszę leśną.

Śmiech

Prócz Memozyn są jeszcze Syroidy, co mają jedną rękę, jedną nogę i jedno tylko oko, a na domiar złego wszystko — lewe, nie wyłączając oka, tak że dla nich świat cały i Bóg, co go stworzył, po lewej stronie się znajduje, i z tego powodu, jak się raz w lesie zbłąkają, nigdy już wybłąkać się nie mogą, bo takie to niedołęzne, że czy trzeba, czy nie trzeba — wciąż jeno na lewo i na lewo bez ustanku skręca. A wolno tym Syroidom przez całe życie jedno tylko słowo powiedzieć. Po wygłoszeniu tego słowa w pianę się rozplywają i giną bez śladu, jeno wir na wodzie pozostawiając po sobie. Łatwo ten wir od innego wiru rozróżnić, bo ma zawsze lewy kierunek. Syroidy człowieka nad brzegiem stojącego lewicą chwytają, do wody ściągają i dopóty na dnie go trzymają, dopóki dusza jego wodą się nie zachłyśnie, a ciało do reszty nie zeszywnieje. Wówczas każda swemu topielcowi szepce do ucha słowo jedyne, które wyszeptać jej dano, i natychmiast w pianę się rozpierzcha. Wtedy topielec, z jej uścisków wyzwolony, zazwyczaj na powierzchnię wody wypływa. Ale nie wiadomo, co za słowo Syroida do ucha topielcowi szepcze. Słowa tego nikt nie zna. Aby je znać i wyszeptać należy, trzeba mieć jedną rękę, jedną nogę i jedno tylko oko, i w dodatku wszystko, nie wyłączając oka — lewe.

Potwór

Śmierć, Woda

Prócz Syroid są jeszcze Majki, ze wszystkich wodnic najpiękniejsze. Można je często przylapać w lesie, gdy, splątany warkoczem zawadziwszy o gałęzie, wiszą bezradnie, wyczekując pomocy ludzkiej. Częstokroć też i w zbożu nurkują, szczególnie w czasie Zielonych Świątek, bo jest to pora, gdy najwięcej wodnic po świecie się roi i błąka, czyhając na samotnych przechodniów. Majki umieją kochać ludzi i lubią miłość wyznawać.

³⁶letniczek (daw.) — letnia sukienka.

³⁷kacabejka a. kacabajka (daw.) — kaftan, peleryna.

³⁸barchan — gruba tkanina z bawełny, lewostronnie włochata.

O wielu jeszcze innych rodzajach mieszkaneek wodnych wspominała księga, którą ciekawie oglądał nieczytelny Dziura.

Bóg wiedzieć raczy, jakie myśli w tej chwili mitrężyły³⁹ mu głowę, to tylko pewna, że o czymś myślał. Myślał tak długo, aż postanowił księgę spalić, aby jej obecność w chałupie nie zdradziła przed ludźmi jego z Majką znajomości.

Kilka szczap smolnych w kominie rozniecił i księgę na szczapach odpowiednio umieścił. Zaledwie ogień, smołą wonnie i żarliwie sycony, dotknął mchów aksamitnych, księga spłonęła w oka mgnieniu, nie pozostawiając po sobie ani węgla, ani popiołu. Spłonęła bez śladu — nie czytana i może nawet tym nieczytaniem z lekka urażona.

Dziura uczuł wyraźną ulgę na duszy, jakby mu kto ujął zbytecznego wysiłku zgłębiania tej księgi, której wszakże zgłębiać nie zamierzał. Myśl jednak, iż jest jej bezpośrednim posiadaczem, dręczyła go na kształt narzuconego przeciw własnej woli grzechu, którego wołał nie popełnić.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby znalazł przebiegłe a trafne wyjście z trudnego położenia.

Niech raczej ta księga zawczasu spłonie, niżbym miał poniewczasie sam w ogniu czyścicowym ku własnemu obrzydzeniu, jak to sadło zjelczało⁴⁰, skwierczeć — pomyślał rozsądnie. — Bóg mnie widać natchnął, żem się tej drukiem popstrzonej niestosowności pozbył.

Pomimo iż Majce jakoś nie dowierzał, wyczekiwał wszakże Dziura umówionej niedzieli.

Wyczekiwał cierpliwie i spokojnie, z owym ładem w sercu, który zawsze postanowieniom jego tak gospodarczym, jak miłosnym towarzyszył.

Bał się jeno, że krawczyk-popsujko zamówionej roboty na czas nie wykona. Wszakże krawczyk słowa dotrzymał. Uszył, jak umiał, ale uszył.

Wprawdzie koszula miała wszelkie pozory przestronnej wyspy⁴¹ na pierze; a kacabejka od upchania watą i podszycia sztywnym barchanem była tak twarda i tęga, że uderzeniem młota nie pozbawiłbyś jej upartego, raz na zawsze przyswojonego, a zgoła przypadkowego kształtu, lecz za to letniczek był zgodnie z umową naprawdę fiołkowy.

Dziura do wspomnianych nabytków dołączył jeszcze kupione na jarmarku pończochy białe, trzewiki skórkowe, pierścionek z granatem i trzy bicze barwistych dętek⁴².

Wszystko to związał gruntownie w jeden ścisły tobolek i, skoro noc umówiona zapadła, udał się drogą do lasu.

A noc mu właśnie sprzyjała.

Gwiazdy na czystym niebie i sporsze się zdawały, i liczniejsze niż zazwyczaj. Wielka Niedźwiedzica aż się w oczy zewsząd rzuciła, to dyszlem srebrnym, to płomienną resztą swego wozu skrząc się migotliwie. A Droga Mleczna napuszyła się wypukle i tak wezbrała swym rozpowietrzonym srebrem, jakby z niej za chwilę nadmiar tego srebra miał się na ziemię rosą kroplistą przelać.

Dziura bez pośpiechu wszedł do głębiny lasu.

Zaskoczył go natychmiastowy mrok leśny i, pełna wonnej ciepłoty, parność zapartego w bujnym wnętrzu powietrza, które się pracowicie wysało w kwiaty i w zioła przyziemne. Słychać je było, jak dysząc ocieźałe i mozolnie, lgnie do mchów napęczniałych, do sęków gąbczastych i do sapowatej⁴³ kory dębów wilgotnych.

Pomimo ciemności czuleś naokół zatajoną obecność świeżej, majowej zieleni, z wośłym pośpiechem gromadzącej się co chwila w tym lesie, niby w śpichrzu wonnym a nienasyconym.

Dziura wolnym a nieprzymuszonym krokiem zbliżył się wreszcie do jeziora i stanął tuż ponad brzegiem pieczołowicie ściskając pod pachą swój drogocenny tobolek.

Majki jeszcze nie było.

Dziura był pewien, że go na zawód nie narazi, a opóźnienia za złe jej nie brał.

Pewno musi się opóźnić, jeśli się opóźnia — pomyślał.

Książka, Grzech

Strój

Noc

Niebo, Gwiazda

Las, Ciemność

Czas

³⁹mitrężyć — męczyć; marnować czas, marudzić.

⁴⁰zjelczały — zepsuty.

⁴¹wyspa — worek z materiału, do którego wysypuje się pierze, aby powstała pierzyna.

⁴²dętka — tu: kolorowy lub srebrnobiały koralik z dmuchanego szkła.

⁴³sapowaty — bagnisty, wilgotny.

Na jeziorze trwała ruchliwa i krzątliwa pustka, to błyskiem nagłym, to zdążaniem donikąd spłoszonej zniecka fali wypełniana, pustka, która się nigdy oku nie uprzykrzy, a która zawsze ma coś do ukazania i coś do odmienienia w swym układzie i obrębie.

Księżyc się właśnie wytoczył na niebiosa i utkwiał nad jeziorem, jakby je szukał i znalazł.

Księżyc, Woda

Wydlużonym odbiciem zajaśniał w wodzie pod brzegiem przeciwległym i jał się tam dwoić i troić, i swe luźne szczątki skupiać znowu w całość pierwotną, do odwróconego wierzchołka odbitej sosny chwilowo przytwierdzoną.

W tym właśnie czasie od owej strony, kędy jezioro, skręcając, w gęstwinie leśnej swój dalszy ciąg zatracalo, doleciał Dziurę śpiew młody, własną łatwością i swobodą roz-zuchwałony.

Śpiew

Poznał Dziura Majkę po głosie.

Śpiew jej rozlegał się niewzbronnie w soczystym, ziołami nasiąkłym powietrzu, jakby się w tym powietrzu niewidzialne okna na oścież porozwierały, aby śpiewowi temu dać ujście i przestwór niezbędny.

Dziura tym śpiewem zachęcony dobył ze dna kosmatej piersi narownego⁴⁴ nieco głosu i w takt melodii tobolek pod pachą, niby kobzę⁴⁵ posłuszną, naciskając, zawtórował basem tak starannie, że mu grdyka, od natężenia nabrzmiawszy, jęła z nuty na nutę podrygiwać sprężyste a skocznie.

Zazdrość

Z umysłu⁴⁶ śpiewał gorzej i ciszej, niżby potrafił, bo wiedział, że rusalki mszczą się na tych, którzy je w powabach śpiewu prześcigną. A wiedział ponadto, że piołunu⁴⁷ się boją, więc na wszelki wypadek, dla większego bezpieczeństwa, zaopatrzył się w suty zapas piołunu, który w zanadrzu ukrył, jeszcze przed niedzielą uzbierawszy go w polu — popod lasem.

Rośliny

Czuł się tedy dobrze i z tym śpiewem na ustach, i z tym tobolekiem pod pachą, i z tym piołunem w zanadrzu.

Wszystko było w porządku i na miejscu.

Śpiew Majki coraz się zbliżał, jakbyś do skrzypki grającej ucho coraz mocniej przykładał.

Wciąż jeszcze wtórowaniem zajęty, spojrział Dziura na zaproszony księżycem zakręt jeziora, kędy sitowie rozwidnione jaśniało tą barwą, która po nocy zieleń zastępuje, spojrział i uśmiechnął się radośnie, aż mu się od tego uśmiechu głos, niechcący, na nucie przygodnej w poryk⁴⁸ nieproszony załamał.

Na zakręcie jeziora ukazała się wiotka i ku księżycowi wyprostowana postać Majki, płynącej ku niemu na jakimś przedmiocie, którego Dziura z dala określić nie umiał.

Ani łódź to była, ani tratwa.

Inny to miało bieg po wodzie i odmienne na fali rozpostarcie.

Majka wciąż śpiewała, a i Dziura wtóru swego nie zaniedbywał.

Gdy się zbliżyła na takie dosiężenie oka, że można ją było spojrzeniem z jeziora wprost do duszy przenieść, stwierdził Dziura, iż zamiast łodzi ma pod sobą łąkę pływającą.

Wyspa

Księżyc tę łąkę oświetlał, wyodrębniając niemal każde źdźbło trawy bujnej, każdy kwiat, chwiejnym kielichem puszyście zawieszony. Wrzało na niej życie migotliwe i ruch ze światłem skrętnie przemieszany, bo roiła się od motyli, od ważek i od świerszczów, których śpiew, z sypkich a pośpiesznych dźwięków sklecony, dolatywał już do brzegu i nabierał w ciszy nocnej doniosłości chóralnego a nierozwikłanego wrzasku.

Zamilkł zdumiony Dziura i zamilkła Majka, która do brzegu wraz z łąką pływającą dotarła.

Spotkanie

Popatrzyli na siebie przez chwilę, jakby dawną znajomość raz jeszcze zawierali i umacniali.

Pierwsza przemówiła Majka.

⁴⁴*narowny* — narowisty, trudny do opanowania.

⁴⁵*kobza* — tu: dudy, instrument muzyczny złożony ze skórzanego miecha i przytwierdzonych do niego puszczalek.

⁴⁶*z umysłu* — dziś: z rozmysłu, celowo.

⁴⁷*piołun* — roślina zielna o gorzkim zapachu i smaku, używana do aromatyzowania likierów i wódek (np. wermutu i absuntu) oraz jako lek na żołądek.

⁴⁸*poryk* — krótki, donośny ryk jelenia; tu: załamanie głosu.

— Śpiesz się! Noc krótka, zawsze za krótka! Skocz no z brzegu na moją łąkę, a popłyniemy razem dalej!

Nieśpieszno jakoś było Dziurze do udzielonego mu przez Majkę prawa przeskoku z brzegu na łąkę niebywałą.

— Skoczyłbym — odpowiedział z niepewną w głosie obietnicą — ale nie wiem, co tam na owej łące będę miał do roboty. Nigdy jeszcze takiej łąki ani deptał, ani kosił.

— Twoja to łąka, twoja własność, gdyż odtąd wszystko, co posiadam, do ciebie należy — rzekła Majka, dłonią cały obszar łąki wskazując.

Podobały się Dziurze te słowa szczodre i rozumne.

— Toć pewno, że mógłbym od biedy i na tej łące jakoś się zagospodarować — rzekł w zadumie, oceniając okiem bujność trawy i żyzność ziemi. — Lękam się jeno, że masz

Miłość

względem mnie zamiary inne, prócz tych, którym się odwzajemnić z całego serca pragnę.

— Kocham! — zawołała Majka i dłonie obydwie wyciągnęła ku niemu z takim zaparciem się tych dłoni, jakby mu wraz z nimi głowę pod nóż oddać pragnęła.

Słowo to, z mocą powtórzone, uspokoiło Dziurę.

— Niech się dzieje wola Boża! — krzyknął nagle wniebogłosy, przeskakując z brzegu na łąkę. — Może ta sama wola Boża dzieje się i w tych dłoniach, co się ku mnie całe — bez reszty wyciągnęły, jakby nic sobie ze swego czasu zostawić na własność nie chciały!

Los

— Ta sama... ta sama... — uspokajała go Majka.

— A jeśli nie ta sama, moja w tym wina, żem jej od Bożej dla zbyt wielkiego podobieństwa nie rozróżnił! — zawołał, ugruntowując się na łące i rozpaczliwie miażdżąc pod pachą wypchany sowicie tobolek.

— Odbijam od brzegu — uprzedziła nieśmiało Majka, wyczekując przyzwolenia.

— Odbijaj, a z całych sił, pókim jeszcze na brzeg z powrotem ku własnemu wstydowi nie wyskoczył! — odpowiedział z zamkniętymi oczami Dziura, macając nieznacznie dłonią ukryty w zanadru zapas uzbieranego piolunu.

Popłynęli.

Zakołysała się łąka, zachwiały się kwiaty, zaroily się motyle, zadzwoniły świerszcze niestrudzone. Dziura oczy, dotąd zamknięte, rozwarł powoli.

— Jesteś przy mnie? — zapytał.

— Jestem! — ozwała się Majka z pobliza.

— A i ja jestem przy tobie — zauważył Dziura. — Zdawało mi się, że nim oczy otworzę, czar mnie jakiś w nicość rozwieje. Nie rozwiał.

Uśmiechnęła się na to Majka, lecz nic nie odrzekła.

Dziura tymczasem po jeziorze bacznie się rozejrzył.

Zmieniło się tak, że go nie poznał i do dawnego w żaden sposób pamięcią dopasować nie mógł.

Woda, Czary, Oko,
Przestrzeń

Poszerzyło się i wydłużyło, i rozlało hen — bez krańców, niby morze. Gdziekolwiek okiem wprawnym rzucił — nieskończoność wodna, jakby nic na świecie prócz tego jeziora nigdy nie istniało.

Brzegów ani śladu, a księżyc na powierzchni nieogarnionej płachtę srebrną ścięła, usuwając ją w dal, w miarę tego jak łąka pływająca ku niej się zbliża.

— Zmieniło się nieco jezioro — zauważył z niezadowolaniem Dziura i na Majkę ukosem zerknął.

— Zawsze ono w mych oczach takie, a nie inne — odrzekła Majka z prostotą. — Chciałam, żebyś na nie moimi oczyma spojrział.

— I spojrzalem? — spytał Dziura ciekawie.

— Spojrzałeś — potwierdziła Majka poważnie.

Dziura zrozumiał, czemu tego pragnęła.

— Będę się zawsze odtąd na to jezioro twymi oczyma patrzył — przyobiegał w słodkim poczuciu jakiegoś radosnego ustępstwa.

Niepochwytny bieg łąki w dookólną, wodami polśnioną nieskończoność wyczuwał Dziura nie znanym mu dotąd a nieustannym zapodziewaniem się ciała w chłonej je co chwila przestrzeni.

Nie wiedział wszakże, czy mu wycucie owo przykrzy się, czy też przyjemność osobliwą sprawia.

Majka jeno od czasu do czasu wskazywała dłonią zamierzony kierunek, a łąka, posłuszna skinieniu, bieg swój ku stronie wskazanej zwracała.

Dziwował się Dziura temu biegowi, a przede wszystkim tej okoliczności, że skoro o sobie samym pomyślał, srebrniał we własnych myślach od księżycy i — cały srebrny, lotem porwany — pierzchał co chwila w nieskończoność.

Właśnie podczas jednego z takich pierzchnięć, gdy mocniej i rzęsiściej sobie samemu w myślach własnych zasrebrniał, przypomniało mu się, że Majki potrafią człecka najpoważniejszego na śmierć białymi palcami zalechtać.

Prawiła mu o tym nieraz młynarzowa swojaczka, z którą się często na jarmarku spotykał. Na myśl o tym doznał dokuczliwego pod pachami niepokoju, jakby się tam mucha jakaś bzykając do lotu zerwała.

Z nieufnością spojrzął znowu na Majkę.

— Umiesz ty człecka na śmierć zalechtać? — spytał, badawczo zasępiając czoła.

— Umie — odparła Majka.

— A mnie na ten przykład — mogłabyś taką krzywdę palcami białymi wyrządzić?

— Od twego to rozkazu zależy — odrzekła Majka pokornie.

— Gdzieżbym ja tam takie rozkazy wydawał! — zaniepokoił się Dziura, wzgardliwie wruszając ramionami. — I lechtliwy jestem, i nie po to mam duszę, abym ją spod pachy Panu Bogu obelżywie oddawał, jeno po to, abym ją po ludzku w godzinie ostatniej wyzionął.

Pomilczeli oboje, jeno łąka na skinienie Majki wzmogła swój bieg coraz niecierpliwszy, jakby jej śpieszno było do zaocznej w srebrnych oddalach bezpowrotności.

Dopiero teraz przypomniał sobie Dziura, że ma tobolek pod pachą.

Uśmiechnął się obiecująco i rzekł:

— Podarunek przyniosłem.

— Pamiętałeś o mnie? — szepnęła uradowana Majka.

— Pamiętałem — potwierdził Dziura, czując doniosłość swego potwierdzenia.

— Pokaż! — szepnęła Majka, pragnąc zapewne bezgraniczną i ślepą ciekawością wczasu ów podarek godnie uczcić.

Dziura rozwinął tobolek powoli, z widoczną czcią dla zawartych w nim przedmiotów.

Wymował je kolejno i każdy z osobna trzymał w świetle księżycowym, aby Majka mogła nacieszyć się ich widokiem.

Majka cieszyła się i klaskała w dłonie z radości, lecz zbladła nagle i zmaląła w sobie, gdy Dziura ze dna spłaszczonego toboleka wyciągnął w końcu z dumą na światło księżycowe białe pończochy i skórkowe trzewiki.

Nic nie rzekła na to, jeno znów dłonią skinęła, nagląc łąkę do biegu.

— Nie zabraknie ci teraz przyodziewku — ozwał się tymczasem Dziura. — Pomyślałem ja o tym, że wypada to ciało nagie, do grzechu lgnące, ogarnąć jakoś i osłonić, aby się nie czuło na tym świecie tak, jakby je kto z pierza oskubał. A i ogrzać je trzeba, bo woda je ziębi nieustannie.

— Nie wiem, jak się to wszystko wdziewa i w jakim porządku — zauważyła Majka, spod rzęs na własne ciało się bocząc.

— Sam cię wystroję, bo mi rąk nie brak — rzekł Dziura i zabrał się do roboty.

Wdział najwypierw koszulę, potem letniczek fiołkowy, potem kacabejkę watowaną. Zachowywał przy tym całkowitą w swej postawie nieruchomość, pracując jeno rękami, jakby końmi narownymi to z góry w dół, to odwrotnie powoził.

Majka wystrojona głaskała dłonią kacabejkę, odstającą sztywnie od jej smukłej kibici, na kształt dzwonu, którym wiatr z lekka zachwiewał.

Krawczyk-popsujko miał, po prawdzie mówiąc, krój niezbyt zręczny, lecz niezręczność tego kroju i obcość niedopasowanego ubrania wzmagała jeno niezależny od nich i niedostępny ich ujęciu czar postaci rusałczanej, jakby kto w kojcu kanarka uwięził.

Dziura dętkami barwistymi szyję jej okolił i spojrzął z zachwytem.

— Tak teraz po bożemu wyglądasz, że można cię choćby i do wnętrza chaty wprowadzić, i na ławie usadowić, i czy to o jarmarku, czy to o innych sprawach ludzkich pogawędzić. Niech no ja jeszcze pończoch twym nóżkom bosym przysporzę i trzewikami jak od święta obciążę, a będę mógł bez wstydu nawet i na kobiercu ślubnym z tobą

Dar

Strój

Ciało

stanąć, aby cię nie tylko z rąk twoich białych, lecz i z rąk Boga samego na własność dozgonną przyjąć.

I Dziura pochwyił w dłonie trzewiki i pończochy, aby stroju Majki dokończyć, lecz nagle jedne i drugie z rąk mu na kwiaty i na trawy bujne wypadły, płosząc roje motyli i ważek, skrzydłami ze sobą pogmatwanych.

Ogon rybi w całej okazałości stanął mu nagle przed oczyma.

Majka skłoniła głowę na piersi, jakby w bezradnym poczuciu winy niepoprawnej...

— Coś mi się widać we łbie pomąciło, gdy te pończochy i trzewiki nabywałem — rzekł ze smutkiem Dziura. — Możem zapomnieć, a może i pamiętać nie chciałem, aby pamięci tym ogonem rybim zbyt nie turbować.

— Nie uznasz mnie? — spytała lekliwie Majka.

— Nie uznam — odparł z godnością.

— Nie prześlepisz miłością kalectwa mego? — spytała znowu.

— Nie prześlepię! — odrzekł z mocą.

— I nie nawykniesz nigdy?

— Nigdy!

Majka spojrzała na pierścień z granatem, którym Dziura uprzednio palec jej niemal dziecięcy ozdobił.

Łąka płynęła teraz tak szybko, że płachta, którą księżyc wzdłuż po niej rozesał, z błyskawicznym pośpiechem usuwała się spod niej i zdawała się związać ku niebu.

Dziura uczył nagle nieodpartą tęsknotę do brzegu, do łądu, do gruntu stałego.

Zauważyła to Majka i zbliżyła się do niego.

Dziura nie cofnął się, jeno tęsknota do brzegu zwiększała się w nim i dolegała mu nieznośnie. Piołun w zanadru zagrzeł mu się i rozparzył.

Majka ruchliwymi nozdrzami zwęszyła zapach piołunu.

— Piołun pachnie — szepnęła zatrwożona.

Dziura spojrzał na nią spode łba, utkwiał spojrzenie w ziemi i przemilczał odpowiedź.

— Masz go na piersi, w zanadru — mówiła Majka. — Boją się rusalki tego ziele, bo jego woń zatruwa je i niszczy. Wyjmij piołun z zanadru i wyrzuć do jeziora.

— Niech sobie leży tam, gdzie dotąd leżał — odrzekł Dziura wymijająco. — Zawsze to bezpieczniej i zaradniej z piołunem na piersi do rusalki się zbliżyć. Albo ja wiem, co by mi się przytrafiło, gdybym bez tego piołunu porozumiewał się z tobą? Może nie tyle przez złą wolę, ile z nałogu i z przyrodzenia samego ściągnęłabyś mnie do jeziora, aby mnie w topielca zamienić.

Oczy Majki zapłonęły ogniem niezwykłym.

— Topielec czaruje nas, rusalki, swą bladością, bo my słabe i kruche, a on pieszczotom naszym bezoporny — szepnęła nagle, wdychając jadowitą dla niej woń piołunu.

— Chciałabyś, abym swój opór w śmierci zatracił? — spytał nieco chępliwie Dziura, dziękując w duszy sobie samemu za uciulany zapobiegliwie zapas piołunu.

— Chciałabym — odrzekła z prostotą Majka.

— Toteż wolę piołunem się od ciebie przegrodzić, niż, wszelką przegrodę usunąwszy, ze śmiercią się spotkać w twych objęciach — zauważył Dziura, czując, że mu dreszcz po karku przebiega i ni to straszny, ni to kusy...

— A skąd ty wiesz, z którym dziwem w objęciach mych się spotkasz? — szepnęła Majka. — Usuń przegrodę, bo czas!

— Nie usunę! — odparł Dziura stanowczo i szeroką dłonią uderzył się w pierś, w to miejsce, gdzie piołun się znajdował.

— Zamieszkać razem ze mną na dnie jeziora! — zawołała Majka z rozpaczliwą prośbą w głosie.

— Żywcem? — spytał Dziura.

— Żywcem albo śmiertelnie — odrzekła Majka. — Jak postanowisz, tak się stanie. Mówię do ciebie po rusalczanemu, bo nie umiem inaczej i nie mogę, a ty te słowa moje z lękiem odpychasz, że nie ludzkie, nie twoje, ziemią nie spylone i strzechy nad sobą nie mające... Dlatego się boisz tych słów i nie chcesz ich ramieniem ku sobie, jak sierpem, przygarnąć. Pomyśl sam: czy wierzysz w to, że ci coś złego pragnę uczynić?

— Jak pomyślę, to wierzę — odparł Dziura — a jak nie pomyślę, to i myśl taka do głowy mi nie przychodzi.

Obcy

Pogarda, Miłość
niespełniona

Rośliny

Kuszenie
Kochanek romantyczny

Obcy

Powiedział to i dorzucił natychmiast:

— Ot już i pomyślałem niechący...

Majka bezsilnie opuściła dłonie i cofnęła się wstecz ku kwiatom.

Woń piohunu i ciężar watowanej kacabejki zmęczyły ją i zniewoliły do milczenia.

A w duszy Dziury tęsknota do stałego gruntu, a dokładniej mówiąc, do onej popielatki, którą przez całe życie uprawiał, tak się rozrosła i rozpanoszyła, że chętnie by się, podróżą strudzony, i do snu wiekuistego ułożył, byleby mu w tej popielatce dół motyką wykopali.

— Pilno ci do brzegu? — spytała Majka.

— Jużci, że pilno — odpowiedział.

— Czy zaraz chcesz wracać?

— Upraszałbym, jeśli łaska — rzekł Dziura z nagłą pokorą w zmienianym nieco głosie.

Majka skinęła dłonią i zanim Dziura zdążył cokolwiek zmiarkować, ujrzał tuż przed sobą brzeg upragniony.

Co tchu z łąki na brzeg wyskoczył.

— Przyjdź w następną niedzielę, będę czekała — rzekła Majka głosem zmęczonym i bezsilnym.

Dziura się odwrócił, aby ją pożegnać, lecz nie było już ani Majki, ani łąki pływającej.

Jezioro zmalowało, ułożywszy się po dawnemu w swym zwykłym, drzewami zaznaczonym obrębie.

Zdążył jeszcze Dziura postrzec, jak się jezioro cudotwórcze nabytego bezmiaru pośpiesznie wyzbywa i jak, gospodarnie uprzątając kędys⁴⁹ spłoszone resztki zakłętego ogromu, stara się wysiłkiem wód rozpasanych nacichnąć i znieruchomić w swym przyrodzonym ograniczeniu.

Księżyc na jego pomarszczonej nocnym powiewem równi rozmnożył się teraz w niepodzielną a do upatrzonego miejsca luźnie przytwierdzoną gromadę paciorów srebrnych, które, wyłuskując się nawzajem ze siebie, zdawały się nie przekraczać w swych jednoczesnych zanikach i narodzinach umówionej raz na zawsze liczby.

Tę liczbę bezimienną mając mimo woli w oku, westchnął Dziura zawzięcie i poczuł w sercu ulgę z powodu, iż pod stopami miał grunt stały, a naokół zwykły porządek śmiertelnych a drogich mu rzeczy.

Zachciało się duszy na wywczasie⁵⁰ pogrześcić, a Bóg jej ani czarów nie poskąpił, ani jej powrozami na bezdrożach nie skrępował, bo nie chciał jej, widać, wolnej woli ująć, jako tej darowizny szczupłej, którą, niby kęs czarnego chleba, od wieków spożywa, a spożyć ani umie, ani może — pomyślał Dziura, głowę na piersi dla tym lepszego myślenia zwieszając. — To tylko pewna, że widział mnie Bóg naocznie, gdym na owej łące chyżej tkwił, jak ten groch potyczony⁵¹, i gdym pokusę własną w kacabejkę watowaną odświeżnie wystrajał, i gdym na palec biały, niejednym zapewne grzechem splamiony, pierścień z granatem radośnie wkładał. A i to widział, jak pończochy białe i trzewiki skórkowe, dla nóg ludzkich mozolnie i uczciwie sporządzone, chciałem ogonowi rybiemu niewiadomym sposobem przytroczyć.

Przeżegnał się Dziura i wolnym krokiem wyszedł z lasu na drogę, a drogą do wsi się udał, która z dala migąła jednym tylko światelkiem w szybie odosobnionej chaty, bo zresztą od pól daleko jaśniejszych odrzynała się ciemność białym kominem tu i ówdzie, jak chustą na odjezdnym, powiewająca.

Wróciwszy do chałupy, spać się położył.

Skrucha i wiosna tak go rozebrały, że zasnął od razu, zaledwo zdążywszy światu całemu na pożegnanie ziewnąć z przeraźliwym, do gwałtownego szczeknięcia podobnym, hałasem.

Zazwyczaj miewał sen bez widzeń, lecz tej nocy widzenia go dręczyły.

Przyśnił się sam sobie jako topielec, na dnie jeziora rozpostarty. Wiedział, że jest bezbronny i bezoporny pieszczotom rusalczanym, a właśnie ruchliwe mrowie rusałek oblegało na wyprzódki jego zwłoki, kraszy dawnej jeszcze nie wyzbyte, które dla pożądlivych warg były snadź strawą wybredną.

⁴⁹kędys (daw.) — dokądś.

⁵⁰wywczas (daw.) — odpoczynek.

⁵¹potyczony — przywiązany do tyczki.

Ziemia

Woda, Przestrzeń

Księżyc

Grzech, Pokusa

Sen

Śmierć

Czuł pod pachami lechtania nieznośne białych, zimnych palców i śmierć własna, zamiast dać ciału wypoczynek, dolegała mu niby okrutna zaraza.

Pożałował siebie, na dnie jeziornym bez niczyjej opieki samotnie poległego, a chociaż nigdy na jawie nie płakał, tym razem jął przez sen popłakiwać rzewnie nie swoim, jeno niewieścim zgola głosem, jakby mu dusza do cna w tym śnie zbabiała.

Ocknął się w końcu, przysłuchując się własnemu, samodzielnie wciąż jeszcze trwającemu płaczowi, rękawem łzy z kątów ślepi rozrzuwionych otarł troskliwie, a jednocześnie gębę po własnej woli szlochającą przyłapał dłonią i stłumił.

Rozejrzął się potem po chacie, przeżegnał się i jak zaczął się bać, tak bał się już do samego rana.

Żadna go siła od tego strachu, jak od roboty w polu, odciągnąć by nie mogła, bo czegokolwiek Dziura się jął, to lubił do końca doprowadzić.

A nie tylko się bał czynów na jeziorze popełnionych i owej niewiadomości, która z nich wynikała, lecz i samego strachu, który go nawiedził, a którego siedlisko było nie w nim, lecz gdzieś poza nim — w ciemności.

Siadł ten strach na jego duszy, jak kruk na ziemi zoranej, i nic nie mówił, jeno cięgiem⁵² siedział a siedział.

Zrozumiał nagle Dziura, że otumaniała go Majka i czarami uwiodła, aby, grzechem obciążonego, ku sobie zniewolić, a potem śmierć mu podwodną dla swoich zamiarów ruszczanych zgotować.

Śmierci uniknąłem, alem grzechu nie uszedł! — myślał Dziura, bojaźń Bożą gorliwie w duszy rozniecając. — Nie dla mnie te schadzki po księżycu i te dłonie białe, pracą nietknięte. Tak mi z tym do twarzy, jak kobyle we wianku rucianym⁵³! Żle się dzieje, gdy człek nie do swoich rzeczy się kwapi. Po cóż mi było, u licha, jej oczyma na jezioro poglądać i cielskiem nienawykłym tłoczyć się w ową nieskończoność, do której dusza moja ani się przypiąć, ani przyłatać nie mogła!

Postanowił tedy, że już odtąd wszelkich schadzek z Majką poniecha.

I poniechał.

Minęła jedna niedziela i druga, i trzecia, a Dziura do lasu nosa nawet nie wściubił.

Mijały te niedziele tak, jakby mijając gromadziły się nad brzegiem jeziora i wzięwszy się za ręce, patrzyły kędyś w oczekiwaniu i rachowały się nawzajem, że jest ich tyle a tyle.

Dziura bowiem był pewien, że Majka żadnej niedzieli nie opuszcza i wyczekuje go wiernie w umówionym miejscu.

Uczulby nawet urazę i smutek poniektóry, gdyby zawiodła tę wiarę i pewność.

— Niech czeka! — mówił do siebie, uśmiechając się pod wąsem. — Ani się obejrzy, jak wieczność jej na tym czekaniu zejdzie.

Dawny spokój i ład powrócił mu do duszy, gdy nagle pewnej nocy niedzielnej, do snu się właśnie układając, posłyszał w kącie szelest.

Nie chciało mu się głowy od lgnącego do niej snu odrywać.

Niech no jeszcze raz zaszeleści, a obejrzę się i rozpoznam — pomyślał. Zaszeleściło powtórnie.

Niech no trzeci raz zaszeleści, a już pewnikiem się zniecierpliwię i zajrzę — pomyślał znowu.

Zaszeleściło po raz trzeci.

Spojrzał Dziura w stronę szelestu, a tam na podłodze coś się złoci i porusza.

Nic, jeno porusza się i złoci.

Księżyc właśnie do izby przez szybę wkroczył i skośne odbicie okna wydłużył na podłodze tak, jakby chciał przez to odbicie okienne zobaczyć, co się tam pod podłogą dzieje.

Na tym odbiciu coś się w tej chwili złociło i poruszyło. Snop żytni czy diabeł z dukatem w gębie? — pomyślał Dziura i wzroku natężył.

Natężył wzroku i poznał.

Ni mniej, ni więcej, jeno warkocz Majki złocił się w kącie na podłodze i z widocznym wysiłkiem pełznął ku niemu jak żywy.

Łzy

Strach

Grzech

Obcy

Wyrzuty sumienia

Niedziela

Miłość niespełniona

Księżyc

Słowo

⁵²cięgiem (gw.) — ciągle, bezustannie.

⁵³ruciany — zrobiony z ruty, rośliny z drobnymi listkami i żółtymi kwiatkami, używanej jako ozdoba; wianek ruciany to symbol panieństwa.

Zdrętwiał Dziura i wybelkotał jakieś słowo, którego sam zresztą w popłochu nie dosłyszał, a które zapewne określać miało stan jego obecny.

Warkocz, tym belkotem widać ośmielony, pełznął coraz pośpieszniej. Przeżegnał się Dziura w pół drogi, ale znak krzyża w poprzek mu nie stanął i zamiarów jego nie pohamował.

Warkocz aż do stóp mu się przyczoił i tam nieruchomiejąc zwinął się w kłębek jak wąż, snem zimowym zdjęty.

Porwał się Dziura na równe nogi i wybiegł z chaty na świat, rzemień od portek w biegu poprawiając, a warkocz za nim w te pędy, jakby się bał go z oczu, których nie miał, stracić.

Ubiegł Dziura kilka kroków od chaty, lecz widzi, że warkocz go ściga nieodstępnie, puszczając się i złocąc od pośpiechu.

Dziura — na lewo, warkocz — na lewo.

Dziura — na prawo, warkocz — na prawo.

Ani się odczepić od niego, ani mu umknąć, ani go się dobrym słowem pozbyć. Chwylił Dziura kamień i cisnął.

Kamień w warkocz ugodził.

Zalśnił się warkocz złością od tego pocisku i znów do Dziury pełźnie.

Kopnął go Dziura nogą, a on u stóp mu się uklada i łąsi się, i waruje, jak ten pies wierny, którego ani kopnięciem, ani kamieniem odegnąć nie można.

Zawstydził się Dziura swego uczynku i od wstydu złagodniał.

Łeb mi się pewno snem zbyt zaproszył, żem się warkocza dziewczęcego uląkł! — pomyślał, krzepiąc się na duchu. — Nie bałem go się, gdy głowę Majki zdobył, a zatrwożyłem się teraz, gdy samopas po ziemi, jak robak bezdomny, pełźnie. Niech sobie pełźnie, jeśli mu przytulku na świecie zabrakło.

I znów wszedł do chaty.

Warkocz za nim.

Dziura tę noc spędził bezsennie, wpatrzony w warkocz, który, złocąc się usilnie, noc całą u stóp jego przeleżał.

Nad ranem dopiero wypełznął z chaty za próg i znikł żywcem, jak żywcem się zjawił.

Do następnej niedzieli nie było jakoś ani szelestu w chacie, ani warkocza.

Miał już Dziura nadzieję, że się ta zjawia nie powtórzy. Mylił się jednak. Skoro niedziela nastała i noc zapadła, warkocz znowu chatę jego nawiedził, aby swe brzemię złote u stóp Dziury pod jednym z nim dachem przenocować.

Trza będzie do znachora⁵⁴ po radę się udać — zawyrokował Dziura.

I poszedł do znachora.

Był wieczór.

Znachor mieszkał za wsią, w małym lipniku, którego długie cienie wybiegały daleko poza dany im zakres, co chwila układając się inaczej na murawie niskiej, w świetle wieczornym, każde źdźbło z osobna rozwidniającym.

Zdawało się, że od ruchu tych świateł i cieni ludno jest w lipniku i że panuje tam pośpiech nieokreślony oraz nieustanna zmiana miejsc na murawie, jakby tam szukano kogoś, kto się jednocześnie za wszystkimi drzewami ukrywał...

Szczupła chałupa, wśród lip przejrzyście zatajona, miała dwa kominy. Jeden — do połowy rozwalony, bezczynny i bez żadnego użytku, jeno przez pamięć dla minionych zasług na dawnym miejscu sterczący, a drugi nieco opodał — czynny i wzrostem górujący pierwszemu.

Z drugiego właśnie komina wysnuwała się równa i wiotka struga bezwolnie uchodzącego dymu, który na pewnej wysokości tracił skupioną równowagę i z lekka opadając, rozluźniał się w drobne i zawile kędziory, mrowiące się aż do zaniku w purpurze wieczornego słońca.

Chałupa miała drzwi tak niskie, że chyba krasnalek albo garbusek mógłby przez nie wnijsić⁵⁵ swobodnie. Pomimo to właściciel chałupy był niemal olbrzymem i wszystkich mieszkańców wsi wzrostem prześcigał.

⁵⁴znachor — samouk zajmujący się leczeniem ludzi i odczynianiem uroków.

⁵⁵wnijsić (daw.) — wejść.

Zastał go Dziura stojącego na środku jedynej izby, z głową nieco pochyloną dla uniknięcia zbyt niskiego pułapu.

Tkwiał w ciasnocie izby na kształt owego dębu, wokół którego altanę dla sposobności sklecono, biorąc dąb za ośrodek i podporę.

Tkwiał w bezruchu, czy to dlatego, że nic innego nie miał na razie do roboty, czy też dlatego, że mu tak było najwygodniej i najzwyczajniej.

Wąs miał siwy, obwisły, dwojgiem sutych strzępów zasłaniający całą dolną część twarzy, jakby ta część była zbyt duża lub zaniedbana. Za to część górna odznaczała się czołem łagodnie szerokim i oczyma piwnymi, które patrzyły surowo, lecz dobrotliwie.

Pomimo siwizny wąsów, czuprynę posiadał kruczą jeszcze i bujną.

Znać było, że lubił wygodę, utulność i zadomowienie się drobiazgowo gospodarne, bo miał i ławę, i zydle⁵⁶, i kufer, codziennym czyszczeniem wygładzony, i pościel olśniewająco białą, z doborem poduszek od największej do najmniejszej, i stół, podarunkową zapewne i niezwykle wzorzystą serwetą nakryty, na stole zaś gąsiorek z nalewką wiśniową własnego przyrządzenia.

Po kątach zieleniały wiązki świeżego tataraku, którego woń, zmieszana z jakimś parnym i jakby chlebowym zapachem ścian pobielanych, napelniała wnętrze izby.

Na jednej ścianie barwił się starannie okurzany obraz Matki Boskiej w wieńcu z kwiatów zasuszonych, a obok obrazu wisiało w cienkiej ramie dębowej błogosławieństwo z napisem: *Pokój temu domowi*.

Wisiała też, do środka pułapu przytwierdzona, a własnoręcznie przez znachora wystrugana, klatka z kanarkiem, w którą teraz właśnie, stojąc w izbie, patrzył tak, jakby wzrok w dali nieograniczonej utkwiał, chociaż miał tę klatkę tuż popod nosem.

Powitał gościa nieznacznym skinieniem brwi i obojętnie, dając do poznania, że chata jego nawykła do tego rodzaju odwiedzin.

Dziura stanął w milczeniu i ze czcią.

Przestępując próg tej chaty, czuł przyjemny zamęt w głowie, za którą teraz inna, wprawniejsza głowa pomyśli, ujmując jej brzemienia i kłopotu.

Znachor milczał uparcie, jakby nagle podwoił swe milczenie. Dziurze wydało się, że zapomniał o jego obecności, lecz nie śmiał tak wzmożonego milczenia przerywać.

Potrzebne mu widać to milczenie — pomyślał. — Pewno się do rozmowy przyspasabia albo wiedzę w pamięci gromadzi i gruntuje...

— Przyszedeś? — spytał nagle znachor w chwili najmniej dla Dziury spodziewanej, lecz oczu od klatki z kanarkiem nie odrywał.

— A jużci — potwierdził Dziura.

— Nie byłeś dotąd u mnie — zauważył znachor ze źle ukrytym żalem i spojrzął na Dziurę tak, jakby go za ową niebytność strofował i karcił.

— Powód się jakoś nie trafił — odparł Dziura z poczuciem winy nieokreślonej.

— A teraz trafił się? — spytał surowo znachor.

— Trafił się — pochwycił Dziura.

— Po to istnieje na świecie ów powód, aby się ludziom trafił — rzekł znachor i wskazał dłonią miejsce na ławie popod ścianą.

Dziura usiadł.

Co to on teraz mi powie? — pomyślał ciekawie.

Znachor zydeł przysunął i też usiadł — na wprost Dziury, aby go spojrzeniem surowym badać uporczywie.

— A wiesz ty — spytał nagle głosem uroczyście jednostajnym — a wiesz ty, że prajciec nasz Adam, zanim grzechem się splamił, miał skórę rogową, której się żadna śmierć nie miała?

— Nie wiedziałem o tym — odparł Dziura, prostując się nieco i sztywniejąc na ławie.

— A wiesz ty — rzekł znowu znachor — że na Ziemi Indyjskiej jest rzeka Dżumna, w której czarownicy topią? Woda tej rzeki czarna jest i drzew nadbrzeżnych nie odbija. A kto się tej wody napije, ten nie tylko pragnienia nie ugasi, lecz umrze i po śmierci jeszcze wargi spiekłe, jak do picia, składa i wargami tymi, w grobie leżąc, wilgoć z ziemi wysysa, aż ziemia w tym miejscu pęka od posuchy. Wiedziałaś o tym?

⁵⁶zydel (z niem. *Sidel*) — drewniany stołek a. krzeselko.

Dom

Mędrzec

Wina

Woda

— I o tym nie wiedziałem — odrzekł Dziura i uczuł, że wiedza znachora poczyna już działać należycie.

— A wiesz ty, że przez wylot sęka w trumnie diabła zobaczyć można? — mówił dalej znachor. — Najlepiej go w Wielki Piątek oglądać i wówczas pisanką tak weń utrafić, aby mu ze łba czapkę niewidomską strącić. Pozbawiony tej czapki dla wszystkich widzialny się stanie. Widywałeś go kiedykolwiek?

— Gdzieżbym ja go tam widywał! — odrzekł Dziura. — Nieuczony jestem i sposób nie znam. A jeśli go nawet i widywał, nie wiedziałem pewno, że to właśnie on, a nie kto inny, bo i czegoż się czasem na tym świecie człek nie dopatrzy!

— Widywałem go nieraz — rzekł znachor, ręką niedbale machnąwszy. — I on mnie widywał, straszyl, straszyl, aż i znikł, sam widać nastraszywszy się czegoś niespodzianie.

Znachor zamilkł.

Nagle jego milczenie nappełniło Dziurę trwogą, tym bardziej że znachor jął się weń wpatrywać coraz mozolniej i nieodparciej. I znowu, w chwili dla Dziury najmniej spodziewanej, ukryte w wąsach wargi znachora poruszyły się, jak węże w oczeretach⁵⁷, po to tylko, aby tym razem wyszeptać jakieś zaklęcia, ze słów dziwnych i niepochwytnych złożone. Słów tych Dziura starał się nie usłyszeć, wiedząc z góry, że ich nie zrozumie i jeno trwogi bezpotrzebnie sobie przysporzy.

A znachor mruczał i mruczał, zasypując go wciąż tymi słowami, którym końca, zda się, nie było.

Jeśli tych słów nie ukróci, głowa mi pewnikiem wniwecz się zamroczy i — nie daj Boże — zdębieje na karku, jak ta kapusta, co w kół poszła — pomyślał Dziura, oburącz za ławę się dzierzając, aby głowie podpory jakiegokolwiek ciszkciem dostarczyć.

Na szczęście znachor przerwał swe zaklęcia.

Już się przysposobił i ma wszelką radę na pogotowiu — pomyślał Dziura z ulgą na duszy.

— Powiadaj, co się przytrafiło — spytał nagle znachor, po raz ostatni surowo brwi ściągając, gdyż twarz jego przybrała właśnie wyraz dobrotliwy a poufny, jakby chciał się dokładnie i rozumnie wtajemniczyć w niedolę swego gościa, aby tę niedolę odpowiednim lekiem trafnie uzdrowić.

Dziura nabrał tchu i znieruchomiał, aby słowom własnym nie przeszkadzać.

— Tak a tak — zaczął głosem, jaki zazwyczaj na spowiedzi ze siebie dobywał, i opowiedział wszystko od początku do końca — od chwili, gdy Majkę w pszenicy przyłapał, aż do czasu, gdy jej warkocz chatę jego nawiedził.

— Nawiedza mnie co niedziela, gdy noc nastanie, i spać mi nie daje, niby jakiś dusiołek⁵⁸ złoty, którego ani sen ludzki, ani spokój nie obchodzi, jeno to go korci, aby się w swojej godzinie zjawił i swą pańszczyzną nocną odrobił — skarżył się Dziura, wzdychając ciężko na słowach najbardziej westchnienia godnych.

Znachor słuchał uważnie, miarkując coś i starając się zapewne nieszczęście Dziury ze znanymi mu a skrzętnie w pamięci przechowywanymi wypadkami porównać i ocenić.

Widać było po nim, że Dziury z całego serca żałuje i że chce mu wedle sił dopomóc.

— Próbowałeś go przeżegnać? — zapytał.

— Próbowałem.

— I cóż?

— I nic — odparł Dziura — nie uląkł się znaku krzyża.

— Bywa tak, że się dusiołki znaku krzyża nie boją — zauważył znachor i zadumał się głęboko.

Dziura czekał cierpliwie na radę.

Znachor wreszcie głowę po namyśle odchylił i brwi ku górze podniósł, jakby chciał się Dziurze lepiej przyjrzeć.

— Mam radę — rzekł, obrzucając go wzrokiem od stóp do głów — słuchaj uważnie i uczynj wedle słowa rzezonego. W niedzielę wieczorem wodą święconą palce zwilżij i żadnego jada nimi nie tykaj. Gdy się dusiołek w chacie twojej po nocy zazłoci, ujmij go w te palce, wynieś z chaty i po jednym włosku na cztery strony świata rozrzucaj. Rozwiejaj

⁵⁷oczerety — zarośla nadbrzeżne.

⁵⁸dusiołek — w polskich wierzeniach ludowych demon odwiedzający nocą śpiących i próbujący ich dusić, potrafi przybierać postać jakiegoś przedmiotu lub istoty żywej.

Diabeł

Mądrość, Słowo, Czary

Obrzędy

się te włosy po obszarach ziemskich i już się nigdy w warkocz nie splotą. W ten sposób pozbędziesz się dusiołka, a jeśli i ten sposób nie pomoże, wówczas jedno ci tylko pozostało: przyzwyczaić się do onej zjawy tak, aby swoją obecnością snu twego nie naruszała.

— Możliweż to? — spytał Dziura.

— Możliwe — potwierdził spokojnie znachor. — Niedaleko sięgając, ojciec mój nieboszczyk miał takie najście w swym życiu. Co noc go dusiołek nawiedzał i — łatwo powiedzieć — w kształcie wieprza wędzonego.

— Wędzonego? — spytał Dziura.

— Wędzonego — powtórzył znachor, kładąc dumny nacisk na tej niezwyklej okoliczności. — Czego nieboszczyk nie czynił, aby się od dusiołka odczepić! Nic nie pomogło. Co noc przychodził, koło tapczanu stawał i swym wędzonym mięsiwem pachniał w sam nos łasemu na przysmaki nieboszczykowi, odbierając mu sen owym nieproszonym zapachem. Pewnej nocy uwziął się na niego nieboszczyk. „Poczekaj no, sobako⁵⁹ wędzona! — powiedział czy to w głos do wieprza, czy też nie w głos, jeno w myśli do siebie, już nie pamiętam dokładnie, jak było. — Poczekaj no, sobako wędzona! Nie popsujesz mi snu ani swą osobą, ani zapachem, bo się na przekór twym zamiarom i do osoby, i do zapachu przyzwyczaję!” I jak się zaczął przyzwyczajać, tak się przyzwyczaił. Odtąd nie tylko spał smacznie pod jednym dachem z dusiołkiem, lecz jeśli wypadkiem dusiołek się opóźnił, nieboszczyk zasnąć nie mógł i wyczekiwał go niecierpliwie. Tak się z tym dusiołkiem żył i tak go oswoił, że mu ten wieprz zjawiony już to chrząkaniem, już to innym jakim wedle swych sił wędzonych sposobem wdzięczność okazywał. A gdy nieboszczyk umierał, głosem od bliskiej śmierci słabowitym rzekł: „Pewnie, że snu wiekuistego pod jednym dachem z onym dusiołkiem nie spędzę, bo wara mu pod ten dach łeb swój wędzony wściubiać smakowicie! Nie taki to dach, aby mógł być wspólnym dla wszystkich bez wyboru! Obędę się jakoś na tamtym świecie bez mego towarzysza, jeno nie wiem, jak to on beze mnie na tym padole doczesnym sobie poradzi?” I umarł nieboszczyk, lecz po jego śmierci dusiołek już się nie zjawił. Tak to bywa na ziemi, że się czasem człowiek z człowiekiem nie pobrata, a ze zmorą się pokuma i na całe życie zwiąże, jak ten dąb z jemiolą. Zastanów się i ty nad tym, czybyś nie potrafił, jeśli rada moja nie poskutkuje, z dusiołkiem swoim jakiegoś pożycia wspólnego zarządzić. Bo, choć ów warkocz ruszczany w twej chacie, jak ta kukulka w cudzym gnieździe, bezprawnie przebywa, lepszy on na wygląd od innych dusiołków i bardziej ci się udał niż nieboszczykowi — wieprz wędzony. Kto wie, czy po śmierci do zmory własnej nie zatęsknisz, która ci się już w martwych ślepiach nie zazłoci? Wszystko się zdarza i na tym, i na tamtym świecie, bo od tego są te światy rodzone, aby się na nich wszystko wedle możliwości zdarzało. A łatwo się tęsknocie zdarzyć po śmierci, bo lubi bezpowrotność i nie znosi odszkodowania. Niech się ten warkocz złoci w kącie — na podłodze, a ty śpij spokojnie i nie turbuj duszy tymi złocistościami.

Znachor mówił o zmorach tak, jak się mówi o chwastach, które z ziemi nie zawsze trzeba wyrwać i wśród których są bardziej i mniej szkodliwe, a są nawet i niewinne. Zapewne dusiołka Dziury do niewinnych zaliczał. Po prawdzie rzekłszy, spodobał mu się w głębi duszy ten dusiołek, a w każdym razie nie czuł doń wstrętu ze względu na kształt i barwę, którą przybierał.

Spojrzał teraz badawczo na Dziurę, chcąc sprawdzić, czy go pocieszył i czy dość ulżył jego frasunkowi⁶⁰.

Twarz Dziury nie zdradzała ani ulgi, ani pociechy, ale jednocześnie nie zdradzała żadnych innych uczuć, prócz tego chyba zobojętniałego nieco i milczącego oświadczenia, że jest tą samą, co zawsze, twarzą Macieja Dziury.

Poruszał jeno usilnie szczękami, jakby dogryzał czy dojadał jakąś spożywcza, a ukrytą w gębie skamieniałość. Nadmiar zadumy pobudzał go zapewne do tej mimowolnej pracy szczękami.

Spostrzegł to wszystko znachor i, niby mimochodem, dorzucił:

— Taka jest rada moja, a nikt ci we wsi trafniejszej nie udzieli. Nie z wypadku jestem znachorem, jeno z przeznaczenia. W poniedziałek się urodziłem i w poniedziałek od piersi mnie odstawiono. Dlatego też znachorem zostałem i w poniedziałki pouczam.

⁵⁹sobaka (pot., z ros.) — pies (tu wyzwiśko).

⁶⁰frasunek (daw.) — zmartwienie.

W głosie znachora czuć było wrodzoną mu dobrotliwość i łagodność. Niektórym wszakże słowom nadawał przynależną im osobiście powagę i wymawiał te słowa surowo i jakby napominawczo. Tym razem słowo „poniedziałek” dostąpiło rzeczowego wyróżnienia.

Dziura westchnął, aby tym westchnieniem rozmowę zakończyć, pożegnał znachora i wyszedł.

Zżywać się z dusiołkiem nie chciał. Sama myśl o tym nappełniała go wstrętem i odrazą. Nie po to na świat przyszedł, aby się ze zmorą zwąchać i zbratać. Dowiedzą się ludzie o tych noclegach niedzielnych i będą chatę jego omijali jak zarażoną. Cóż to bowiem za chata, w której straszy? I jakaż to dziewczka poślubi chłopca, który samowtór⁶¹ z dusiołkiem noc spędza i bezsennością się trapi?

Postanowił tedy Dziura przede wszystkim spróbować doszczętnego rozwiania warkocza na cztery świata strony.

Doczekał się cierpliwie niedzieli i palce w kościele wodą święconą starannie zwilżył. Żadnego jądła tymi palcami nie dotykał i gdy noc nadeszła, z biciem serca czatował w chacie na zjawienie się warkocza.

Warkocz zjawił się o swojej godzinie i, jak zazwyczaj, zazłocił się w kącie na podłodze.

Dziura zbliżył się doń ostrożnie, ujął go w palce i wyniósł z chaty.

Noc była gwiazdzista. Wieś spała. Czasem jeno ozwał się z dala pies samotny, który wydłużonym w ciemności a nie wiadomo dokąd skierowanym wyciem tak wszystko nokoło pomijał, jakby chciał się wraz z swym bólem odwiecznym całemu światu postronić⁶², nie mogąc go rozpoznać po nocy.

Dziura zabrał się skwapliwie do mitrężnej roboty.

Włos po włosie z warkocza wysnuwał i rzucał na wiatr w cztery świata strony. Świeże powietrze zaproszyło się wkrótce tysiącem nici złocistych, które zawirowały w tańcu niepochwytym, jakby chciały sobie miejsce w tych przestworach wytańczyć.

Przez rozplątaną wżwyz gmatwaninę tych nici przeświecały gwiazdy dalekie, przypominając oku obecność nieba poza nimi.

Zdawało się Dziurze, że świat cały, jakby złotym niewodem⁶³ schwytany, zbłąkał się w tej zamieci i że odtąd na tym świecie inny porządek, a właściwie bezład nastanie.

W końcu już nie widział nawet nici, jeno sam płas złocisty i samo zatrzęsienie.

Myślał, że mu nocy nie starczy na rozwianie całego warkocza, a tymczasem ani się obejrzał, jak warkocz stopniał w dłoniach i wreszcie do reszty się ulotnił.

Czekał tylko na chwilę, aż wiatr go kędyś uniesie i zatraci.

Lecz płas złocisty trwał wciąż w powietrzu.

Nie chce się tym złociuchom tak prędko rozstawać ze sobą — pomyślał. — Jak się rozstaną, już się nie zejdą i nie odnajdą nawzajem. Nie siebie samych im szkoda, jeno warkocza, którego między sobą dojrzeć już nie mogą... Potaćną jeszcze kęs czasu i rozwieją się bezpowrotnie.

Lecz płas i popłoch złocisty nie ustawał i tak w końcu dokuczył Dziurze, że nie mogąc się upragnionego skutku doczekać, postanowił do chałupy wrócić, byle oczom widoku tej złotej a nieznośnej krzątaniny w powietrzu ująć co prędzej.

Ale zaledwo krok ku chałupie uczynił, nici złociste jęły się pośpiesznie gromadzić i jednoczyć, i po chwili przekonał się Dziura naocznie, że się splotły po dawnemu w warkocz rusałczany.

Zanim Dziura kroku przynaglił, warkocz pełznął już za nim w stronę chałupy. I znów noc bezsenną pod jednym dachem z tym warkoczem spędzić musiał.

Nazajutrz zastanowił się Dziura głęboko nad tym, co mu teraz czynić i jak postąpić należy.

I nagle nawiedziła jego głowę stroskaną myśl, której się chwycił natychmiast, jak pijany wierzby przydrożnej.

A myśl była prosta: ożenek co najskorszy.

Drećzą mnie zmyry, korzystając z mego stanu bezzennego — miarkował Dziura nie

Obrzędy

Niedziela

Pies

Małżeństwo

⁶¹samowtór (daw.) — sam z kimś wtórym, we dwóch.

⁶²postronić się — odsunąć się na bok, usunąć się.

⁶³niewód — długa sieć rybacka.

bez słuszności. — Niech no się ożenię, a z pewnością nie ośmieli się Majka żonatego człeka swym warkoczem po nocy napastować, bo i powaga moja stanie jej na przeszkodzie, i baby w chacie ułęknie się, jako niespodzianego sprzętu, nie dla jej wybryków, lecz dla mojej własnej wygody nabytego... Po cóż mam dłużej w bezzennym stanie tkwić, jak ten gwóźdź w podłodze albo ta kielbasa na kołku, przez nikogo nie tknięta i nie spróbowana. Niech no się dam spróbować, a wówczas i sam siebie ocenię, i ludzie mi szacunku nie poskąpią.

Z tymi myślami wyszedł z chaty aż hen na drogę i jakby za zrządzeniem Bożym ujrzał idącą naprzeciw młynarzową.

Zoczył ją z dala, jak szła, z lekka kołysząc się w biodrach i tęgimi policzkami czerwieniąc się w kurzu, który stopą co chwila nieciła, a nadołkiem spódnicy zagarniała ku sobie.

W miarę zbliżania się urastała w oczach Dziury, któremu — Bóg wie dlaczego — przyszły nagle do głowy bufory⁶⁴ nadchodzącego pociągu, gdy, zbliżając się do przystanku, olbrzymieje nieustannie.

Olbrzymiejąc właśnie, zrównała się z nim młynarzowa.

Stanęli obydwoje w pobok siebie, nie mówiąc ani słowa i mierząc się nawzajem spojrzeniami.

— Czemuśmy tak stanęli, jakby się nam obojgu droga w tym miejscu skończyła? — spytała młynarzowa zaczepnie i roześmiała się głośno, a śmiech wyłobił jej w policzkach dwa dołki, w których by się dwie śruciny⁶⁵ mogły ukryć bezpiecznie.

— Może nam się i skończyła, a może i zaczęła — odparł dwuznacznie Dziura i spojrział najpierw w jeden dołek, a potem w drugi, a z drugiego przeniósł wzrok na buty własne, sadłem świeżo polśnione.

— Śpieszniej nam było, widać, do tego stania na drodze niż do innej roboty — rzekła młynarzowa i znów się zaśmiała, ale tym razem ciszej i baczniej, tak że tym śmiechem Dziurę ku sobie, jak szmerem jedwabnym, nagle pociągnęła.

Spociał się Dziura i z nogi na nogę przestąpił.

— A gdybyśmy zamiast na drodze, na kobiercu ślubnym stanęli — rzekł z godnością i brwi podniósł.

Młynarzowa, słysząc tę odpowiedź, zarumieniła się i chciała obyczajem dziewczęcym twarz wdowią a zawstydzoną łokciem odpowiednio zagiętym przesłonić. Łokieć wszakże, mimo wysiłku, utkwiał w miejscu zbyt odległym i nie mógł dotrzeć do zamierzonego celu.

Spodobała się Dziurze i ta wstydlivość, i ten ruch łokciem.

— No i cóż? — spytał po chwili milczenia. — Zgody wyczekuję, a odmowy spodziewać się nie chcę.

— A czyż to pierwszy lepszy do mnie się zaleca, abym odmówić się ośmieliła? — odparła młynarzowa nie bez urazy w głosie i spoważniała.

Ma baba słuszność — pomyślał Dziura — przecież naprawdę nie pierwszy lepszy jestem!

I Dziura wyprostował się z lekka oraz piersi w ramionach poszerzył, aby dać poczuciu własnej wartości większą przestrzenność i swobodę w ciele.

Niebo, przejrzyste zachmurzone, ćmiło się srebrnym, we mgle rozcieńczonym słoncem i młodziło się na deszcz, który, z porania⁶⁶ uciulawszy się w świeżym powietrzu, spadł nagle na ziemię z nieprzewidzianym a łatwym pośpiechem. Zabębnił po słomianym kapeluszu Dziury i jasną spódnicę młynarzowej popstrzył z rzadka ciemnymi cętkami.

Młynarzowa ruszyła nagle w dalszą drogę przed siebie, nie tyle deszczowi uchodząc, ile pragnąc przyjrzeć się temu, jak to Dziura teraz w ślad za nią nieodstępnie podążał. Dziura podążył.

Ona poszła przodem, a on, za nią z tyłu krocząc, zalecał się i gwarzył⁶⁷.

Po pewnym czasie zrównał się z nią i wziąwszy za rękę, postraniał⁶⁸ się nieznacznie w chodzie, ukosem zaglądając nie w twarz, którą co chwila odwracała, jeno w tę rękę, którą w swojej trzymał, jakby chciał ją zważyć i brzemię jej ponętne dokładnie oszacować.

Spotkanie

Oświadczyły

Obyczaj

Duma

Niebo, Światło

Deszcz

⁶⁴bufor — zderzak pociągu.

⁶⁵śrucina — kulka śrutu; drobny ołowiany pocisk broni myśliwskiej.

⁶⁶poranie — tu: przedpołudnie.

⁶⁷gwarzyć — prowadzić poufałą rozmowę, gawędzić.

⁶⁸postraniać się — odsuwać się na bok, usuwać się.

Deszcz padał dorywczo, to powściągając dech w powietrzu i szelest po kłosach, to ze zdwojoną mocą wysypując swe ziarna obfite z nieba na ziemię.

Stało się tak, jak Dziura w sobie postanowił. Wkrótce bowiem poślubił młynarzową i od owej chwili zgodnie z jego przewidywaniem warkocz Majki do chaty ani zajrzał.

Bał się widocznie zazłocić bez pytania w oczach baby gospodarnej, która o porządek w chacie dbała wzorowo, albo też nabyta ożenkiem powaga Dziury poskromiła natrętnego dusiołka.

Mówiono wprawdzie we wsi, że już w dwa dni po ślubie nie lubiąca odwłoki baba zaczęła chłopą marudnego bijać i że Dziura takiemu pożyciu nie bardzo się opiera...

Trudno określić dokładnie, ile prawdy było w tych słowach, a ile gadaniny próżnej, gębom ludzkim, jak chleb powszedni, niezbędnej.

Na pewno baba bijąca o połowę mniej, niż ludzie twierdzili, a połowę takiej mitregi⁶⁹ można i znieść, i uznać, i wyrozumieć.

Tak czy owak, sam Dziura naokół wszystkim rozповідаł, że ustatkował się bardzo i że mu z tym statkiem szczęścia w chałupie przybyło.

Pewnej wszakże niedzieli dokuczyło mu owe szczęście już to swym nadmiarem, już to inną jaką zbytecznością, dość że wezbrała w nim nagła tęsknota, którą po dawnemu w karczmie sutym poczęstunkiem uczcił.

Łakomie wypita wódka nie ujęła mu przytomności, jeno dodała odwagi i roznieciła w duszy taką bezgraniczną, na przekór całemu światu, samodzielność, że chłop się nagle bez żadnego powodu rozzuchwalał i pięścią komuś w powietrze pogroził.

— Co zechcę, to zrobię! — krzyknął nagle, zwracając się groźnie do najbliższego w karczmie sąsiada. Najbliższy sąsiad odśmiecchnął się tym słowem, lecz zamiast Dziurze odpowiedzieć, uderzył następnego sąsiada po karku, objął go po pijanemu za przekrwioną szyję i zawołał do ucha:

— Co zechcemy, to zrobimy!

A objęty za szyję przytakiwał jeno rzewnie i na oślep, bo oczy miał przymknięte:

— Będzie nam się dobrze działo, będzie nam się dobrze działo.

I mówiąc to, tak rękami poruszał, jakby smykem po skrzypce prowadził.

Dziura pięścią w stół uderzył.

— Mam słuszność, bo mi się tak podoba! — zawołał znowu i spojrzal wyzywająco.

Najbliższy sąsiad, podniecony tym zdaniem, krzyknął — Hu-ha! — a objęty za szyję rozplakał się nagle i zwiesił głowę na piersi tak bezsilnie, jakby mu się raz na zawsze zwichnęła. Nie mógł usłużny towarzysz ani odchylić tej głowy, ani do dawnego miejsca na karku przystosować, jeno przytknął mu kędyś do ust nadpity przez siebie kieliszek i czekał cierpliwie, aż się ssącymi chciwie wargami pokrzepi.

Dziura odął gębę i zaczął beznamiętnie podmuchiwać w przestrzeń. Zdawało mu się, że to podmuchiwanie nie tylko jemu, ale i wszystkim naokół ulgę sprawia.

Gdy ulżył sobie dostatecznie, ujął głowę w pięście, wsparł się łokciami na stole i tak do późnej nocy potrwał.

Co przemyślał i co przedumał, trudno powiedzieć. To tylko pewna, że nocą karczmę opuszczając, nie do domu się udał, jeno do lasu zбочzył.

Zachciało mu się spojrzeć choć raz na to jezioro, po którym niegdyś z Majką wędrował, łąką pływającą podsnuty i w nieskończoność duszą niewprawną odlatujący.

Przyćmione w pamięci wrażenie owego odlotu odnowiło się w jego ciele i napełniło je ożywym dreszczem zakazanej a kuszącej swobody.

Odepchnięte niegdyś poczucie bezmiar uderzyło weń, jak luna pożarna w szybę ciemną uderza, ślepiąc ją po wierzchu, a wnętrza poza nią nie rozwidniając.

Nie rozumiał bowiem, czemu zdąży do owego jeziora. Wiedział tylko, że z drogi nie zawróci i że mu dusza w piersi się panoszy i rozrasta, niby stóg siana, widłami przysparzany.

Wódka powoli z głowy mu doszczętnie wywietrzała, ale tęsknota do jeziora tak się dopełniła, że już jej w myślach od samego jeziora ani odróżniał, ani odłączał.

Po drodze, jeno na wpół wiednie, na wpół bezwiednie piołunu garstkę uzbierał i za pazuchą ukrył.

Przez las idąc, kroku coraz przynaglał i wkrótce do jeziora się zbliżył.

Małżeństwo

Żona

Przemoc, Plotka

Szczęście

Tęsknota

Pijaństwo

Pokusa, Tęsknota

⁶⁹mitrega — trud, męczenie się.

Majka wiernie czekała nad brzegiem.
 Spojrzał w nią Dziura i znieruchomiał.
 A i ona żadnym ruchem nie zakłócała tej ciszy, której noc udzielała chętnie jej smukłej postaci. Księżyc dojrzewał w niebiosach. Ubrana była dotąd tak, jak ją Dziura był ubrał. Nie chciała widocznie pozbywać się drogiego dla niej, bo przezeń wybranego stroju. Strój

Miała na sobie tę samą kacabejkę watowaną i ten sam letniczek fiołkowy. Na jednej dłoni lśnił się pierścionek z granatem, a w drugiej trzymała trzewiki skórkowe i pończochy białe, jako pamiątkę kosztowną, choć bezużyteczną. Na szyi jej połyskiwały dętki swym szkliwem nieważkim, które nabyło od księżycy barw odmiennych, pokrewnych rzeczywistym, a jednocześnie niezgodnych z nimi i niebywałych.

Dziura obrzucił ją wzrokiem i w miejscu należytym ujrzał ogon rybi, na murawie leśnej poległy zwiniętą w muszlę kończyną. Obcy

Na widok ogona opamiętał się i odzyskał dawny rozsądek.
 Lepsza moja baba, bo jej nóg nie brak i ogonem mi oczu nie kala — pomyślał z zadowoleniem.

Majka dłoń z pierścionkiem nieśmiało wyciągnęła ku niemu na odległość, którą Dziura wzrokiem zmierzył natychmiast.

— Czekałam — szepnęła.

Dziura nic nie odpowiedział, jeno spojrzął na jej warkocz złocisty, aby zbadać, czy jest i czy na miejscu się znajduje właściwym.

Warkocz złocił się i puszystymi zwojami opadał, jak zazwyczaj, z ramion ku stopom. Widok warkocza poruszył w Dziurze niechęć zatwardziałą.

Nie mógł nań patrzeć inaczej, jak właśnie na dusiolka, który go dręczył po nocach.

— Czemuś nie przychodził? — ozwała się znowu Majka.

— Niesporo mi było — odrzekł Dziura i znowu pomyślał: Wolę ja warkocz mojej baby, bo choć od ogona świńskiego nie większy, aleć za to po nocach nie straszy i samopas po kątach się nie włóczy.

— Płakałam — rzekła tymczasem Majka, rozszerzając oczy, jakby chciała mu w całej pełni pokazać źródła tego płaczu. — Nie miałam kogo posłać do ciebie z wiadomością o łzach nieustannych, więc posłałam warkocz własny, aleś go odepchnął. Oko Łzy

— Na głowie nieźle on wygląda — zauważył Dziura w odpowiedzi — ale gdy w chacie na podłodze się zazłoci, trudno się doń nawet bezżennemu człękowi przyzwyczaić.

Majka westchnęła.

— Chcesz na jezioro moimi oczyma popatrzeć? — spytała nagle z natężoną bacznością.

— Któż by tam, mając własne ślepie, cudzymi chciał zerkać bez potrzeby? — odparł Dziura wymijająco.

Majka opuściła bezsilnie dłoń, dotąd wciąż jeszcze wyciągniętą.

— Masz piołun w zanadru? — szepnęła cicho, że Dziura ledwo dosłyszał.

— Mam — odpowiedział, dotykając piersi gospodarnym ruchem robotnej dłoni.

Majka uśmiechnęła się gorzko.

— Doszły mnie tu pod wodą słychy-niedosłychy, żeś kobietę ziemską poślubił — rzekła, nie patrząc mu w oczy i jakby wstydząc się spodziewanej odpowiedzi. Żona

— A jakże — potwierdził Dziura z dumą.

— Nie przykrzy ci się z nią sam na sam w chałupie? — spytała Majka i podniosła spuszczone przed chwilą oczy.

— A komuż by się sam na sam z babą przykrzyło? — rzekł Dziura głosem niepewnym i natychmiast dorzucił: — A jeśli mi się i przykrzy, ma baba na mnie trzy sposoby, aby ze mnie owo przykrzenie się wytrzebić⁷⁰. Przemoc Śmiech

Uśmiechnęła się Majka i pyta:
 — Jakież to sposoby?
 Ujął się Dziura pod boki i nadrabiając miną, powiada zuchowato:
 — Pierwszy sposób — bicie pałką po głowie, drugi sposób — bicie kijem po skroni, a trzeci — bicie drągiem po łbie.

⁷⁰wytrzebić — całkowicie zniszczyć.

— Któryż z tych sposobów najbardziej ci do serca przypada? — zacięła się Majka i usta rozwarła w oczekiwaniu odpowiedzi.

Zamyślił się Dziura, zakłopotał się nie na żarty i po głębokim namyśle rzecze:

— Do serca — żaden, a do głowy — wszystkie trzy.

Majka zaśmiała się srebrnym, ku wszelkim dalom i oddalom rozdzwonionym śmiechem i tak, jak stała na brzegu, w kacabejce wutowanej, w letniczku fiołkowym, z trzewikami i z pończochami w rękę — skoczyła do jeziora i znikła pod falą.

Wszakże śmiech jej trwał wciąż jeszcze w powietrzu i obijał się nieustannie o niechętnie chłonna go uszy Dziury.

Urażony nieco tym śmiechem odwrócił się i zmiarkował, że czas już do chałupy zdążyć, tym bardziej że go ta długa nieobecność w domu niepokoić zaczęła ze względu na babę i na własną skórę.

Wybrnął co żywo z lasu i pośpiesznym krokiem dłużącą się drogę przebył.

Gdy do chałupy się zbliżył, baba z drągiem w progu już czekała. Dziura chrząknął i zbladł.

— Gdzieś bywał? — spytała, jakby to pytanie nie tylko na końcu języka, lecz i na końcu drąga miała.

Zawahał się Dziura z odpowiedzią, bo wahanie ze względu na przewłokę lubił, a odpowiedzi natychmiastowych, dla ich braku w głowie, nie znośił.

— Gdzieś bywał? — powtórzyła baba głośniejszym i nieodparciem, tak że nie mógł już Dziura pytania milczeniem pominąć. Poskrobał się w głowę i westchnął.

— Albo ja wiem? — rzekł nareszcie takim głosem, jakby naprawdę wszystko inne wiedział, prócz tego właśnie, gdzie bywał.

— A któż ma o tym wiedzieć, jak nie ty? — zawołała baba. — Czy kto inny za ciebie tę noc poza domem spędzał?

— Pewno, że nikt inny jej za mnie nie spędzał, jeno ja sam, we własnej osobie — zgodził się Dziura i uczuł, że ta zgodność napełniła go nagle rodzajem nieuzasadnionej zresztą i zgoła niepochwytnej otuchy.

— Mów mi zaraz, gdzieś bywał! — krzyknęła baba głosem aż do krztuszenia się zniecierpliwionym i drągiem potrząsnęła umiejętnie.

A Dziura jak to Dziura, uśmiechnął się przebiegle i, niby rad ze swego odkrycia, powiada:

— Nie głupim! Gdybym ci wyznał, gdzie bywał, pewno byś mi tym drągiem głowę rozpaloną wystudziła.

Jak nie porwie się baba do drąga, jak nie zacznie go właśnie okładać! Zdawało się Dziurze, że mu duszę z ciała, jak ziarno dojrzałe z byle jakiej plewy, na wiatr wymłóci! Zdołał w czas pochwycić chwilę wolną pomiędzy jednym ciosem a drugim i gębę łokciem na chybił-trafił osłaniając, zawołał co prędzej:

— Poniechaj, babo, a wyznam wszystko!

I wyznał.

Podlasiak

*Spotkały się dwa zuchy,
Ten ci ślepy, ów — głuchy.*

Przygadywka ludowa

Było ich dwóch: prawy — kulawiec, a lewy — jednoręki.

Ten ostatni posiadał jeno⁷¹ lewicę, więc mu było dogodniej i ściślej podczas wędrówek nieustannych prawym, przegrody wszelakiej wyzbytym ramieniem z przyjacielem się stykać, a lewicy, którą wielce sobie ważył, swobodę i przestronność pozostawiać.

⁷¹jeno (daw.) — tylko.

Obydwaj nawykli do tych niezmiennych a współzależnych względem siebie stanowisk, jak para dobranych szkap, w jednym chodzących zaprzęgu, z tą jeno z dała już postrzeganą różnicą, że kulawiec pod wpływem zawiłych wymogów mitręznego kalectwa potykał się i poskakiwał, jakby co chwila pracowitym ułamkiem niedokończonej prawej nogi na świat cały wierzgał opryskliwie, a jednoręki maszerował żwawo, jeden krok dając na kilka przenośnych podrygów dygotliwego przyjaciela.

Toteż jednoręki dzierzył głowę na karku statecznie i ze świadomie pionową przewagą nad kulawcem, który co krok tykwiastą półkolą połyskliwej łysiny wstrząsał luźnie i przymuszenie, niby podrzucany pełną pośpiechu bryką o zatwardziały resorach, o ile wolno tak zamożnym porównaniem obarczać biedaka, wiedząc z góry, iż wolałby podrzuty wzmiankowanego inwentarza⁷² niżli własnego kadłuba.

Zdawało się, iż głową swoją, niby stroskaną i boleściwą grzechotką, przyjaciela kosztem własnej niedogody zabawia nieustannie, aby mu wynagrodzić trud współwędrowania.

Idąc, czapę w rękę na odmach trzymał i okrywał nią niespokojną głowę jeno w chwili postojów, w przeciwieństwie zresztą do druha, który ze swej czapy wprost odwrotny czynił użytek.

Tak czy owak, każdy swej strony trzymał się starannie, gdyż w razie nieogłędnego miejsc pogmatwania wikłali się w zgubionym karygodnie kroku i jeden drugiemu stawał się nagle ciężarem nie do zniesienia i przeszkodą nie do usunięcia.

Zgryźliwy i nieustępliwy kulawiec narzekał wówczas na wściubską⁷³ lewicę przyjaciela i bezprawną obecność jej u boku wyczuwał, niby natłok zbyteczny i ciasnotę dokuczliwą.

Jednoręki zaś, łagodniejszego będąc przyrodzenia⁷⁴, kolaniem jeno z lekka napominał i odstraszał szturchającą go na kształt ślepego wahadła nogę kulawca, której z kolei przypisywał namolną zbędność piątego koła u wozu. Przy czym ów wóz mimo woli za swoją i nietykalną własność uważał, a piąte koło za niedorzeczny i złośliwy pomysł zuchwałego przyjaciela.

Rzadko wszakże zamieszka taka się zdarzała.

W ostatnich szczególnież czasach przyjaciele wzajem na siebie uskarżać się nie mogli.

Wyruszając w drogę, obrzędowo niemal zajmowali swe lewe i prawe stanowisko, z tym jednak pomniejszym zastrzeżeniem, że jednoręki, mając na usługi dwie całkowite nogi, zajmował je pierwszy i od razu, kulawiec zaś czynił to z niepoprawnym, aczkolwiek nieznacznym opóźnieniem, zrywając się z miejsca jak do łamanego lotu i z podejrzliwą bacznością obskakując wyczekującego cierpliwie towarzysza.

Po czym szli zgodnie i umownie.

Jednoręki swe kroki powolne do szybkich podrygów kulawca dostosowywał tak umiejętnie, jak gdyby z uroczystymi przestankami⁷⁵ wtórzył na basetli⁷⁶ piskliwej krzątanie smyka na strunach w nic, prócz własnego pisku, nie zasłuchanej skrzypki.

Jeśli jednoręki trafem kulawca z oczu stracił, szukał go zawsze na prawo.

Kulawiec w tym samym wypadku na lewo zerkał nieomylnie.

Dzięki obopólnej bezdomności, zawsze im bywało po drodze i myśl o rozłące, jako nierzeczywista i niewykonalna, nie miały dla nich ani znaczenia, ani zastosowania.

Obojętny był im kierunek zdybanej⁷⁷ drogi i obojętny podział świata na cztery dokładnie oznaczone strony.

Na dwie go zazwyczaj dzielili: lewą i prawą, a i ten podział zbyt był osobisty i miał na celu nie ujęcie w ład przestrzeni, jeno uporządkowanie ich wędrownego współstosunku i współkroczenia po powierzchni ziemnej.

Szli skądkolwiek — dokądkolwiek, a raczej — znikąd — donikąd, co, mimo jednakiej treści, dzięki rozłożystym w swym nieokreśleniu wyrazom sporszy⁷⁸ na pozór kęs świata zagarnia i uprzytamnia.

Bieda

Przestrzeń

Życie jako wędrowka,
Bezdomność

⁷²inwentarz — tu: pojazd, sprzęt.

⁷³wściubski — wściubski; taki, który się wściubia, tj. pcha się wszędzie nieproszony.

⁷⁴przyrodzenie — natura; tu: charakter, usposobienie.

⁷⁵przestanek (daw.) — przystanek, przerwa.

⁷⁶basetla — polski ludowy instrument smyczkowy o niskiej skali, kształtem przypominający wiolonczelę.

⁷⁷zdybany — tu: znaleziony, przypadkowo przyjęty.

⁷⁸sporszy — większy.

Świat, w ten sposób zagarniony i uprzytomniony, udzielał im wszystkich dróg na raz, a żadnej z osobna.

Szli po chlebie próbowanym, nie pragnąc innego.

Przyszli na świat po to, aby co chwila, nieustannie i raz jeszcze znikąd donikąd przychodzić, jakby przyjscie na świat prócz przyjscia żadnych innych skutków samo przez się za sobą nie pociągało.

Kulawcowi ten świat zdawał się — stromy i niedoskoczony, a jednorękiemu — niepochwytny i uboczny.

Jeden na tym stromym, a drugi na owym ubocznym świecie znajdowali czasami już to but, splaszczoną przyszwą⁷⁹ w piach wbitą, a dziurawą podeszwą ku niebu tak zwrócony, jakby właściciel, pod ziemię ze wstydu uciekając, na powierzchni w pośpiechu go zostawił, już to pergaminowo zeszytniałą na wietrze i rdzawymi zajadami popiętnowaną szmatę, która na próbne uderzenia kija odzywała się pohukiem drzwi, gwałtownie zatrzęsniętych, już to połowiczny rzemyk od niewiadomych raz na zawsze portek, nie tyle widać zgubiony, ile odrzucony jako zgoła bezużyteczny, a który mimo to, zaszyty w przeguby stężałego i kołami wytłoczonego błota, zdawał się napraszać na jakikolwiek postronny nawet i niewłaściwy mu użytek.

Pomiędzy obojgiem przyjaciół ustalili się zwyczaj milczący i surowy, że przedmiot na drodze znaleziony należał do tego, który go pierwszy zaoczył⁸⁰, nie zaś ręką dosięgnął lub nogą dla przyswojenia nadepnął.

Pierwszy bowiem warunek jednorękiemu, a drugi kulawcowi by nie odpowiadał.

Chociaż trudno było sprawdzić pierwotność zaoczenia, wszakże towarzysze oszczędzali sobie pod tym względem zawodów i nieporozumień.

Obydwać tak rzetelnie i święcie dbali o nienaruszalność wspólnego obyczaju, że każdy ze czcią bogobojną usuwał się od prześlepionego przez siebie znalazzku i nie rościł żadnych praw ani żalów do nabytej przez drugiego własności.

Piechtami⁸¹ kawał świata zdreptawszy⁸², poznali skąpy nadmiar zabrakowanych i niczych przedmiotów. Rozumieli przeto zbrodniczość i okrucieństwo grabieży, popełnionej na tak rzadkich, a zawczasu we wzrokowe posiadanie ujętych relikwiach. Te ostatnie miały dla nich szczątkowy urok sprzętów domowych i poufny czar osiadłego kędyś⁸³ na stałe zapiecka⁸⁴.

Koczując z miejsca na miejsce i wiedząc z góry, że nikt ich nigdzie nie czeka, dochrapali się wreszcie takiego samopoczucia, jakby nigdy i nigdzie ich nie było...

Rzec można, iż zanieistnieli w sobie.

Jednakim bez różnicy wzrokiem patrzyli na przedmioty martwe, na zwierzęta, na rośliny i na ludzi, bezwiednie równając wszystko do jednego kędyś prapoziomu...

Raz nawet ktoś wrażliwszy, gdy im jałmużnę podawał, stwierdził mimo woli, iż patrzają nań jak na pień lub na trupa, i uważając to za złą wróżbę, zaklął, splunął i odwrócił się od nich z niemylm, aczkolwiek nieuzasadnionym uczuciem, że jest albo będzie wkrótce takim samym właśnie, zawczasu przez nich upatrzonym pniem albo trupem.

Nie mogli sobie widać pozwolić na zbytek oglądania świata pod rozmaitym kątem i z rozmaitego stanowiska.

Nie mieli zresztą ani kąta, ani stanowiska.

Świat ich żywcem roztrwonił w swych obszarach, jak dwa złamane i do obiegu niezdatne szelągi⁸⁵.

I teraz oto szli znikąd — donikąd.

Zbliżyli się trafem do lasu i, od dawna zdrożeni, zgodnie, choć milcząco postanowili na jego widok wypocząć.

Najczęściej w lasach przygodnej szukali przystani.

Żebrak

Własność, Obyczaje

Bezdomność

Zabobony

Zmęczenie

Las, Przestrzeń

⁷⁹przyszwą — górna część buta, przyszyta do podeszwy.

⁸⁰zaoczyć — zobaczyć.

⁸¹piechtami (gw.) — pieszo, na piechotę.

⁸²zdreptać — przejść, przemierzyć pieszo.

⁸³kędyś (daw.) — gdzieś.

⁸⁴zapiecek — posłanie na piecu, najcieplejsze miejsce w chałupie.

⁸⁵szeląg (daw.) — drobna moneta; miedziak (por. powiedzenie *Znać kogo jak zły szeląg*).

Była to zresztą przystań na drwiny i wypoczynek na opak. Po prawdzie bowiem mówiąc i zapatrując się na istotę rzeczy ze stanowiska bezwzględnie trzeciej osoby, należałoby raczej przypuszczać, iż wypoczywali nie w samym lesie, jeno w tym, co inni ludzie „widokiem lasu” przezywają, mając przy tym na myśli nie tyle las, ile własne oczy.

Zatrzymali się na samym przylesiu, nie śmiejąc wnikać głębiej — w szum i w cieniistość, gdyż takie wniknięcie mogłoby przydać im podejrzany wygląd ludzi poszukujących kryjówki, a zbytne zboczenie z drogi mogłoby narzucić im pozór zbiegów.

Zaludnili więc sam widok lasu, jakby w celu uzupełnienia i ożywienia nieprzynależnego nikomu obrazu.

Zdawałoby się, że nawet las, w ścisłym tego słowa znaczeniu, był niedostępny dla tak rdzennie bezdomnych dziwadeł i wzbraniając im swej treści istotnej, udzielał jeno swych zielonych pozorów, które na swój sposób i na swoją potrzebę użytkowali wedle możliwości.

Las, do którego się dowlekli, niczym się dla nich nie różnił od tysiąca innych, po drodze spotkanych lasów.

Na świecie trwało jeszcze ciemne rano.

W powietrzu wszczął się pierwszy zamęt i popłoch myszaty⁸⁶ a ponikających w bławym⁸⁷ rozcieńczeniu zmierzchów.

Niektóre z nich, pierzchając⁸⁸ w rozsypkę, szukały piwniczego schronu po jarach i krzewach. Inne, rozpraszając się stopniowo, jak koła na wodzie, ustępowały nieokreślonego w przestworach miejsca nowo przybyłym świtom.

Na niewidziane dawał się odczuwać kulisty i odległy pośpiech nadchodzącego spoza ziemi słońca.

Światło jego, dymne jeszcze i deszczowo mętne, nie rozwidniało przedmiotów, jeno odgraniczało je wzajem od siebie, złotawym kopciem⁸⁹ osiadając na zaoranym polu, które jeżyło i rozluźniało oku swe grzbieciaste zagony, połyskujące na załomach ziemistym i pochmurnym fioletem, niby kruszce wilgotne, tu i ówdzie siekierą zadraśnięte i podważone.

Od pola światło szło do lasu, lecz nie docierając szczerlnie do drzew, pozostawiało pomiędzy nimi a sobą próżnię, mającącą nikłymi przypomnieniami ubiegłej nocy.

Łupliwa i krucha kora sosen, odstając na sękach, jedwabiście rdzawiła się w tym przyćmieniu przedporankowym, a różowomleczne pnie wilgotnych i zawsze chłodnawych brzoź, kędzierzawiąc się na zadrach zwitkami kredowego naskórka, to białeły, jak smukłe śnieżki, to różowiwały przelotnie na kształt nóg bocianich, to znów plamiście migotały swym srokatym przegowaniem.

Jedna tylko ponad rowem strzępiasta i ospowata od rosy pokrzywa blask przedwcześnie złowiła swym najwyższym wystrzelonym liściem, który nad ciemniejszą odeń ziemią płonął jak samotny kaganek i wyprzedzając słońce, skupiał na włochatej powierzchni ukosem podaną złocistość niedostępnego jeszcze dla reszty świata poranku.

Pierwsze wróble, otrzepując na gałęziach pióra i dzioby, ćwierkały po jednemu i nie do końca...

Słychać było od czasu do czasu ich nagły trzepot i dreszcz wśród liści, ociekających kroplami rosy, przemieszanej z otrząśniętym po trosze pierzem.

Na niskiej i niby na jeża ostrzyżonej murawie przyleśnej stał dąb ustronny i rozłożysty. Stał dosłownie, gdyż zdawało się, że w miejscu zetknięcia z murawą kończy się i nie zapuszczając w ziemię żadnych korzeni, samą podstawą rozszerzonego u dołu pnia gruntuje się i równoważy na jej powierzchni.

Obydwaj przyjaciele, przynagliwszy⁹⁰ ostatnich kroków, zbliżyli się jednomyślnie do tego dębu i usiedli pod nim, plecyma⁹¹ wsparci o pień zawile pobrużdżony i mszysty.

Jednoręki zdjąwszy czapkę, plackiem położył ją obok na trawie i nogi przed się wyciągnął, jak chwilowo postronione⁹² wiosła.

⁸⁶myszaty — tu: koloru myszy, szarawy.

⁸⁷bławy — bładoniebieski, modrawy (por. bławatek).

⁸⁸perzchać — uciekać, rozbiegać się.

⁸⁹kopeć — gęsty, ciemny dym; sadza.

⁹⁰przynaglić — popędzić, przyspieszyć.

⁹¹plecyma (gw.) — plecami (dawna forma liczby podwójnej).

⁹²postroniony — odłożony na bok, odsunięty.

Bezdomność

Świt

Cień

Światło

Drzewo

Drzewo

Kulawiec zaś, czapką łysą czerep⁹³ dla sposobności osłoniwszy, niecałą nogę skrętnie podwinął pod siebie, a całą ostrożnie i niby do snu ułożył w kabłąk⁹⁴ na ziemi. Korzystając z jej pobliskości, ciemnym jak szylkret⁹⁵ paznokciem usunął z przegięciny⁹⁶ schodzonej pięty zbyteczny przytwierdek⁹⁷ nabytego po drodze błota.

Siedzieli niemal tyłem do siebie i poglądali na własne utrudzone i przebolące nogi, jakby na tych nogach świat się dla nich w tej chwili kończył.

Jednoręki miał torbę niezmiernie długą i pakowną, choć pustą i zaledwo u dołu z lekka wypaczoną rogatym bezładem szczupłego a rozmaitego brzemienia.

Znać było, iż utrzymuje ją schludnie.

Lśniła się od zgrzebnej, zrudziałej na słońcu czystości.

Od czasu do czasu gładził ją dłonią, jak heblem, strącając z jej kosmatej powierzchni coś w rodzaju zawsze obecnych otrębów.

Przed każdym posiłkiem wyjmował z jej wnętrza znaleziony niegdyś w kałuży przy studni kubek blaszany i oglądał go z jednaką zawsze zadumą i skupieniem.

I tym razem wyjął ów kubek, obejrzał go troskliwie i wszechstronnie i z powrotem ułożywszy na dnie torby, wyciągnął w zamian suchar płaski i dowolnie pogięty. Położył go na czapce, jak na pokaz i przyglądał mu się przez chwilę, rozważając zapewne trafność jego kształtu i stopień pożywności.

Kulawiec był posiadaczem torby kusej i płytkiej, ale upchanej dostatnio i pękatej jak kobza⁹⁸.

Na oślepie i krzątliwie wynurzył z niej spory gień⁹⁹ chleba i przyłapanym palcami rękawem potarł go po wierzchu, jakby dla nadania niezbędnego przed spożyciem połysku. Po czym oburącz rozłupał go na dwoje i na czworo, i smakowitym pochrzęstem ruchliwych szczęk uprzedzając wprowadzenie odpowiedniego do jamy ustnej kęsa, nastawił mu gościnnie dolnej wargi, jak dla przyjęcia komunii.

Chciał widocznie tą wargą przytrzymać w czas sypkie i rozrzutne okruszyny.

Tymczasem już jedna gałąź ciemnego jeszcze dębu rozwidniła się pokątnie¹⁰⁰ — so-czysta od rosy i bursztynowa od wsiąkliwego blasku, a jednocześnie drobiazgowo rzezan-ny¹⁰¹ liść przeciwległej paproci wyprzejrzyściła i zielonkawym zmierzchem pobarwiła szarą pod swym nakryciem ziemię, nadając jej pyłnej powierzchni wklęsły pozór zagadkowo oświetlonego wnętrza.

Kukułka przez sen kukała w głębinie leśnej.

Jej piersiowe i parzyste okrzyki dolatywały z dala, od strony niewiadomej — i czasem tylko zdawały się pobrzmiwać tuż — w samej muszli zasłuchanego na chybił-trafił ucha, napełniając je po brzegi śpiewnym i rachubie dostępnym zgiełkiem.

Przyjaciele nie słuchali na pozór jej nawoływań, a mimo to, ilekroć zakowała¹⁰², tylekroć w takt jej kowania poruszali bezwiednie żuchwami, w których chrupiał chleb, mięsożernie i pieczołowicie miażdżony.

Chleb ten, powietrzem przetknięty i świeżością poranku nasiąkły, upajał ich i przy-prawiał o swoisty zawrót głowy, niby trunek mozolny i cierpliwy.

Zdawało im się, że jednocześnie z tym chlebem pożywają do wtóru i na odległość wonne powietrze porankowe, i parującą w pobliżu macierzankę, i dalszy od niej krzew smolistego jałowca, i skapujące z gałęzi wraz z rosą błyski słońca, które pośpiesznie dojrzewały.

Pożywali cały świat, który obecnie dla ich zgłodniałych oczu stał się nieograniczenie jadalny i dostępny wargom, jak pacierz.

Jedzenie, Chleb

Światło, Rośliny

Ptak

⁹³czerep — czaszka, głowa.

⁹⁴kabłąk — przedmiot zakrzywiony, wygięty w łuk.

⁹⁵szylkret — rogowa warstwa na pancerzu morskich żółwi, używana daw. do wyrobu grzebieni i figurek.

⁹⁶przegięcina — łuk, zagięcie.

⁹⁷przytwierdek (neol.) — rzecz. utworzony od czas. przytwierdzić.

⁹⁸kobza — tu: dudy, instrument muzyczny złożony z miecha skórzanego i przytwierdzonych do niego piszczałek.

⁹⁹gien, zdr. glonek (daw.) — duża kromka, kawałek chleba.

¹⁰⁰pokątnie — po cichu, sekretnie, tajemnie.

¹⁰¹rzezany (daw.) — szlifowany, rzeźbiony.

¹⁰²zakować (reg.) — zakukać.

Nie spodziewali się, że za chwilę zdarzy się wypadek, który im przerwie obrzęd tajemnego i zbyt osobistego użytkowania świata.

Stało się to, co się nie zawsze i nie każdemu przytrafia.

Stał się mniej więcej — cud.

Kruk, przelatujący nad lasem, zakrakał nagle na śmierć temu właśnie dębowi, pod którym siedzieli.

Dąb zrozumiał, że godzina niezwyklej śmierci nastąpiła i że mu dano niemal umrzeć po ludzku, a nie po roślinnemu. Toteż zachwiał się dumnie w swych posadach, wykorzenił się z murawy i zanim kulawiec jednorękiemu, a jednoręki kulawcowi zdążył cokolwiek powiedzieć, przedzierzgnął się¹⁰³ w upiора i stanął pomiędzy nimi w miejscu, gdzie sam przed chwilą był jeno bezrozumnym oparciem ich pleców.

Upiór dębowy połapał się od razu w swym nowym na ziemi stanowisku. Nie znalazł wprawdzie ludzkiego życia, ale zginął śmiercią ludzką, więc ukształtował się na wzór upiórów ludzkich, zachowując jeno w postaci niepochwytnej niemal szczegół, zdradzający dawne pochodzenie, a mianowicie jeden szczątkowy sęk nad prawym okiem, który sterczał ukradkiem jak dość wydatny przeżytek lub zbyt wygórowana rodzimka.

Zaledwo się zjawił, a już kilkakrotnie zdążył zmacać ów sęk palcami i za każdym razem machał dłonią, jakby chciał powiedzieć: „Wiedziałem, że tak będzie!”

Tkwilo poza tym coś dąbczastego w jego potężnych barach, w pogmatwanych kędziarach bujnej czupryny i w dobrodusznym wyrazie szerokiej, i bezładnie brodatej twarzy. Ponieważ tylko człowiek przychodzi na świat lekkomyślnie nago, zaś upiory w dniu narodzin zapobiegliwie przynoszą ze sobą wszelką niezbędność, to znaczy jedyny na całą wieczność przyodziewek, tedy i upiór dębowy nie uchybił tym zwyczajom zagrobnym.

Miał, co miał, aleć nie można było orzec, iż nie miał albo — iż musiał dopiero krwawicą własną zdobywać sobie prawo do stroju i środki do istnienia.

Brakło mu bowiem wszelkich środków, a może nawet i wspomnianego prawa, ale nie brakło stroju i jakiego takiego istnienia.

Miał kapelusz ze słomy w kształcie na bakier przywdzianej strzechy, kubrak z niewiadomego w żółdne wzory samodziału¹⁰⁴, kamizelkę z mchów, naśladowujących od niechcenia spłowiwały aksamit, a rajtuzy z lyka, o nogawkach sztywnych i niewiarogodnie luźnych. Spod rajtuzów wyzierały długie i podstawowo szerokie nożyska, zgoła bosc, jakby w celu bezpośredniego stykania się z ziemią, która tylko w ten sposób dostępna bywa głębszemu wyczuciu i doznaniu.

Z punktu widzenia nawyków codziennych wyglądał niedorzecznie, jak przesadnie wielki zbieg okoliczności.

Dla dwojga przyjaciół wyglądał z bohatera po zbójceku.

Nagle jego przyjście na świat nie wywarło na nich głębszego wrażenia. Pozbawieni oparcia, nie opuścili nawet swych miejsc dotychczasowych. Spojrzeli na zjawionego upiора tak, jakby na wszelkie inne naokół przedmioty, równając go z owym prapoziomem, który bratał czy też niweczył wszelką różnicę i odrębność.

Dla tych znużonych oczu wszystko było zarówno obojętne, a obojętność owa usuwała zbyt uciążliwy i zapewne bolesny wysiłek zdziwienia.

Oczy te bezwiednie stroniły od przepychu zdziwienia, jak od niedostępnych bram zamkniętego pałacu.

Upiór z wolna prostował swe drgające jeszcze rozpędym pośpiechem przeobrażeń członki.

Kulawiec na jego widok resztę niedojedzonego chleba i uciulanych¹⁰⁵ w ręku okrucichów wysypał z powrotem do swej płytkiej torby.

— Dębowy... — szepnął porozumiewawczo do jednorękiego.

— Dębowy — potwierdził jednoręki i przez oka mgnięcia przyglądał się milczącemu dotąd upiórowi, jakby szperał we własnych a stosownych do chwili wspomnieniach.

— Podlasiak? — zapytał wreszcie, zgadując zapewne nazwisko i kiwnięciem głowy nie tyle upiора, ile własny domysł witając.

Przemiana, Upiór

Śmierć

Strój

Natura, Rośliny

Nuda

Imię

¹⁰³przedzierzgnąć się — przemienić się.

¹⁰⁴samodział — grube płótno tkane ręcznie.

¹⁰⁵uciulany — uzbierany.

— Podlasiak — potwierdził basem upiór, z rozkoszą i ciekawością przysłuchując się pierwszemu, który wymówił na ziemi, słowu. Widać podobało mu się, i samo słowo, i dźwięk własnego a nie znanego dotąd jeszcze głosu.

— Zgadłem, że Podlasiak! — pochełpił się jednoręki, zwracając się do kulawca. — Wszystkie Podlasiaki tak wyglądają, jakby zbyt ciężkiej na karku gęby co prędzej pozbyć się chcieli. Po tej chęci poznałem od razu, że Podlasiak!

— Nie miałem dotąd żadnego nazwiska, więc jakiegokolwiek mi dasz, przyjmę z wdzięcznością — zauważył upiór niesłusznie posądzony o chęć pozbycia się nowo ukształtowanej gęby.

— Podlasiaków dwóch znałem: niemowę i ślepca — przypomniał sobie nagle jednoręki. — Niemowa jeno w kucki pochlebco siadywał i pojękując czekał cierpliwie, aż mu jałmużnę z łaski na wystawionych rzędem kolanach, niby na przyzbie, położyą. A ślepiec — ten, psiawiara, jurny¹⁰⁶ był i nie w ciemni bity¹⁰⁷. Po omacku tuż, za odgłosem najcichszych nawet kroków dybał¹⁰⁸, a tak trafnie pyskować umiał, że mu się żaden najzuchwalszy przechodzień nie oparł i nie sprzeniewierzył!

I jednoręki zapewne w imieniu ślepca pięścią pogroził wszystkim rzeczonym przechodniom.

— Żartować nie lubił! — dodał kulawiec, z uznaniem pokręcając głowę.

— Znałeś go? — spytał jednoręki upióra.

— Po co mi te znajomości, kiedy i sam się czuję nie gorszym od tamtych Podlasiakiem? — odrzekł z dumą świeżo mianowany Podlasiak.

Kulawiec w twarz mu wprawnie, jak koniowi w zęby, zajrzał.

— W kogoś ty się udał? — rzekł z niesmakiem po dość mitrężnym namyśle. — Na człeka tak ledwo ledwo zakrawasz, jakbyś go naprędce i od biedy jeno zmałpował.

— Trudno! — odparł z westchnieniem Podlasiak. — Dość się na ten świat już to bokiem, już to łokciami przecisnąć, aby się mimo woli tym lub owym kształtem z gotowego inwentarza zarazić.

I Podlasiak rozwiódł dłonie na znak swej nieodpowiedzialności za własną urodę.

— A co ci tam nad prawym okiem sterczy we łbie, jak ten czop w baryle? — spytał znowu kulawiec i z nieproszoną dokładnością wskazał palcem sęk wiadomy.

— W tym właśnie sęk! — zawołał Podlasiak, wstydliwie obmacując wybitną pozostałość. — Los mnie obdarzył poznałą dziedziczną, która, właściwie mówiąc, bez żadnego uszczerbku mogłaby tkwić w miejscu daleko mniej widocznym.

— Nachyl się jeno, a wykruszę ci tę poznałą bez śladu — rzekł usłużnie jednoręki i wyciągnął chwytną lewicę.

— Unikam wszelkich poprawek i przeróbek! — odpowiedział pośpiesznie i niespokojnie Podlasiak. — Nigdy nie wiadomo, co jest potrzebne, a co zbyt ciężkie. Sam Bóg może w ten doskwierny sposób duszę moją nad prawym okiem zakorkował, aby nie wywietrzała.

— Prawdę mówi — zauważył jednoręki z nagłą czcią dla wszelkiej w ogóle prawdy na tym świecie.

Słońce już wyjrzało od dawna i płonęło w rozmaitych skrytkach lasu, jak w tysiącu bezładnie rozproszonych alkierzach. Niektóre pnie złościły się wypukle, niby oszklone. Na poszyciu leśnym myszkowały tu i ówdzie samotne, w ciemności suto oprawne błyski i migoty, które zdawały się posiadać wagę i własnowolność odruchów.

Na powierzchni murawy rozpostarła się wyplatanka z cieni, powikłanych w krzyż i na ukos, jak powiewne sznurowania.

Niż pajączka, łącząca pobliską sosnę z dalekim krzewem metalicznie zieleniejącego jałowca, barwiła się znikliwie, niby tęczo-wo nieobecna...

Oko widziało zawsze jej ciąg dalszy, zatracając w próżni niepochwytą resztę.

Podlasiak, ciepłotą poranka zagrany, przeciągnął się i ziewnął w samo słońce.

Kulawiec, zachęcany jego przykładem, wydobyl ze splecionych palców pochrzęst kolejny i usta do zamierzonego ziewnięcia rozwarł łakomie, lecz zamiast ziewnąć, zmarszczył

¹⁰⁶ *jurny* — pelen temperamentu, żywotności.

¹⁰⁷ *nie w ciemni bity* (fraz.) — niegłupi, sprytny, zaradny.

¹⁰⁸ *dybać* — czyhać na kogoś a. na coś; znajdować kogoś a. coś.

Kaleka

Uroda, Forma

Słońce

się jak do zacieklego śmiechu i łzawiąc ślepie, zaskomlał tak, jakby mu w szczękach zawiązała rdzawa rozluźniła się ku własnemu zadowoleniu.

— Bracia! — zawołał nagle Podlasiak, tkliwym spojrzeniem obdarzając obydwu przyjaciół. — Ludzie dobrzy! Wędrownicy wytrwali! Bogu dziękuję za to, że was na samym wstępie do swego istnienia spotkał! Raźniej mi z wami w świat iść po szczęście, jako z dwójgiem wiader po wodę!

— Chce mu się tę duszę, ponad okiem zakorkowaną, do cna wygadać — zmiarkował w głos jednoręki.

— Zbyt długo milczałem, korzenia się w ziemi i szumiąc ponad nią! — ciągnął dalej Podlasiak. — Dotąd jeszcze zachowałem tę wstydlivość roślinną, która dopiero po śmierci pozwala liściom stroić się i zdobić w przepychu tęczy, i zdradzać obecność barw tajonych za życia i wzbronnych sobie samym. O, przez długie lata byłem nieobliczalnie smutną ofiarą nieustannej i niestrudzonej wstydlivości!

— Gadaj bez wstydu, bo nie słucham — ośmielił go kulawiec i twarz odwróconą nastawił pilnie słońcu.

Podlasiak skrzyżował dłonie na żółtych wzorach zbrzyżanej słońcem kamizeli.

— Stoję przed wami jako bywalec leśny i z tamtego świata wychodźca, bosymi stopami na ziemi rozkosznie utwierdzony! — zawołał głosem donośnym, postukując stopą o ziemię. — Nie wiem, jak długo jeszcze zdołam w pobok¹⁰⁹ was przebywać. Skoro tylko przypadkiem zbyt blisko się od ziemi odbiję lub odskoczę, czeka mnie pod przymusem niepoahamowanych przeznaczeń, natychmiastowy i bezpowrotny odlot w niebiosy. Taka jest bowiem niedola każdego upióra: pociąg do rozpędu i bezpowrotność odlotu! Latawiec jestem, latawiec rodowity!

— Uchowaj Boże od takiej niedoli! — wtrącił z zadumą jednoręki i westchnął na wszelki przypadek.

— Trudno mu się wygadać, więc dziwaczy, aż mu się pypeć na języku uzbiera — zauważył kulawiec i uchylwszy czapki, obłechtł palcami lśnistą łysinę.

Podlasiak zdmuchnął z wąsa muchę zieloną, która bzykając usiadła mu w pobliżu nozdrzy wraz z jaskrawiącą się w jej ruchliwym bisiorze szczyptą zdrobniałego słońca.

— Ludzie dobrzy! — zawołał znowu, życzliwie kiwając głową i uśmiechem popierając każde kiwnięcie. — Zanim wypadki nieprzewidziane oderwą mnie na wieki od powierzchni ziemi, chcę razem z wami posiąść na niej coś najcenniejszego! Pomyślmy tedy wspólnie, czego nam najbardziej najnieodzowniej dotąd brakowało?

Jednoręki z widoczną troską o wniosek, a kulawiec z niedowierzaniem pogrążyli się w zadumie.

Żaden z nich wszakże nie mógł jakoś odpowiedzieć na pytanie Podlasiaka, a i sam Podlasiak zdawał się gmatwać w myślach rozmaitych.

Wiatr powiał od lasu i przynosząc ze sobą ćwierkanie napotkanego po drodze ptactwa, rozproszył się po murawie, która na chwilę zafalowała, ukazując srebrzystą stronę niektórych ziół i traw wlochatych.

— Czego nam brak? — powtórzył po głębokim milczeniu Podlasiak i z pytającą uwagą spojrzął po swych towarzyszach przygodnych.

— Łatwo spytać, a trudno odpowiedzieć! — rzekł jednoręki i pokiwał głową bezradnie.

Kulawiec przemilczał, coraz zapalczywiej oddając się namysłom.

Pytanie Podlasiaka zaskoczyło obydwu zbyt nagle, ogłupiając na chwilę beczynną dotąd cząstkę duszy, w której się kryją tego rodzaju odpowiedzi.

— Przewstworu¹¹⁰ nam chyba nie brak — zawyrokował Podlasiak i wskazał dłonią pierwszą lepszą oddal przed oczyma.

— Nie brak — potwierdził jednoręki, posłusznie biegnąc wzrokiem za dłonią Podlasiaka. — Człek i wygodę ma, i rozkurczenie wszelakie.

Kulawiec trawę palcami pocesał.

— I chleba mamy pod dostatkiem — mówił w dalszym ciągu Podlasiak, przenosząc wzrok z pustawej torby jednorękiego, na pulchną torbę kulawca.

¹⁰⁹w pobok — obok.

¹¹⁰przewstwór — przestrzeń.

Wstyd, Milczenie

Lot, Upiór

Wiedza

— Do jutra wystarczy — oświadczył jednoręki i po namyśle dodał: — Do południa. Kulawiec torbę swoją poklepał pieszczotliwie.

— Do południa — powtórzył — do południa!

Twarz Podlasiaka rozjaśniła się nagłym pomysłem i poszerzyła z radości.

— Wiem, czego nam brak! — zawołał, uderzając się dłonią w czoło.

Oczy obydwu przyjaciół zwróciły się ku niemu.

Łaskawie przyjął ich spojrzenia i wyprostował się uroczyście.

Wiedział.

Przez oka mgnienie zdawał się upajać zdobytą nagle wiedzą.

— Pocałunku nam brak, pocałunku! — zakrzyknął wreszcie w echa leśne i dłonią potrząsnął w powietrzu, jakby komuś znak umówiony na odległość podawał.

Jednoręki podniósł zwieszoną dotąd w zamyśleniu głowę, a kulawiec czółgliwym sumsem przydzwignął się po ziemi ku Podlasiakowi i ucha jak lufy nastawił.

— Wyznajmy to sobie nawzajem, że nigdy żadna dziewczyna nie obdarzyła nas dotąd pocałunkiem! — zawołał Podlasiak i ręką na odlew machnął tak rozpaczliwie, jakby chciał własne słowa na samym ich wydzwieku pogruchotać.

— A któraż to dziewczyna takim jak my pokrakom ust swych na chwilowy choćby poczęstunek udzieli? — spytał z urazą jednoręki, sierdziście spluwając na stronę. — Na taką jak my przynęcę żadnej ryby nie złowisz! Stul raczej tkliwą gębę, zanim ci od żalu jeszcze nie spuchła!

— Nie przeszkadzaj mu, nie przeszkadzaj! — zaszeptał skwapliwie kulawiec. — Niech się wygada, bo go tęsknota jak cholera trapi!

— Po cóż nam tej cholery użyzca? — zachnął się¹¹¹ jednoręki i dzieliwszy pięścią na trawie poległą czapkę, wyrównał niezwłocznie wyżłobioną w niej wnękę.

Chyba po raz pierwszy w życiu tak się gorącował! Słowa Podlasiaka wyrwały go nagle z tej nałogowej drętwy, która na kształt żółtego pancerza chroniła go od napaści wszelkich nieziszczalnych mrzonek. Ogarnął go niepokój i zawrzała w nim słuszna niechęć do żalu, który do duszy zakradał mu się cichaczem. Czuł się jak wykołajeniec...

— Zgadzam się na to, że jesteśmy pokraczni — rzekł tymczasem zatrwożony nieco Podlasiak. — Jednemu brak ręki, drugiemu nogi, a trzeciemu sterczy nad okiem sęk, jako zgoła nieproszony postrach na dziewczęta.

— Śmieszliwe są, śmieszliwe! — zauważył pośpiesznie kulawiec i palcem ostrzegawczo pogroził w powietrzu.

— Raz go baba, za zbyt dokładne podpatry¹¹² zwarkoczoną¹¹³ do prania bielizną tak na kładce obiała, że o własnym przodku zapomniawszy, tyłem od niej w poskokach koźlich zmykał i dopiero za wsią do utrafionej plecyma drogi należycie pyskiem zgłupiałym się odwrócił — objaśnił jednoręki, potrząsając w stronę kulawca pięścią tak napominawczo, jakby to zapewne na jego widok rzeczona baba uczyniła.

Kulawiec nieznacznie poprawił się na swym miejscu.

— Śmieszliwe są, śmieszliwe! — powtórzył bez potrzeby i spojrzał na Podlasiaka z przesadną stanowczością.

Podlasiak nie zwracał na niego uwagi.

Uśmiechnął się zagadkowo i poszczypując obiecująco brodę, poruszył próbnie wargami, jakby je chciał zaprawić do wygłoszenia nie byle jakiej nowiny.

— Znam jedną taką dziewczę, której nic nie odstraszy i która się na żaden widok nie wzdrygnie! — rzekł wreszcie powoli i z dumą, osnutą na wyłącznym posiadaniu cennej wiadomości.

Jednoręki głową uparcie pokręcił, zaprzeczając z góry wszelkim domniemaniom łatwowiernego Podlasiaka.

— Cóż to za dziewczka? — spytał łączywie kulawiec i z drapieźną ciekawością zaczął się oczyma na odpowiedź.

Podlasiak ze wzrastającą dumą spojrzał na obydwu przyjaciół.

— Dziwożona! — oznajmił zwycięsko i ujął się pod boki, aby w ten sposób nadać

Pocałunek

Tęsknota

Kaleka

Dziki

¹¹¹zachnąć się — oburzyć się.

¹¹²podpatry (neol.) — podpatrywanie, przyglądanie się.

¹¹³zwarkoczony — spleciony w warkocz.

swemu odkryciu zuchowatej pewności buńczucznego¹¹⁴ stwierdzenia.

— Nie dla naszej gęby strawa! — rzekł jednoręki i machnął lewicą, aby się jednocześnie opędzić od narzuconej pokusy i od cytrynowego motyla, który załamując się w locie, zajął mu pół oka migawkowym i pierzchliwym cieniem.

— Skąd ona i czyja? — spytał kulawiec, ciekawy szczegółów, z których mógłby coś pewniejszego na przyszłość wywróżyć.

— Niczyja — odparł hardo Podlasiak.

— Dobrze się składa, że niczyja! — pochwycił kulawiec. — Co niczyje, to i nasze być może. A skąd?

— Skąd? Nie wiadomo! — odpowiedział Podlasiak. — Chyba zewsząd, bo i leśna jest, i ruczajna, i górską, i wszelaka. Już od lat kilku w lesie przebywa. Raz ją tylko widziałem, raz jeden jedyny. Byłem jeszcze wówczas dębem, przykutym do miejsca i do własnego milczenia. O samym świcie wynurzyła się z krzewów sąsiednich i podbiegła do mnie żywa, swawolna, obłyśnięta rosą i powiewająca w warkoczach, ciepłymi strzępami złachmaniałych od kurzu pajęczyn. Zanim zdążyłem cień swój za wiatrem do stóp jej bosych dorzucić, objęła mnie oburącz i ciepłe, nagie ciało przystosowała szczelnie do mojej szorstkiej kory. A potem pokąsane przez komary i obrzmiałe wargi przywarła mocno do sęka, który obecnie nad okiem sterczy mi zatwardzale. Pewno świerzbiały ją i ciążyły od nadmiaru krwi nabiegłej, bo zakrwawiła je o ten sęk i uciekła z powrotem do lasu, ciesząc się po drodze śmiesznym widokiem krwi, która jej z warg w dłoń nastawioną skapywała.

Podlasiak zamilkł i palcem potarł sęk nad prawym okiem.

Jednoręki i kulawiec ze czcią na ów sęk teraz spojrzeli. Widok naocznie sprawdzonego sęka napełnił ich jakąś nadzieją.

— Może dlatego właśnie ten sęk, mimo woli, jako pamiątkę zachowałem — dodał Podlasiak po chwili namysłu.

Jednoręki spoważniał.

— Jeśli jej sęk nie odstraszył, to może i brak prawicy na przeszkodzie nie stanie — rzekł, powątpiewając z lekka o prawdzie słów własnych.

— Po ciemku ją, po ciemku zaskoczyć, żeby do raniusieńkiej zorzy posprawdzać nas oczyma nie mogła! — zaszeptał kulawiec mrużąc przekrwione powieki i chciwie zachłystując się ciepłym podmuchem własnego szeptu.

— Niech sprawdza! — zaprzeczył odważnie Podlasiak. — Chcę właśnie, aby mnie sprawdziła i mimo to, sprawdzonemu od stóp do głów, przyznała prawo otrzymania pocałunku!

— Jeśli jej komary warg zawczasu nie pokąsają, pewnikiem ich o sęk nad twoim ślepiem raz jeszcze nie pokrwawi — zauważył nieprzyjaźnie kulawiec.

— A nuż pokrwawi! — schlebił sobie czupurnie¹¹⁵ Podlasiak. — Nawiasem mówiąc, komarów w lesie nie brak... A zresztą, zobaczymy! Pamiętajmy wreszcie z góry o tym, że tylko jeden z nas może być wybrańcem, a dwaj pozostali muszą z odkurem¹¹⁶ się pogodzić, na hańbie poprzestać i wyzbyć się tak sercowych, jak pięściowych uroszczeń do warg, które ich jako niezdatnych pominą. Przysięgnijmy sobie tedy zawczasu, że ani kijem, ani pięścią, ani kolanem, ani innym zwyczajnym w takich razach narzędziem nie będziemy poszukiwali na wybrańcu odszkodowania, ani też wywalczeni praw do udzielonego jednemu z nas pocałunku. Pierwszy oto przysięgam i pierwszy będę dbał o wypełnienie umówionych warunków!

I Podlasiak na znak przysięgi wznosił ku niebu potężną dłoń, wprowadzając ją w blask słońca i płosząc z pobliskiej sosny zakłopotanego niezwłocznie jej widokiem wróbla.

Obydwa przyjaciele poszli za jego przykładem, z tą jednakże różnicą, że jednoręki swoją dłoń, jako ulubioną jedynaczkę, wznosił wysoko i troskliwie, niby na pokaz, a kulawiec, ogłędnie przebiegając palcami, nie doniósł dłoni do możliwego kresu, jeno zwichnął w napiętku i zatrzymał w połowie drogi, jako na dostatecznej dla sprawy wysokości.

— Przysięgam i w twarz sobie za to napluć nie pozwolę! — rzekł jednoręki, z góry zapewne przewidując hańbę, z którą jako niezdatny do pocałunku, będzie się musiał wkrótce pogodzić.

¹¹⁴buńczuczny — pewny siebie, zawadiacki.

¹¹⁵czupurny — zawadiacki, bojowniczy.

¹¹⁶odkur — tu: odmowa, odrzucenie.

Erotyzm, Drzewo, Krew

Erotyzm, Nadzieja

Kaleka

Przysięga

— Tyś przysięgał, Podlasiak przysięgał, więc i ja przysięgam — dorzucił kulawiec, po kolei wytykając wzniesioną do przysięgi dłoń swych towarzyszków, a na ostatku własną osobę.

Czyn spełnionej przysięgi wywarł na wszystkich osobiście przez każdego pogłębione wrażenie oraz związane z przysięgą zamiary przeniósł nagle ze świata mrzonek w świat radośnie dostępnej rzeczywistości.

Nawet jednoręki zaniepokoił się pilnie i otarł usta rąbkami rękawa.

Podlasiak rozszerzył oczy i zdawał się podziwiać towarzyszy, wspólnie z nim obarczonych powagą uroczystej przysięgi i doniosłością spodziewanych przygód.

Kulawiec obejrzał niecałą nogę i po namyśle poprawił szmaty, w które była u dołu, jak w ścisły pokrowiec, spowinięta.

— Gadaj teraz, gdzie się dziewczka ukrywa? — zagadnął Podlasiaka. — Pewno pod gołym niebem samopas gdziekolwiek stojłuję, głupiejac jak ta jałoszka¹¹⁷, gdy się w nic zaopatrzy?

— Śpieszno ci? — zapytał z wyrzutem jednoręki, karcąc kulawca oczyma za trafność i zaraźliwość pośpiechu, który i jemu wbrew woli się udzielał.

— Nie po jałmużnę idę! — odparł zuchwale kulawiec i z powikłanym wysiłkiem powstał z ziemi.

Jednoręki też powstał i uderzony prawdą słów kulawca, wytrzeszczył oczy i oddech na chwilę zataił. Na jednym jego policzku zjawił się wypiek nierówny i smużysty.

— Zmiarkował od razu! — rzekł do Podlasiaka, wskazując ramieniem przyjaciela i chępiac się jego zgadliwością.

— Gdzie dziewczka? — zakrzyknął podniecony własnym powrotem kulawiec i niecałą nogą, jak kilofem w murawę głucho uderzył.

— W dziupli! — odszepnął tajemniczo Podlasiak i wysuniętą naprzód głowę podał usłużnie słuchaczom tak, jakby ją właśnie ze wspomnianej dziupli zniemacka wynurzył.

— Daleczko? — spytał kulawiec, złuskując czapkę ze śliskiej jak woskowana posadzka łysiny, co czynił zawsze, gdy w drogę wyruszyć zamierzał.

— Nie bardzo! — pocieszył go Podlasiak. — Jest tu w głębi lasu dębów pewien, krewniak mój dawny, a w tym dębie — dziupla, a w tej dziupli — pszczoły. Dziwożona lasa jest na miód i pszczołom go stale wyjada. O tej właśnie godzinie i w tej właśnie dziupli zazwyczaj przebywa i nie zważając na ukąszenia pszczoł, najsutsze plastry miodu pożera. Wiem o tym, gdyż pozostała we mnie reszta wiedzy roślinnej, która w drzewach tkwi bezsłownie, pod postacią sennego i wonnego krążenia życiodawczych soków.

Podlasiak mimo woli, pod wpływem zapewne dawnych upodobań, liźnął dolną wargę językiem.

— Trafisz do dziupli? — spytał kulawiec.

— Na ślepo! — upewnił Podlasiak.

— Nie traćmy czasu! — zatrwożył się nagle jednoręki.

— A więc w drogę! — zawołał Podlasiak i ujawszy jednorękiego pod lewe, a kulawca pod prawe ramię, ruszył zamasyżac naprzód, zdradzając w równym biegu stateczną dziarskość powozowego konia, wobec którego beładnie skoczny i wierzgliwy kulawiec zdawał się narownym i zabrakowanym wierzchowcem.

Rozpędna i nieco rozbrykana trójca wykołojonych ze wszelkiego ładu i składu niecierpliwców, ze stajennym rumorem wpadła w samą głąb lasu, niepokojąc rozdudnioną bezprawnie ziemię hultajskim tętentem pięciorga bosych stóp, które migwały niemal po kuglarsku na kształt niewiadomego użytku klepek, podrzucanych na przemian w zarówno niewiadomym celu.

Podlasiak, jako urodzony szybkonóg, szeroką piersią na przelaj rozpruwał przerażone własnym poświstem powietrze, torując w ten sposób drogę słabszym od siebie towarzyszom.

Biegli coraz chyżej i nieodwołalniej, już to posapując i głośno polykając własne, skrócone biegiem oddechy, już to pokrzykując dorywczo i nieprzewidzianie, aby nawzajem siebie rozzuchwalać i podżęgać do coraz niepochwytniejszego pędu przed oczy!

¹¹⁷jałoszka — młoda krowa niemająca jeszcze potomstwa.

Łamali po drodze krzewy i zarośla, które nabywszy od nich niestosownego trzepotu, zaznaczały swój lęk obfitym dreszczem zdmuchniętych z liści na liście światła i powszechnym popłochem błędnie przetasowanych cieni, z mrugliwą bacnością wracających na utracone miejsca.

Czasem maleli, zapadając się w jary i wądoły¹¹⁸, a czasem urastali ponad siebie, tratując wzgórze i puszyście obrzmiałe mrowiska, błękitniejące nagłą próżnią otrzymanego od nich w przelocie, na kształt policzka, śladu stóp, na oślepie rozbieganych.

Kulawiec miotał na strony i niezrozumiale potrząsał zacietrzewioną w locie głową, która z niedorzeczną starannością obskakiwała najźmudniejsze ścieżki i zakamarki leśne, jak nosata i brodata piłka, ubiegająca się o uciążliwe pierwszeństwo w grze, obliczonej na pośpiech i na utratę wszystkich na raz zmysłów.

Zdyszani i obłyśnięci lechtliwym i zawieszonym potem wbiegli na polanę, gdzie cisza sennie dostosowując się do miejsca, zdawała się posiadać ten sam, co polana, obręb i tę samą otworzystość. Zielony poblask trawy ślepił na chwilę zaskoczone nagłą widownią¹¹⁹ źrenice.

Podlasiak wyrzuconą pod kątem nogę znieruchomił, na kształt mocarnego hamulca i jak dbały o całość zaprzęgu woźnica, osadził na miejscu oszołomionych własnym galopem towarzyszy.

Przystanęli, aby się odsapać i uporządkować bezład uwięzłych w gardle oddechów. Na uboczu polany stał dąb olbrzymi z dziuplą, która połyskując w słońcu żylastą wypukliną spróchniałego obrzeża, ukazywała swą głąb szczerbatą, jak paszcza bezzębna i rozwarta do raz na zawsze stłumionego okrzyku.

Uludną możliwość i pogroźkę tego okrzyku czuć było w chwilach zamilknięcia rozćwierkanego poprzez liście ptactwa.

— Tam! — szepnął Podlasiak i wskazując palcem dziuplę, przywarł niezwłocznie ów palec do ust na znak bacności.

— Ciszkiem do niej, ciszkciem, żeby nie uciekła! — ostrzegł półgłosem kulawiec, badawczo obzierając dziuplę.

— Nie ucieknie! — pocieszał siebie samego jednoręki. — Do własnej torby ją złowię, jak niegdyś zająca.

— Rok temu zając mu z żyta do torby wskoczył przypadkiem — objaśnił, ścisząc głos, kulawiec. — Przyłapał go natychmiast i pacierz z radości odmówił. Sam go obielił i sam na żuźlach zrumienił, ale jeść nie mógł, bo od mięsiwa odwykł i zapach pieczystego o bolesne mdłości go przyprawiał. A ja, choć też nienawykły, całego zająca, patrząc na owe mdłości, schrupałem do szczętu.

I kulawiec zaśmiał się ochryple stłumionym śmiechem, który podkreślił udatność i pożywność smakowitego zdarzenia.

Dotąd jeszcze, po rocznej przerwie, było w tym śmiechu coś poobiedniego.

— Nie umknął Bóg mej torbie zająca, nie umknie i dziewczyny — rzekł jednoręki i ze złości zdjął torbę z ramienia, jakby była i jego, i Boga wspólną własnością.

— Bylebyś mdłościami na widok tej ponęty nie wydziwiał, boś nienawykły — wtrącił uszczypliwie kulawiec i mrugnął porozumiewawczo na Podlasiaka.

Podlasiak mrugnięcia nie zrozumiał.

— Do dziupli, ludzie dobrzy, do dziupli! — szepnął z zapałem i przytrzymując dłońmi sztywne, do wahadłowych ruchów skłonne rajtuzy, powędrował na palcach ku dębowi.

Jednoręki też na palcach jął się do mety posuwać, a kulawiec za pomocą ostrożnych z przestankami poskoków, jak świerszcz, w ślad za nimi przemiejscawiał się po trawie.

I zatajonym oddechem, utrudniając sobie każdy krok i obwarunkowując go wysnutymi naprędce prawidłami umiejętnego stapania, dotarli wreszcie do dziupli.

Dotarli bliżej od wzruszenia, prócz zresztą Podlasiaka, który w tej chwili właśnie był czerwony jak upiór.

Nawzajem dali sobie dłońmi znaki, których nikt dokładnie nie zrozumiał, lecz których niezbędną każdy głęboko odczuwał.

Jedzenie

Cisza, Dźwięk, Milczenie

¹¹⁸wądół — dolinka z płaskim dnem i stromymi zboczami.

¹¹⁹widownia — tu: widok.

Tak czy owak, wszyscy trzej przyczyniali się usilnie do obfitego wytwarzania grobowej wokół dębu ciszy, przerywanej jeno powiewem odbitego od trawy i dorzuconego do gałęzi wiatru, który się po liściach ze wzmożonym szumem a z osłabłym lotem rozpraszał.

Niespokojne pszczoły, opukując dąb czujną kończyną kosmatego tułowia, roily się u samego wnijscia¹²⁰ do dziupli i nadając jej pozór złościście jątrzącej się rany, ukazywały we mroku wnętrza dalszy ciąg robacznego wrzenia.

Jednocześnie z głębi dębu dolatywał odgłos pilnej krzątany i echowego szmeru, jaki zazwyczaj odzywa się z przytkniętego do ucha pudła milczącej na pozór basetli.

Odgłosy te i szmery nie uszły uwagi zaczajonych nasłuchiowaczy niedomówień leśnych.

Wszyscy trzej radosnym kiwnięciem głowy stwierdzili w milczeniu obecność w dębie dziwożony.

W tej chwili właśnie, wypłoszona z dziupli garść pszczół, ziarniście przesypując się w locie, pogłębiła się w powietrzu i w złotą gęstwę skupiając rozluźnione na mgnienu szyki, wpadła z powrotem do mrocznego otworu.

Po ich właściwym brzęku znać było, iż bronią zaskarbionych w dębie miódów.

Podniecony ich widokiem, jednoręki przytroczył do pobrzeża dziupli swą torbę i lewicą poszerzył u góry jej otwór tak, aby mogła pochłonąć wszelką z dębu wyzioną zawartość.

Dwaj pozostali towarzysze stanęli mu po bokach gwoli przecięcia możliwej ucieczki.

Oszalałe w swej zawziętości pszczoły nie ominęły zbliżonej do nich lewicy.

Jednoręki otrzymał niezwłocznie kilka poszczególnych ukąszeń, lecz mimo to trwał mężnie na pozyskanym stanowisku i z dumą spoglądał na zaszczytnie zboląłą, a łupu i żądeł chciwą lewicę, w której obecnie spoczęły poniekąd losy trojga spiskowców.

Nie mógł jej niczym zastąpić. Łączyła go teraz z tajemnicą wnętrza, jak żywy i czuły most, po którym ból, zmieszany z rozkosznym dreszczem oczekiwania, przedostawał się do spiekłego na słońcu ciała.

Uderzyły nań wary¹²¹. Kilka razy zgrzytnął zębami i zacisnąwszy warg, natężył wszystkie mięśnie jedynej dłoni, aby ją zatwardzić na ból i siłować się z nim, jak z nieznośnym brzemieniem.

Siłował się wszakże niedługo.

Brzęk pszczół w spróchniałym wnętrzu zawrzał nagle z tak ostateczną mocą, że na niewidziane czuć w nim było szczelnie zbitą i żywcem kłębiącą się miazgę zbiorowej i uzbrojonej w żądła zaciekłości.

Stróżujące u wnijscia czatownice¹²² zawirowały kręgiem po obrzeżu spajając swe drobne ciała w ruchliwą i wydłużoną wstęgę, podobną do zlocistej i rwącej się na jadowite strzępy gaśienicy, która co chwila zdawała się najeżać innym pyszczkiem i zakańczać innym ogonem.

Rozwarta do okrzyku paszcza dziupli wydała znienacka jęk dziewczęcy, który brzmiał obco i nie licował z jej bezzębnym i zgrzybiałym podniebieniem.

Zasłyszawszy ów jęk, kulawiec skwapliwie pochylił się ku dębowi i dłońmi wsparł się o węzłowe kolana. Podlasiak na oścież rozwarł gębę i oddawszy ją wyłącznie zasłuchaniu, poniechał na niej wszelkiego wyrazu.

Jednoręki z błyskawiczną szybkością poprawił torbę, sposobiąc ją do zamierzonego celu.

Powtórny i głośniejszy jęk, wiosennie zgłuszony bujnymi ścianami dębu, wydobyl się na rozćwierkane ptactwem powietrze i w ślad za nim tanecznie zwinne ciało z wiewiórczą rzutkością i z przeraźliwym krzykiem wyskoczyło z dziupli i skielznawszy¹²³ się po sękach, jak śnieżny ochłap, wpadło do nastawionej torby.

Jednoręki kurczowo zdławił zgrzebną gardziel pakownego wora, który całkowicie pokłnął upatrzoną ofiarę i oderwawszy wór od dęba, zwycięsko uniósł go w górę przy chóralnym wrzasku obydwu towarzyszy i przy rześnym brzęku pszczół, który się zdawał brzękiem rozżarzonego na ich skrzydłach słońca.

Zwierzęta

Pułapka

Porwanie

Więzienie

¹²⁰wnijscie (daw.) — wejście.

¹²¹war — gorąco.

¹²²czatownica — strażniczka.

¹²³skielznąć się — zesliznąć się, spłynąć.

Nigdy jeszcze torba jego żebracza nie była tak szczerze upchana i w tak ponętną zaopatrzoną strawę!

Ofiara miotała się w niej zapalczywie, jak ryba w sieci, szukając na próżno jakiegokolwiek wyjścia w zmierzchliwym i kosmatym wnętrzu, którego przedza, tu i ówdzie rozrzedzona, przeświecała słońcem na kształt popękanej w drobne skazy okiennicy.

— Żywa, żywa, żywa! — wrzeszczał Podlasiak i bezrozumnie wymachiwał rękami, zagnalony nieposkromioną radością na widok sprężystych podrygów zasobnego wora.

— Głowiasta! — oświadczył nagle z piskliwym zachwytem kulawiec i wskazał na powierzchnię torby okrągłą jak bochen wypukliznę, która niewątpliwie zdradzała obecność wycofanej w oka mgnieniu i do innego miejsca wściubionej głowy.

— Waży tyle co dzban jagód — zawyrokował jednoręki i coraz wyżej wznosząc ciszkającą się na stronę torbę, ruszył naprzód, a co chwila kroku przynagłał.

Podlasiak i kulawiec pośpieszyli za nim, trzymając się поблиза torby i nie tracąc z oczu jej rozpaczliwych odruchów.

— Na polanie ją złoży! Niech się udobrucha i złagodnieje! — doradzał kulawiec w przerwach pomiędzy jednym a drugim w ślad za torbą poskokiem. — A jeśli woli, niech się w torbie prześpi i sił dla nas nabierze!

— Nie pozwolę na żadną względem jej warg natarczywość! — zawołał Podlasiak, podstawiając dłoń na wypadek możliwego upadku rozszalałej torby. — Niech sama wedle chęci wargami rozporządza!

Jednoręki, milcząc, przystanął i na samym środku polany złożył wór, który nagle ucichł i zarysował na jednej stronie kształt skulonego grzbietu.

Wór najwidoczniej siedział na trawie.

Trzej towarzysze przykucnęli wokół niego, jak wokół ogniska dla bezpośredniej rozgrzewki.

Jednoręki nie wypuszczał ze zbolalej lewicy krwawo zdobytego skarbu. Trzymał go za górny węzeł jak za czuprynę.

Dzień wypołudniał i polana, siwiejąc od skwaru, stalowo majaczyła w słońcu, które lśnistą mrzonką przepajało jej zieleń, chętnie zanikającą w osłepłym na wszystko blasku.

W trawie wrzało od owadów, jak w wonnym ukropie.

Kulawiec, przykucnięty na ziemi i drzemliwy od blasku i upału, żuł zerwaną mimowiednie macierzankę i wywiewał półgębkiem jej lotny zapach, który mu prawdopodobnie zastępował w tej chwili pożądaną skądinąd woń brakującej machorki¹²⁴.

— Ciało w bród! — zawołał poprzez utarte w zębach ziele i obmacał dłonią wór, który dotykiem polechtany, marszczył się tu i ówdzie i wzbraniał mu się nieznacznym dreszczem.

Podlasiak usunął jego dłoń natrętną.

— Nie bój się! Nic ci złego nie zrobimy! — rzekł głosem drżącym i spojrział na wór z tkliwością i rozmarzeniem.

— Nasza jesteś, więc się w torbie na osobności do tej myśli wdróż i dziewczęcego uporu zawczasu obniechaj! — dodał pośpiesznie kulawiec i uraczył wór nagłym a zalotnym szturchaniem.

— Nie pożądamy nic, prócz pocałunku! Jednego tylko pocałunku! — tłumaczył się z westchnieniem Podlasiak i wyciągnął do wora błagalnie rozkraczone dłonie rzucając nimi na lnianą powierzchnię dwa palczaste i palmowe na pozór cienie.

— Ozwij się, tłuszcioszku, pókiśmy jeszcze dobrzy i nasłuchiwaniam jeno dokoła ciebie robotni! — zawołał kulawiec, pokaszując domyślnym i zaczepnym śmieszkiem.

— Ozwij się, ozwij! — powtórzył z kolei Podlasiak, tym samym słowom nadając odcień modlitewny.

Wór milczał uparcie.

— My nie z przymusem, lecz z prośbą! — ciągnął dalej Podlasiak, potwierdzając wobec wora szczerść tych słów za pomocą długiego nacisku dłonią swej własnej piersi. — I o co z prośbą? O pocałunek! Nie zaznaliśmy dotąd ani jednego! Nie zdarzył się, nie przytrafił! Pocałunku nam chce się, pocałunku! Jednemu tylko z nas warg na oka mgnienie użyż! Wybór wolny masz! Palcem jeno wskażesz albo brwią skiniesz na wybrańca!

¹²⁴*machorka* — gatunek tytoniu, zawierający dużo nikotyny, ale o nieprzyjemnym zapachu.

Nastąpiła chwila ogólnego, nie wyłączając wora, milczenia.
Dwie spojone ze sobą ważki, dwoiście szafirowiejąc w młyńcu powietrznym, z kwiatu na kwiat z suchym szelestem przefrunęły.

— A ilu was tam jest? — ozwała się niespodzianie dziwożona z wnętrza torby żebra-
czej.

— Trzech! — odpowiedział kulawiec, ukazując bez potrzeby zresztą trzy palce. —
Gdy cię z torby na świat wynurzym, poznasz mnie po głosie...

— A jak wyglądasz? — spytała dziwożona.

— Moja to rzecz, nie twoja! — odparł z przekąsem kulawiec i opryskliwie odwrócił
twarz od wora.

— A ten drugi, co pocieszonym basem gada, jak wygląda? — zaciekawiła się w torbie
dziwożona.

— Nie najlepiej, nie najlepiej! — odrzekł ze szczerym smutkiem w głosie Podlasiak.
— Jeśli mi wolno odgrzebać dawne wspomnienia, łączy nas niejaka znajomość. Już mnie
raz widziałaś w lesie... Wargi, przez komary pokąsane, o mój sęk aż do krwi potarłaś. Nie
był to wprawdzie pocałunek, a jednak... tkwiła w tym jakaś przelotna zażyłość i chwilowa
poufność! Przypomnij no sobie!

— Dąb? — zaśmiała się nagle dziwożona i napełniła wnętrze wora kłaśnięciem drob-
nych dłoni.

— Dąb, lecz odmieniony nie do poznania! — usprawiedliwił się prawdomówny
Podlasiak.

— Upiór! — poprawił go niewczesny kulawiec.

Podlasiak nie zaprzeczył.

Wór zawahał się przez chwilę, jakby dla namysłu.

— A ten trzeci czemu dotąd milczy? — spytała znowu dziwożona.

— Ręki mu jednej brak, więc milczy dla tymczasowej niepoznaki — wytłumaczył
złośliwie kulawiec.

— Szkoda ręki! — odpowiedziała z woru dziwożona.

Jednoręki potwierdzająco kiwnął dłonią, lecz słowem się nadal nie ozwał.

— Duszno ci w torbie? — spytał ze współczuciem Podlasiak.

— Duszno! — pochwyciła pośpiesznie dziwożona.

— Wynurzymy ją z torby! — rzekł Podlasiak troskliwie i stanowczo.

— Niech pierwiej na niewidziane przyrzecze, że nie odmówi jednego choćby poca-
łunku! — zaniepokoił się kulawiec. — Ma w torbie przestronność i zacisze wszelakie!
Może czekać, siedzący albo i leżący! Na niewidziane niech przyrzecze!

— Nie chcę na niewidziane! — krzyknęła z oburzeniem dziwożona i niecierpliwie
tupnęła nogą w ciasnym wnętrzu przymusowej siedziby.

— A co uczynisz, jeśli się przypadkiem twym ślepiom nie spodobamy? — spytał
kulawiec i twarz do wora po odpowiedź przysunął.

— Nie pocałuję nikogo! — odrzekła dziwożona ze stanowczością, potrząsając worem.

— Na mój rozum, trza jej zawczasu, jak temu słowikowi, ślepie wyłupić! Inaczej nam
wówczas zaśpiewa! — poradził kulawiec i dwa palce ułożył w widła ruchliwe, którymi od
biedy można by było dwoje na raz oczu wyłupić.

Wór niespokojnie wzdrygnął się na trawie.

— Nie pozwolę na to! — wrzasnął Podlasiak. — Oczu jej najbardziej mi właśnie
potrzeba!

— I mnie! — szepnął jednoręki, który dotąd trwał w zupełnym milczeniu.

— Niech patrzy! Niech patrzy! — wołał Podlasiak, pięścią bijąc się w piersi, jak-
by chciał zawczasu odpokutować i rozgrzeszyć niebezpieczną żądzę odbicia swej postaci
w oczach dziwożony.

— Niech patrzy — powtórzył jednoręki.

Wszyscy trzej, dotychczas przykucnięci, powstali nagle z ziemi.

— Niech patrzy — powtórzył głośniej jednoręki i zanurzywszy dłoń w swej torbie
żebraczej, wylonił zowąd pokąsane przez pszczoły i lepkie od miodu ciało, które ostrożnie
i ze czcią złożył na ciepłej od znoju trawie obok zapadłego w naglej próżni wora.

Myśliwe spojrzenia trzech zwolenników nieprzynależnego nikomu jeszcze pocałunku
z przedwstępną zadumą badały dziwożoną.

Spotkanie

Oko, Wzrok, Przemoc

Ciało, Uroda

Była drobna i wiotka i pomimo jędrności biodrzystego ciała nie mogła, na oko przynajmniej, usprawiedliwić danej łakomie przez kulawca nazwy tłuscioszka.

Zbyt wielkie rzęsami kosmato najeżone oczy i zbyt purpurowe, i wypukłe jak zaraźliwy ponętny liszaj wargi zdawały się z nieznośnym mozołem mieścić w utulnie szczupłym owalu ogorzalej twarzy.

Zielony żuk, połyskliwie gmatwając się w jej wyświechtanym na słońcu i krótkim jak lwia grzywa warkocz, co chwila i bez skutku zrywał się do niedołącznego lotu.

Wyrzucona ze zmierzchu wora na blask południa broniła się słońcu zmrużonymi na chwilę oczyma.

— Niech patrzy! Niech patrzy! — wrzeszczał jak obłąkany Podlasiak, zarzucając w tył głowę i rozkrzyżowując ramiona.

Jednoręki przez oka mgnienie przyglądał się dziwożonie, a potem, wzniosłszy oczy ku niebu, jął szepem odmawiać pacierz, jak to czynił wówczas, gdy zajęcia w niespodziewanym darze otrzymał.

Ponieważ nigdy nie żegnał się niepowołaną do tej czynności lewicą, więc i tym razem czterokrotnie szarpnął ułomnym ramieniem, o dopełnionym na odległość i ustronnie znaku krzyża napomykając sobie samemu.

Ten nabożny wysiłek potwierdził w bacznym oczach kulawca wartość zdobycy.

— Ładny dziewczak! — rzekł, pocmokując ze znanstwem wargami.

Dziwożona tymczasem przetarła oczy i kolejno przyjrzała się trzem zalotnikom, którzy w milczeniu poddawali się badawczemu przeglądowi. Na twarzy jej zjawiał się wyraz przestachu i rozczarowania. Z nagłym oburzeniem kopnęła wór, tuż obok na trawie poległy.

— Nie bój się wora, dziewczyczko! Już nie powrócisz do niego! — pocieszył ją jednoręki.

Dziwożona wsunęła klinem obydwie dłonie w ściśnięte i z lekka na bok odchylone kolana i skuliwszy się w ramionach, milczała. Nie miała zapewne nic do powiedzenia.

Podlasiak zdążył zauważyć, że na jednej jej dłoni tkwiła kurzajka, a na dużym palcu drugiej obierał się różowy paznokiec.

— Jeszcze raz nas obejrzyj, dziewulinko płochliwa! — szepnął nieśmiało.

Łatwo było postrzec, że o ile kulawiec nazywał dziwożonę zwięźle dziewczakiem, o tyle jednoręki udzielał jej rozwlekleszego miana dziewczyczki.

Podlasiak mówił zdrobniale: dziewulinka.

— Jeszcze raz od początku... — powtórzył ciszej.

— Nie chcę! — odparła z dąsem dziwożona.

— Nie zbytkuj! — pogroził jej palcem na nosie kulawiec.

Dziwożona wzruszyła ramionami.

— Jesteście inni, zupełnie inni! Nie tacy, jakich mi się w worze po ciemku zachciewało! — skarżyła się, odymając wargi i srożąc oczy. — I w dodatku, temu brak ręki, a owemu nogi!

— A po co ci moja noga? I bez niej się obejdzie! — zgromił ją kulawiec.

Jednoręki nic nie powiedział, jeno ukosem spojrzął na spuchniętą od żądeł lewicę.

— A tamten trzeci po co ma sęk nad okiem? — spytała z wyrzutem w głosie dziwożona.

— To ten sam, ten sam! — przypomniał jej Podlasiak powołując się na wiadomy z sękiem wypadek.

Dziwożona spojrziała na niego ze złością.

— Po co sęk nad okiem, po co? — krzyknęła ze ślepym uporem i gniewnie uderzyła pięścią o trawę.

Podlasiak struchlał i zbladł, jak przyłapany na gorącym uczynku winowajca.

— Wybór masz wolny... — szepnął głosem drżącym i spuściwszy głowę, znieruchomiał od wstydu.

— Wybór, wybór! — przedrzeźniała go dziwożona, podrzucając ramionami. — Same przeszkody i nic ponadto!

— Nie nagromadzaj przeszkód! — ostrzegł ją zawczasu kulawiec.

Dziwożona pokazała język czerwony jak mak i wklęśły jak czółno.

— Wybieraj, póki czas! — zawołał kulawiec.

— Nie mogę! — odparła dość krzykliwie dziwożona.

Obrzędy

Niedoskonałość, Pogarda

Uroda, Kaleka,
Rozczarowanie

Pocałunek

— Zmus się! — pisnął kulawiec i pięścią powahał w powietrzu.
 Dziwożona z rozpaczą załamała dłonie.
 — Przecież mi się wargi pokurczą od niechęci! — tłumaczyła się żałośnie. — Albo zacznę płakać tak, że nikt mnie uspokoić nie zdoła!
 W głosie jej drgnęły dźwięki przyobiecane płaczu.
 — A my i rozplakaną połasuchować się potrafimy... — odpowiedział kulawiec, mrucząc oczy.
 Dziwożona stropiła się na chwilę.
 — Nikogo nie pocałuję! — krzyknęła z nagłą stanowczością i ukrywszy głowę w dłoniach, zwinęła się w kłębek na trawie jak szczenię, które przed pieszczotliwą napaścią swych dręczycieli broni się za pomocą upartego odwracania od nich oczu.
 — Mówiłem! — przypomniał z wyrzutem w głosie kulawiec. — Nie spodobałiśmy się i basta! Trzeba ją było w worze na ośleپ pomęczyc tak, żeby potem sił i tchu nie miała na wybryki i odmowy przekorne.
 Podlasiak i jednoręki nic nie odrzekli.
 Kulawiec końcem kija zmacał pogięty jak fala kark zwiniętej w kłębek dziwożony.
 — Dziczysz się czy oswajasz? — zapytał.
 Dziwożona podniosła nagle głowę i rozpołowila dłońmi spadłą na twarz i niciasto skrząca się grzywę. Snadź powzięła nowe postanowienie.
 — Chodźmy razem do pierwszego jaru, tam się przestanę dziczyć i jednego z was wybiorę — rzekła z udaną ochotą i trwożnie zerkając po obecnych, wskazała dłonią głąb lasu, gdzie pierwszy jar się znajdował.
 — Do jaru, ludzie dobrzy, do jaru! — zawołał z zapalem Podlasiak.
 — Do jaru! — zawtórował jednoręki.
 — Niechta! — dorzucił, machając dłonią, kulawiec.
 Podlasiak ujął lewą, a jednoręki prawą dłoń dziwożony i trzymając ją za dłonie, jak się trzyma swawolne i nieposłuszne dziecko, pobiegli we wskazanym kierunku.
 Kulawiec pomknął obok, aby mieć na oku dziwożonę i wybiedzając w podskokach, starał się im nadać trudny do uznania pozór figlarny i nieprzymuszonej zalotności.
 Biegli żwawo poprzez gąszczary i przesmyki leśne.
 Jabłkowite plamy pokruszonego o gałęzie słońca i liściaste wzory altanowo pokrutowanych cieni przesuwaly się po ich twarzach, piersiach i nogach, i znacząc szybkość ich biegu swym w przeciwną stronę odlotem, oddawały ich władztwu następnym cieni i kół słonecznych.
 Dotarli wreszcie do pierwszego jaru.
 — Chciałaś jaru, masz jar — rzekł kulawiec, podejrzliwie i ukosem poglądając na dziwożonę.
 — Zdawało mi się, że nad jarem łatwiej mi będzie o namysł i o wybór, alem się pomyliła! — oświadczyła nagle zdyszana biegiem dziwożona. — Nie chcę jaru, nie chcę jaru! Biegnijmy dalej do pierwszego strumienia! Nad strumieniem się namyślę i wszystko powiem!
 — Do strumienia, ludzie dobrzy, do strumienia! — wrzasnął uradowany nową obietnicą Podlasiak.
 — Do strumienia! — pochwycił jednoręki.
 — Niechta! — dorzucił znowu kulawiec i znowu machnął ręką.
 Wszyscy z jednoczesnym pośpiechem ruszyli z miejsca i dobieżawszy do strumienia, przystanęli.
 Nad brzegiem gęstwiły się gibkie i kolejno wiatrem targane szarfy połyskliwych tataraków, które naruszając strzelistego a wrodzonego im ładu, gmatwały się co chwila i ześlizgiwały wzajem po sobie.
 Toń wodna migotała spoza nich, jak spoza sztachet chwiejnych i nieustalonych.
 U przeciwległego pobrzeża, stalaktytowe smugi odbitej na ośleپ zieloności zwisały aż do dna — głębsze na pozór od samego strumienia i niedostępne niepokojem marszczącej się z lekka powierzchni. Zdawały się zielonym i spadzistym zniżciem¹²⁵ do nieskończone dalekich i na opak wybujałych przeciwświatów...

¹²⁵zniżcie (daw.) — zejście.

Na najwyższej kończynie osamotniałego w swym górowaniu tataraku kołysał się przed-
sadnie do swej małości rozwahany motyl, który przeświecał czerniawą tkanką białych jak
płótno i szczelnie zemkniętych skrzydeł.

Motyl

Dziwożona, trzymana za ręce, piersią podała się naprzód ku wodzie i odętymi noz-
drzami zaczerpnęła ożywczej i zawsze świątecznej woni tataraku.

— Jedną mi dłoń wypuście na swobodę! — napierała się, zerkając błagalnie na Pod-
lasiaka. — Chcę tylko dostać tataraku! Lubię tatarak!

Rośliny

Podlasiak wypuścił z ręki jej dłoń drobną i niemal dziecinną.

Zanurzyła ją natychmiast po ramię w zarośla i wyrwała zowąd jedną łodygę, która
ze śliskiej uwięzi wyprała się z jedwabnym poświstem, zagnajającym zatkwionego opodał
motyla, do przesunięcia się na drugą stronę smukłej kończyny, za pomocą skrzyżnego
przebierania czworogiem nóg, zachwiewanych brzemieniem chylącego się na bok żagla...

Różowy i żółkawy korzeń zabarwił się w słońcu soczystym połyskiem eterycznie
wonnej błony.

Dziwożona wcisnęła go pomiędzy wargi i zanurzyła w jego miąższ swe białe, ostre
zęby.

Syciła tatarakiem ów głód, który kiedy indziej zmusza ciało do tarzania się w wonnej
trawie lub do strząsania na siebie chłodnej rosy z gałęzi napotkanego po drodze drzewa.

Wszyscy trzej towarzysze za jej przykładem zerwali po tataraku i gryząc wilgotne
korzenie, poglądali spod oka na nieposłuszną i nieujarzmioną brankę.

— Słodkawogorzki — oświadczyła nagle dziwożona, oblizując zwilgotniałe od tata-
raku wargi.

— Słodkawogorzki — oznajmił z kolei Podlasiak z taką stanowczością, jakby chciał
stawić opór wszelkim zaprzeczeniom.

— Słodkawogorzki — potwierdził z głęboką zadumą jednoręki, pilnie i nabożnie
zajęty niespodzianą wyżerką.

Obydwaj mimo woli starali się przypodobać dziwożonie zgodnością smaku i pokumać
się z nią jednakim a poufnym wnioskiem podniebień.

Kulawiec, milcząc, ssał swój tatarak.

Ni stąd, ni zowąd wydało się wszystkim trzem zalotnikom, że niezwłocznie po spo-
życiu tataraku dziwożona ogłosi swój wybór.

Tatarak wkrótce zjedzono do szczętu.

Nastąpiła chwila ponownego wyczekiwania.

Spojrzenia obecnych skrzyżowały się na purpurowych wargach dziwożony.

— Gadaj! — krzyknął pierwszy kulawiec, niecierpliwie wychuchując z gęby zapach
połkniętego tataraku.

— Nie mogę, nie mogę! — zawołała dziwożona, tuląc do piersi obydwie dłonie. —
Zdawało mi się, że nad strumieniem wszystko się wyjaśni. Wybaczcie mi! Znów się po-
myliłam! Nie chcę strumienia! Biegnijmy dalej — do pierwszego rozstaju! Na rozstaju
namyśle się i powiem!

I dziwożona wskazała palcem ową stronę, gdzie się znajdował niezbędny dla jej na-
mysłów rozstaj.

Tym razem ani Podlasiak, ani jednoręki nie powitali nowej obietnicy radosnymi
okrzykami. Milcząc, pobiegli we wskazanym kierunku.

Kulawiec zaś machinalnie powtórzył swoje: „Niechta!” — i po dawnemu machnąwszy
dłonią, w kozłich niemal poskokach w ślad za nimi podążył.

Dobiegli do rozstaju i znów przystanęli.

— Chciała rozstaju, ma rozstaj! Niech gada! — gorącował się kulawiec. — Nie będę
za nią dalej, jak wyżeł, z wywieszonym jęzorem po próżnicy biegał! Niedawno z wora
wylazła, a już miejsca na świecie znaleźć dla siebie nie może.

— Na rozstaju wszystko powie! — oświadczył w imieniu dziwożony Podlasiak.

— Tak samo powie, jak nad jarem i nad strumieniem! — gardłował kulawiec, po-
drygując niecałą nogą.

— Co rozstaj, to nie jar i nie strumień — zauważył nagle jednoręki, wysuwając po-
wyższy wniosek, z przychylnych dla całego zgromadzenia, ale zgoła niewiadomych prze-
słanek.

Dziwożona wstrząsnęła zlocistą grzywą i schyliwszy głowę na bok, kolejno spojrzała

Podstęp

na wszystkich.

— Powiem coś, co mam do powiedzenia — obiecała tajemniczo. — Powiem, ale szeptem i każdemu na osobności...

— Zgoda! — zawołał z ponownym wybuchem radości Podlasiak. — Na osobności, tylko na osobności!

— Pewno, że takie rzeczy tylko na osobności się gada — stwierdził z nagłym przekonaniem jednoręki. — Wie ona lepiej od nas, co czynić na oczach ludzkich, a co na stronie...

— Pogadamy z nią na osobności — rzekł kulawiec. — Niech tylko jeden drugiemu wręcza ją ostrożnie, żeby nie uciekła.

— Najpierw z upiorem pogadam! — zawołała wesoło dziwożona i uśmiechnęła się ukradkiem do Podlasiaka.

— Na bok reszta! — krzyknął Podlasiak, podniecony otrzymanym uśmiechem.

Kulawiec i jednoręki usunęli się na ubocze.

— Jesteśmy sam na sam — rzekł Podlasiak, do głębi wzruszony swym obecnym stanowiskiem.

— Zaraz ci coś szepnę, jeno się nachył, boś za wysoki — odparła dziwożona.

Podlasiak nachylił się ku niej.

— Nie chcę kulawca! Rozumiesz? — szepnęła mu do ucha dziwożona i niespodzianie wyrwała mu z brody najbardziej pogmatwany kędzior.

— Rozumiem — odpowiedział Podlasiak i z dumnym poczuciem rozbudzonej niejasno nadziei spojrzął na wyrwany kędzior.

— Na pamiątkę, dziewulinko? — spytał domyślnie.

— Na pamiątkę — potwierdziła dziwożona, spuszczać oczy.

Podlasiak potarł dłonią miejsce pozbawione kędziora i rzucił na zabrakowanego kulawca spojrzenie pełne politowania.

Po chwili dał znak kulawcowi, aby się zbliżył z kolei i wręczywszy mu dziwożoną, pośpieszył do jednorękiego.

Kulawiec zawczasu nachylił się ku dziwożonie.

— Pyskuj! — zawołał z powziętą z góry na wszelki przypadek urazą.

— Nie chcę jednorękiego... Rozumiesz? — szepnęła mu do ucha dziwożona i zniechęta zdzieliła go pięścią w policzek tak mocno, że kulawiec natychmiast przymarszczył owego policzka, aby sprawdzić stopień przykrego znieczulenia.

Wszakże uderzenie pięścią obudziło w nim poniekąd nadzieję, jak wszelka wprawdzie dotkliwa, ale trafna w zasadzie pieszczota...

— Rozumiem — szepnął z uśmiechem i pogardliwie spojrzawszy na jednorękiego, przywołał go ruchem dłoni.

Jednoręki przybiegł pośpiesznie, jakby się bał karygodnego w danym razie opóźnienia.

Kulawiec wręczył mu dziwożoną, a sam skocznie pomknął do Podlasiaka.

— Ze mną, dziewczycyco, nie rób żadnych ceregieli — rzekł jednoręki. — Daj odprawę i zbadź kłopotu.

— Nie zbędę... — odparła, rumieniąc się, dziwożona.

Jednoręki postrzegł ów rumieniec.

— Mam się nachylić? — spytał pokornie.

— Nie — odrzekła dziwożona i wspięła się ku niemu na palcach.

— Szeptać będę! — uprzedziła go z uśmiechem.

— Dosłyszę! — odpowiedział radośnie.

— Nie chcę upiora... Rozumiesz? — szepnęła tajemniczo dziwożona i wyszperawszy okiem na jego opuchniętej od ukąszeń dłoni najboleśniejsze miejsce, rozdrapała je nagle różowym i drobnym jak perła paznokciem.

Jednoręki syknął z bólu i z rozkoszy, która się wraz z bólem narzuciła.

— Rozumiem! — rzekł z zachwytem, czując, że otucha wstępuje mu do duszy. Ze współczuciem spojrzął na zabrakowanego Podlasiaka.

— Już! — zawołał w stronę obydwo towarzyszy. — Skończone!

— Już! Już! — zakrzyknął Podlasiak i wraz z kulawcem zbliżył się do dziwożony.

Trzej zalotnicy dumnie i zawiadacko poglądali wzajem na siebie...

— Teraz, gdy już wszystko wiadomo... — zaczął uroczyście Podlasiak.

— A jużci, że wiadomo... — przerwał mu jednoręki.

— Ciekawym tylko, co wiadomo — spytał kulawiec i splunął w stronę jednorękiego.

— Dwaj pozostali powinni się usunąć... — ciągnął dalej Podlasiak.

Dziwożona milczała ze wzrokiem utkwionym w ziemię i mięła w dłoni kędzior ujęty brodzie Podlasiaka.

— Im prędzej się usuną, tym lepiej! — zawołał kulawiec i dał nagłą sójkę w bok jednorękiemu.

— Przysiągłeś, że bez bójki się usuniesz! — krzyknął jednoręki, groząc spuchniętą lewicą. — Kulawych nam nie trzeba!

— Nam? Jakim — nam? — wycedził przez zęby kulawiec.

— Wiem, co mówię! — odparł jednoręki i spojrzał na dziwożoną.

Dziwożona milczała uparcie.

— Musimy wprzód wyznać sobie nawzajem, co każdemu z nas dziewczulinka na osobności szepnęła — zawołał Podlasiak, czując, iż zaszło jakieś nieporozumienie.

Nikt wszakże nie słuchał już jego rady.

— Usuń się, pókim cię jeszcze pięścią pomiędzy oczy nie uderzył! — krzyknął kulawiec i uderzył jednorękiego pomiędzy oczy.

— Uciekaj tyłem, jak od baby na kładce! — zaryczał nagle jednoręki i pchnął przeciwnika tak, że ów ostatni dał w tył kilka przymusowych odskoków.

— Kładka — kładką, a dziewczak — dziewczakiem! — wrzasnął odepchnięty i zacerpnawszy w garść ziemi, sypaną nią w oczy jednorękiemu.

Postanowił, widać, oślepić rozwścieczonego przyjaciela.

— Precz w tył! Precz w tył! — wołał niemal obłądnie jednoręki i mrugając oczyma, porwał kulawca za gardło. — Nie tkniesz dziewczycy, bo nie z twego chlewu!

— Ludzie dobrzy! — jęknął przerażony Podlasiak. — Nie łamcie przysięg wobec niewinnej dziewczulinki!

Pięści kulawca hulały niewzornie wokół przytwierdzonej do gardła lewicy, lecz twarz jego zsiniała, a białka krwią nabiegły. Ostatkiem sił rozważał ułomną nogę i niby potwornym taranem uderzał nią w przeciwnika.

Podlasiak, który dotąd trzymał za rękę dziwożoną, rzucił się nagle ku zaciętrzewionym¹²⁶ przyjaciółom, aby rozejm pomiędzy nimi uczynić.

Nie wiedząc, jak spojonych w walce przeciwników rozdwoić, chwycił na przemian to spuchniętą lewicę, to rozważaną na oślepe nogę kulawca...

Dziwożona tymczasem, korzystając z bójki, cisnęła o ziemię zgniatany kędzior i ciszkiem a chyżo wymknęła się na wolność...

Podlasiak pierwszy spostrzegł jej ucieczkę i opuściwszy walczących, dał w ślad za nią nieludzkiego susa.

Wszakże w zapale i popłochu odbił się zbyt mocno od ziemi i posłuszny przeznaczeniom, z okrzykiem „Żegnajta!” uleciał, nie chcąc, w niebiosy.

Nic innego nie zdążył powiedzieć na odlotnem.

Jego postać ciężka i olbrzymia bezpowrotnie i z przestankami wzbijała się ku błękitom, a targane wiatrem sztywne rajtuzy wydawały odgłos podobny do żalosego turkotu odjeżdżającej na zawsze bryki...

Drugi z kolei kulawiec zauważył wszystko, co się stało. Dziwożona przebiegła obok niego, myśląc, że zajęty bójką nic nie widzi.

Wyrwał się z uścisków omdlałej z bólu dłoni i skoczył przed się, aby zbiega pochwycić.

Wszakże przez zbyt długie roztrągnięcie pokwapił się naprzód kulawą nogą i runął, jak długi, na ziemię.

Teraz dopiero jednoręki zoczył uchodzącą.

Miał ją niemal no podorędziu, więc pośpiesznie wyciągnął dłoń, aby dziwożoną w czas zatrzymać, ale w nadmiarze wzruszenia wyciągnął właśnie tę dłoń, której nie miał...

Dziwożona z radosnym i dzikim krzykiem uchodziła w głąb lasu — wolna, wysmiewana, niedościgną...

Zanim kulawiec zdążył powstać z upadku, znikła w rozbliskanej słońcem zieleni.

Dwaj przyjaciele, milcząc, spojrzeli wzajem po sobie.

Bijatyka

Ucieczka

Lot

¹²⁶zaciętrzewiony — zawzięty, podeksycowany.

Obydwaj zrozumieli, że bójka, którą toczyli przed chwilą, stała się już zbyteczna. Popołudniowe cienie z wolna gromadziły się pomiędzy drzewami. Szum chodził wierzchem lasu, nie przenikając do głębi.

— Ładny był dziewczak — rzekł wreszcie kulawiec i spojrzął na przyjaciela.

Jednoręki wyciągnął z torby kubek blaszany, obejrzał go starannie i schował z powrotem.

— Nie popsula? — spytał kulawiec.

— Nie popsula — odparł jednoręki.

— A chleba nie wyżarła? — spytał znowu kulawiec.

— Wyżarła — wyznał z westchnieniem jednoręki.

— Tatarakiem go, widać, przegryzała... — domyślił się kulawiec.

Jednoręki rozejrzał się naokół.

— A Podlasiak gdzie? — zapytał z niepokojem.

— Do nieba go zanosło! — odparł kulawiec, palcem niebo wskazując. — W pogoni za dziewczakiem odbił się zbyt od ziemi i odleciał bezpowrotnie. Podlasiakiem go nie nazywaj, bo dla nas jeno owo nazwisko niestosowne przybrał, lecz wzbijając się ku niebu, wobec Pana Boga prawdziwe imię wyznać musiał.

— Jakże mu było na imię? — spytał ciekawie jednoręki.

— Żegnajta — odpowiedział kulawiec. — Takie imię, że dość je przed kimkolwiek wymówić, aby już tyłem do ciebie się odwrócił...

— Podlasiaków dwóch znałem, a Żegnajty ani jednego — przypomniał sobie nagle jednoręki.

Wiatr powiał od lasu i odął z lekka na piersiach kulawca rozchełstaną w bójce koszulę.

— Czas nam w drogę! — rzekł nagle kulawiec i zajął zwykłe po prawej stronie stanowisko...

— Czas! — powtórzył jednoręki i poprawił torbę na plecach.

Obydwaj zgodnym krokiem ruszyli w jednaką zawsze drogę.

— Żegnajta! Żegnajta! — rozlegało się coraz wyżej i coraz ciszej w promiennych od słońca przestworach.

Lecz zadumani przyjaciele nie słyszeli dalekich okrzyków zapodzianego w niebiosach upiora.

Szli znowu — donikąd.

Wiedźma

W noc grudniową, po sutej wieczery, wójt zbliżył się do okna i zasunawszy dłonie w kieszenie, gapił się przez chwilę na śnieg, który za oknem uzbierał się we wzgórze puszyste i to błękitniał, to skrzył się znikliwie i niepochwytnie odskakującymi od jego powierzchni gwiazdami zaostzonych w ciemności brylantów.

Światło z izby na świat Boży wybiegłe rozwidniało część wzgórza śniegowego swym sztucznym, do zaduchu izdebnego nawykłym poblaskiem, ukazując w tym miejscu płytki¹²⁷ i samotny ślad obutej stopy męskiej z głębszym nieco wydrążeniem od obcasa, w którym ktoś ciekawy czy też nic pilniejszego do roboty nie mający zatkwiał starannie patyk, zawierzywszy go czapką dziurawą i niecałą.

Wójt z brylantów gwiazdzistych przeniósł wzrok na czapkę, jako na przedmiot wybitniejszy, który samotniał na tle śniegu tak, jakby dla braku głowy ludzkiej pod sobą czuł się bezradnie i nie mógł się do nie znanych mu potrzeb przygodnego patyka zastosować.

Wójt, patrząc na czapkę, myślał właściwie o tym, że but, który w śniegu ślad wyźłobił, był zapewne i nowy jeszcze, i mocny, a przy tym od czasu do czasu zdawało mu się, że ot — za chwilę, ni stąd ni zowąd — ów patyk samotny zdejmie nagle dziurawą czapkę i ukłoni mu się przyjaźnie, a nawet po imieniu go zawoła.

Tak czy owak — wójt gapił się i trawił wieczere, rozprowadzając językiem po podniebieniu pozostały kędyś w chwilowym zaniedbaniu smak spożytej bezpowrotnie kielbasy

Imię, Rozstanie, Pożegnanie

Jedzenie

¹²⁷ płytki — w pierwodruku: płatki.

z czosnkiem, która mu zawsze i niezmiennie dostarczała tej samej, a nigdy nie wyczerpanej i nigdy dość nie wyzyskanej przyjemności.

Nagle przypadkowym spojrzaniem zawałęsawszy się ku niebu, wójt zauważył ukosem na niebie jakiś ruch pośpieszny i celowy, ani z miejscem niezgodny, ani w rozsądku ludzkim nie mający żadnego uzasadnienia.

Baczenie tedy skierował wzrok bystry w stronę przyłapanego na niebie ruchu i dla tym ściślejzego widzenia uczynił z obydwu dłoni nad oczyma rodzaj strzechy czy też okapu, aby wszystką siłę wzroku na tym jednym punkcie skupić.

Wówczas stwierdził wyraźnie, że znana we wsi baba — Bartłomiejowa, okraczywszy łopatę, harcuje po niebiosach z rozpuszczonymi na wiatr włosami i powiewa białą koszulą, która na bezbronnym tle szafirów wicherzy się ogoniasto, niby jakaś śnieżycą, furkotem własnych fałd spłoszona, jakby właśnie tym szafirom takiej tylko śnieżycy w grudniu dla zupełnego zadowolenia zbrakło.

Na twarzy wójta zjawiał się wyraz zgrozy urzędowej i nieludzkiego zastanowienia, które ją w końcu wykrzywiło w sposób samemu wójtowi dotąd nieznanym i w innych okolicznościach zgoła niedostępnym. Zdawało się, że ta twarz piegowata, rudymi wąsami z rzadka pod nosem potrząśnięta i płowym ślepiem zaledwo rozwidniona, w poczuciu własnej bezsiły oraz oburzenia pokurczy się nagle w pięść bezmyślną i raz na zawsze w sobie zamilkła, aby nigdy już nie odzyskać dawnego kształtu.

Wójt był człowiekiem wyrozumiałym.

Wobec najmniej nawet spodziewanych wypadków zachowywał spokój niewzruszony i przybierał wyraz służbistej, rzeczoznawczej zadumy, jakby wszystko z góry przewidział i jeno zastanawiał się nad wyborem odpowiednich, a jemu jedynie znanych środków przywrócenia ładu i porządku. Wyraz ten odznaczał się właściwie zupełnym brakiem jakiegokolwiek wyrazu, a brak ów nadawał twarz wójta powagę, zabezpieczał od wszelkich możliwych a nieobliczalnych ze strony zwierzchności zarzutów oraz wyosabniał ją wśród reszty twarzy ludzkich, jak wyspę jałową, na której wszystko posiać można, ale nie z jednakim skutkiem.

Gdy inni, słuchając zbyt uczonej przemowy jakiegoś uspołecznionego obywatela z okolicy, poparskiwali nie dotłumionym a pilnie na pogotowiu w gębie trzymanym śmiechem, aby podkreślić i wyróżnić w ten sposób słowa i zdania, najmniej, zda się, owego śmiechu żadne, wójt przez cały czas nieproszonej zresztą przemowy trwał bez ruchu i zupełnym brakiem wyrazu na skamieniałej twarzy tak przykuł do siebie bezdomną nieco uwagę stropionego obywatela, że ten ostatni do końca nie mógł oczu od twarzy wójta oderwać, jakby się bał, że poza granicami tej twarzy, jako bezimienny przytułek oczom jego usłużnie nastawionej, znajdzie jeno otchłań, która go o zawrót głowy przyprawi.

Po wyjściu obywatela zaśmiano się głośniejszy i zaszurano butami po podłodze. Wójt wszakże powagi swej nie poniechał. Dopiero wówczas, gdy wszystko naokół ucichło, wybuchnął nagle krótkim i gwałtownym, jak wystrzał armatni, śmiechem i natychmiast śmiech urwał, skinięciem dłoni powstrzymując innych od spodziewanego wtóru.

Wyrozumiałość wójta podziwiano powszechnie.

Wyrozumiałość ta jednak pierzchła wobec zjawiska, które przed chwilą zobaczył.

Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, przetarł oczy i zawołał do żony, która z izby przyległej na wołanie przysłała.

— Spójrz no przez okno w samą otworzystość nieba — rzekł głosem zmartwiałym i na wpeł jeno z gardła dobytym. — Spójrz i powiedz, co widzisz. To samo, co ja, czy nie to samo?

Wójtowa wyjrzała przez okno i klasnęła w dłonie.

— Bartłomiejowa! — szepnęła, tłumiąc w piersi okrzyk zdumienia.

— Trudno się pomylić — potwierdził wójt, smętnie kiwając głową. — I trudno baby wśród gwiazd nie wyróżnić. Znam ją nie od dzisiaj i gdybym nawet jeno koszulę pustą w niebiosach zoczył, też bym po samym kształcie, oglądania niegodnym, Bartłomiejową poznał. Zamiast łopatą śnieg od progu chałupy odgarniać, do powietrznego truchta¹²⁸ czarami ów sprzęt zniewala, aby oczy ludzkie niepokoić i niebu swą obecnością nieczystą bruździć.

¹²⁸truchta — dziś popr. forma D. lp: truchtu.

Lot

Czarownica

Urzędnik

Śmiech

Czarownica

Bartłomiejowa właśnie uderzeniem pięty łopatę do biegu zagnęła. Włos jej szpakowaty rozpiął się na tle nieba i wił się wzwyż ku gwiazdom, na kształt dymu bujnie uchodzącego z komina. Sztywność łopaty klóciła się nieco ze zmiennym jej kłusem po niebie, a biała koszula spiętrzyła się teraz wezbranymi fałdami, jak mleko, gdy kipiąc, przez brzegi naczynia przelewa się obficie i puszyście.

— Nie darmo ją na wsi wiedźmą przezywają — szepnęła wójtowa do ucha męzowskiego, które słuchało jej szepków, podczas gdy oczy śledziły uważnie polot baby w niebiosach.

— Kilka dni temu Galas bednarz do chaty wraca — szepnęła dalej wójtowa. — Wraca do chaty po nocy. Ogląda się na drogę, a droga pusta. „Pies kulawy nigdy tej drogi nie przebiegnie” — powiada Galas do siebie. Bez żadnej myśli powiedział, aby powiedzieć cokolwiek i głosu własnego w ciszy nocnej dla ciekawości posłuchać. Powiedział i za siebie się obejrzał, jakby go coś tknęło. Patrzy, a po drodze suka biegnie raba¹²⁹ i wprost ku niemu się zbliża, w oczy zagląda, do nóg się łąsi. Poznał zaraz, że to Bartłomiejowa. Splunął na nią, a ona ogon pod siebie — i uciekła.

— Po czymże ją poznał? — spytał się wójt, wzroku od nieba nie odrywając.

— Po ślepiach! — szepnęła domyślnie wójtowa. — Cała się odmieniła, a ślepi w śpiechu odmienić zapomniała. Po tych ślepiach poznał ją Galas od razu. A gorzej jeszcze sąsiadce się naszej zdarzyło. Bartłomiejowa płaksy na jej dzieci nasłała. Rozpląkały się tak, że rozum na dzień cały utraciły. Na próżno im gęby chlebem pozatykała. Płakały z chlebem w gębie, a w nocy jeszcze i przez sen ryczały. Nad ranem dopiero nacichły.

— I chce się babie czarami duszę paskudzić i zaprzętać, jakby innej pracy na tej ziemi znaleźć nie mogła! — rzekł wójt, z obrzydzeniem wzruszając ramionami i w dalszym ciągu śledząc uważnie zmieniony nieco kierunek zuchwałego lotu opętanej wiedźmy.

— Pewno z tym chceniem na świat przyszła albo je po nocy od jakiej zmory nabyła — szepnęła znowu wójtowa. — Zeszłego roku na wiosnę deszczu ludzie wyczekiwali na próżno. Nie ma deszczu i nie ma. Cóż się okazało? Bartłomiejowa deszcz w nowym garnku glinianym uwięziła i płachtą owinąwszy, na piecu garnek ukryła. Zwąchał to kowal, który w pobliżu mieszka. Zakradł się do chaty, gdy baba się kędyś zapóźniła, garnek z płachty odwinął i na własne oczy widział, jak się deszcz z garnka wprost ku niebu uniósł i z nieba po krótkim namyśle na ziemię lunął.

— Lunął? — spytał wójt z goryczą w głosie.

— Lunął! Wszyscy ludzie w polu widzieli, jak lunął.

— Trudna z nią będzie rada — zauważył wójt z westchnieniem. — Cóż jednak robić? Nie mogę pozwolić na to, aby pierwsza lepsza baba swym cielskiem byle jakim zaśmiecała powietrze, ludziom uczciwym przynależne. Muszę ją porządku nauczyć i do opamiętania się powołać!

Wójt wyprostował się, stanowczym ruchem dłoni wdział czapkę, narzucił kożuch na plecy i wyszedł z chaty.

Noc mroźna iskrzyła się w powietrzu, szronem sztywniejąc rzęsy i zapachem śniegu rzeźwiąc nozdrza, oddechem parujące.

Księżyc spełnił się w niebiosach.

Drzewa nagie, pustką przeświecając, zdawały się stać otworem na mróz i blask księżycy, jakby je pozbawiono tysiąca furt, których nagły brak narzucał się oku usilnie, niby wielka nieograniczona i nieludzka bezdomność.

Palczaste i migotliwe po wierzchu cienie padały od nich na chropawę płaszczyzny i opuchłe garby wezbranego śniegu, który z chrzęstem, do zgrzytu zębów podobnym, lgnął chciwie do podeszew, aby je zaokrąglić i wywrotnymi uczynić.

Wójt, z głową ku niebu zadartą i z oczyma wpatrzonymi w babę upowietrzoną, kroczył bacznie w kierunku jej lotu.

Niosło ją kędyś poza obręb wsi, ku polom dalekim. Chyża łopata kłusowała nieustrudzenie, od czasu do czasu nagłym galopem przesadzając niewidzialne i niezgadnione przeszkody, które, sądząc po gwałtownych skokach, były zapewne jarami, zaczajonymi w niebiosach.

Że też dotąd jeszcze babie opętanej żmudne cielsko na mrozie od kości starych, jak

¹²⁹raby — pstrokaty.

tynek od ściany, nie poodpadało! — pomyślał wójt, kozuch na plecach odruchem ramion poprawiając. — Wściubiła się do nieba bez pytania, jak, nie przymierzając, świnia do rozwartego na oścież kościoła. Tak jej z tym niebem do twarzy, jak diabłu z różańcem na szyi. I gdyby przynajmniej krasą dziewiczą mogła się na wysokościach poszczycić, ale zgrzybiałe to i już po brzegach murszy¹³⁰, a jeszcze chce się oczom ludzkim z takiego posterunku po nocy ukazywać!

Wójt niemal z żalem i wyrzutem głębszym zwracał się w myślach do baby, której nie chciał przed czasem wołaniem od dołu spłoszyć.

Szedł ogłędnie, oddychając powietrzem, które w pobliżu warg twardniało mu i opór mroźny stawiało, ilekroć chciał go zaczerpnąć.

Cichy, do najścia snu białego podobny śnieg jał nagle opadać zwiewnymi ochłapami, których jasne powierzchnie, powoli ważąc się w ciemności, olbrzymiały w oku, jeśli jedną z nich upatrzyło sobie trafem dla dłuższego oglądania.

Śnieg lechtliwie osiadał wójtowi na wąsach, niepokoił nozdrza, a czarne gałęzie nagich drzew podsuwał od jednej strony jakby samą tylko, nic w sobie, prócz własnej białości, nie mającą barwę, która swą obecność ujawniała dopiero w chwili zetknięcia się z drzewami.

Trwał wszakże niedługo. Przyszedł nagle i tak samo ustał. Powietrze, wszelkiego wiatru wyzbyte, ociepiło się w swym znieruchomieniu.

Wójt, nie tracąc z oczu zaciętrzewionej w swym locie baby, wyszedł już hen za kołowrót i zabrnął w pola, śniegiem bezbrzeżnie ku krańcom świata biejące.

Po ich równi nieograniczonej ścigały się wzajem olbrzymie, ale niewyraźne cienie, których przyczyny nie można było dostrzec ani w niebie, ani na ziemi.

Śnieg to świtał, to dniał od księżycy i zdawało się, że w nim co chwila migają całe tygodnie, obszarem pól pochłaniane i do reszty świata nie docierające.

Nie było naokół żadnej przegrody oczom, prócz chyba w oddali samotnego pnia przygodnej brzozy, która sterczała nad brzegiem zaśnieżonego strumienia.

Ku tej brzozie wiedźma lot swój nagle skierowała, i wójt w tę samą stronę natychmiast podążył.

Idąc zapadał się w śniegu i musiał kozucha, jak spódnicy, unieść, aż wreszcie dobrnął do wspólnego z wiedźmą celu.

Stanął pod brzozą, nad brzegiem wartkiego jeszcze od spodu strumienia, na którym cienkie skrzepy lodu, podważanego zgłuchłym chlupotem usilnych fal, to czerniały, to srebrniały w księżycu.

Sękaty cień pnia brzożowego wkroczył mu na piersi i na twarz, przekreślając jedno oko przyjemnym pasmem niedokuczliwego mroku.

Wiedźma, czy to swym polotem zbyt zajęta, czy też w otchłanie ponad sobą wpa-trzona, nie dostrzegła go dotąd, a może dostrzec nie chciała.

Krążyła teraz ponad nim — dookoła strumienia, niby jastrzęb żeru szukający.

Warkocz jej furkotał w powietrzu, niby tkanica żywa, która nie może swych włókien rozwianych pozbierać i w kształt jeden zgromadzić.

Krążąc nieustannie, utkwiała nagle w miejscu i na osłep spadając ku strumieniowi, osiadła w oka mgnieniu na śniegu, niby polatucha¹³¹ nocna, własnej potworności nieświadoma.

Jej zeszywniała koszula skrzyła się wzorzyście diamentowymi pstrocinami ciepłego szronu, a łopata, zgęstniałym mrozem suto omszona, jaśniała niby berło z matowego srebra wykute i zgoła nierzeczywiste...

Wójt poczuł z bliska to zakazane a niechlujne życie, które w zdyszanej wiedźmie zarzepotało się nagle, jak kokosza w ciemnym kurniku.

Podskoczył ku niej skwapliwie i dłonią wprawną ułapił co prędzej za gardło, które mu w rękach zwęziło się i wydłużyło jednocześnie.

— Poczekaj no, psiawelno! — zawołał, do oczu jej zazierając. — Wytataruję ci skórę za tę twoją jazdę bezwstydną po niebie!

¹³⁰murszeć — pruchnieć, psuć się, sypać się; murszy — dziś popr. forma: murszeje.

¹³¹polatucha — wiewiórka latająca, ma po bokach między przerniami a tylnymi łapkami fałd skórny, ułatwiający skoki ślizgowe. Pokonuje w powietrzu odległość do 50 m. Występuje w lasach od południowej Finlandii, przez Rosję, po północną Japonię. Jeszcze w XIX w. występowała również w Polsce, w Puszczy Białowieskiej.

Zima

Przestrzeń

Grzech

Wiedźma nic na to nie odrzekła, jeno schwyttane gardło w rękach mu nieco dla własnej wygody poprawiła.

— Czyś wody święconej w gębę nabrała, że milczysz jak niemowa przed trybunałem? — zawołał znowu wójt, wypuszczając gardło i przenosząc dłoń bezpośrednio na kark baby. — A może siły w sobie ciulasz, aby znowu upowietrzyć i sprzed nosa mi pierzchnąć niespodzianie? Jakem wójt, na tej tu brzozie cię obwieszę, zanim pomyślę, co mam dalej z tobą czynić!

— Zabij mnie — szepnęła wiedźma głosem ochryplym — ale pozwól pierwej łykiem gorzałki śmierć przedwczesną poprzedzić.

Na wspomnienie gorzałki wójt złagodniał i językiem cmoknął tak, jakby chciał przy tym korek z odwróconej stosownie butelczyny uderzeniem dłoni wyłuskać.

— Gorzałki nie zabraniam, bo ani to w mojej mocy wójtowskiej, ani w moich zamiarach ludzkich — rzekł, poważniejąc. — Śmierć bywa przedwczesna, ale gorzałka — nigdy. Dziwno mi jeno, że ci się lba upartego takie wybryki czortowskie trzymają, chociaż starość już kości twoje pogruchotała, a skórę zwijając zaczęła, jak płótno, z którym się w drogę daleką wybiera.

— Choć lat trzysta, ale dusza ognista! — odrzekła przebiegle baba i podała nagle wójtowi butelczynę najprawdziwszej gorzałki, która się w jej ręku ni stąd, ni zowąd ukażała.

— Co mam na myśli, to i na języku, a co na języku, to i w dłoni — dodała, podrygiem ręki przymuszając ponętą butelczynę do krygowania się i do tańca, jak czasem matka niemowlę dla tym lepszego okazania jego urody przymusza.

Wójt zastanowił się nad tym, skąd się tak nagle wzięła mizdrząca się doń wymownie butelczyna, i w pierwszej chwili oglądał ją z niedowierzaniem i z przykrym uczuciem narzuconej sobie samemu niechęci. Lecz wkrótce usunął na bok wszelkie podejrzenia i pokonał uciążliwą niechęć ze względu na mróz, który tak się w nim panoszył i tężył, jakby chciał mu kości spacyć i na miał utrzczyć bezlitośnie.

Wyciągnął tedy dłoń po butelczynę, a choć była niewielka, oburącz ją do ust przypiął i głowę w tył dalej, niż tego butelczyna wymagała, odrzuciwszy, wysączył zawartość do dna pierwej, niżli z ostatnią kroplą wyczuł próżnię szklanego¹³² a obojętnego już wnętrza.

Nie domyślił się wójt, że wiedźma zaprawiła gorzałkę lubczykiem, który do miłości zniewala, i duryjem, który do szału podnieca. Czuł jeno, że dobroczynny upał wypitego trunku zagrzewa mu gościnne kryjówki zziębłych wnętrzości i zagarnia coraz szersze i dalsze okolice.

Otarł wąsy dłonią i chuchnął dla smaku zroszonymi cenną wilgocią wargami.

Wiedźma milcząc, patrzyła mu w oczy i, zda się, badała, czy lubczyk i duryj podziały już należycie.

Podziałał snadź¹³³ i jeden, i drugi, wspólnymi siłami gotując wójtowi niespodziankę, którą by nawet karą czyszcową zastąpić wołał, gdyby mu wybór dano zawczasu.

[Brak kilku kart rękopisu]

I wójt pięścią żarliwie zwartą grzmotnął się w piersi, jakby właśnie w ziemię grzeszną, o której wspomniął, uderzył.

Pogmatwały się w nim wszystkie, jakiegokolwiek miał w długoletnim posiadaniu, uczucia i myśli.

Zdawało mu się, że wśród tych obszarów śnieżnych pozbawiono go nagle urzędu, odarto ze czci i ogołococono z powagi, bez której czuł się jak bez głowy na karku. Stratę powagi odczuł najdotkliwiej, bo wraz z nią opuściła go zdolność należytego obcowania z własną duszą i służbistego górowania ponad zwykłym poziomem zdarzeń i wypadków.

Próbował samego siebie odpowiednim rozkazem pohamować, ale nie mógł, wiedząc z góry, że żaden, nawet wójtowski, rozkaz lub pogróżka nie powściągnie go od niezwalczonej pokusy.

W twarzy jego było coś z owej osamotniałej pustki pozbytego wskazówek zegara, który na próżno nałogowym ruchem sprężyn usiłuje odmierzać dawny ład posłusznych mu niegdyś, a nagle ztraconych godzin.

¹³²szklanny — dziś popr.: szklany.

¹³³snadź (daw.) — przecież; widocznie.

Alkohol, Czary, Podstęp

Starość

Zwątpienie

Staral się przydać tej twarzy urzędowy wyraz bezosobistego zastanowienia w tej nadziei, iż z niezawodną pomocą tego wyrazu uda mu się własną duszę do porządku powołać, ale dusza z tym wyrazem nie chciała się spokrewnić i przebywała nadal w swym grzechu.

I była chwila, że twarz wójta pokryła się śmiertelną bladością.

Przestał być wójtem.

Wiedźma obrzuciła go wzrokiem domyślnym i niespokojnym.

— O czym tak sumujesz, że liczko ci osowiało i pobladło, jakbyś chciał tą bladością chatę własną pobielić? Wróć do siebie i nie lękaj się onego powrotu, bo zastaniesz duszę na miejscu, a ciało — na oskrzydleniu.

— Nie mam do czego i do kogo z mej nieprzytomności powracać — rzekł wójt pośepnie. — Anim ja człek Boży, ani wójt, ani gospodarz, jeno stworzenie bezimienne, które z lękiem i zgrozą nazwy własnej od kogoś wyczekuje.

— Przyzwyczaj się do myśli, żeś mój, i myśli tej w sobie nie unikaj — odparła wiedźma. — Unikając siebie, Boga ominiesz, że od niechcenia Imię Jego wspomnę na śniegu dla samej białości obojga.

Boga wspomniała! — pomyślał z ulgą w sercu wójt i spojrzął na śnieg, że to właśnie z tego śniegu wspomnienie owo wyszło.

— Biało tu, biało, jakby się w każdym oku łabędź inny napuszył, lewy — w lewym, a prawy — w prawym — szepnęła wiedźma. — Ot, obydwą te łabędzie oddałabym za to, aby się z tobą w czerwonym ogrodzie u samej czerwieni spotkać!

— A dalekoż ów ogród czerwony? — spytał ciekawie wójt.

— Nie ma go wcale — odparła wiedźma — ale chce się, aby przynajmniej na chwilę w rozmowie naszej poistniał.

— A chce się — zgodził się wójt, dziwiąc się temu chceniu.

Wydało mu się, że ogród czerwony poistniał właśnie w jego oczach i znikł, strzępami cudacznej czerwieni osypując się w mrok nocny.

— Mróz mi w kościach trzeszczy, jak w płocie chruścianym — rzekł po chwili, dłońmi siebie po ramionach na krzyż uderzając.

— Tańcem cię zagrzeję — pochwyciła starucha, obejmując go wpół do tańca.

— Gdzież mi tam teraz do tańca! — drożył się wójt i wzbraniał wstydliwie. — Nie wójtowskie to zajęcie i osobie mojej nie przystoi.

— Nie zarzekaj się tańca, póki weń nogami nie utrafisz! — upierała się baba, obskakując wójta dokoła.

Wójt chronił się jeszcze natarczywym umizgom wiedźmy i odwracał się do niej tyłem w chwili, gdy właśnie, przytupując nogami, do płasów go zachęcała.

Wszakże opór wójta słabnął, bo czar, który szedł nań od staruchy, zwiększył się jeszcze, gdy ujrzał, jak się jej nogi do tańca rwą, niby dwa psy, z łańcucha spuszczone.

Struchlał jeno na myśl, że resztę swej powagi durnym płasem po obszarach śniegu rozsieję. Zdawało mu się, że na widok tego płasu Rany Boskie w białym śniegu się potwierają, aby mu przypomnieć, że od nich swój rodowód ma, a wbrew temu rodowodowi w objęciach rozpląsanej wiedźmy ducha człowieczego pogrzebał.

Lecz zgroza wójta pierzchła w oka mgnieniu, gdy wiedźma, wpół go ująwszy, warkoczem swym otuliła, aby tym płaszczem osłonić wszelką zgrozę i obawę.

Lubczyk serce mu zmiękczył, a duryj uderzył do głowy i tak się tam zakotłował, że jednocześnie i nogi pod wójtem zakotłowały się skocznie, zdradzając niedołączną nieco, bo zgoła przygodną ochotę do nie znanego im tańca.

Pewno już tańczę... — pomyślał z niepokojem i stwierdził, że przebiera nogami, jakby na wypródkę lewą nogą prawej umykał.

Splunął więc tylko na stronę dla zaznaczenia pierwotnego względem tańca stanowiska — i zawirował po śniegu, starając się na chybił-trafił pogodzić swe gwałtowne poskoki z rozszałymi podrygami wiedźmy.

Wbrew oczekiwaniu pisał lekko i wprawnie, podniecany siłą tajemną, która w tej chwili wyłącznie niemal poruszaniem nóg jego była pracowicie zajęta.

Zdawało mu się, że nie tylko on na tych polach śnieżnych, lecz i pola śnieżne pod nim tańczą, wirując i poskakując, i uderzając o jego stopy pierwszej, niż się tego spodziewał.

Wirował po powierzchni śniegu, nie zapadając się w jego puchy i nie nadłamując kruchej powłoki szronistego opancerzenia, bo wiedźma niosła go zwiewnie, odskakując

Bóg

Ogród, Marzenie

Taniec

Kuszenie

Grzech

od śniegu z radosnymi okrzykami, jak gęś, gdy z wielkim hałasem do niskiego lotu się zrywa.

Warkocz jej furkotał, niby latawiec, wichrem szarpany, a srebrna od mrozu łopata biegła przodem w rozszalałym galopie, równając zawczasu wydymiska śniegowe i zasypując jary, błękitnym cieniem dymiące.

— Dyszysz? — szepnęła wiedźma, porywając wójta w niespodzianą dlań stronę świata, dokąd ją zachcianka taneczna nagle skierowała.

— Dyszę — odszepnął wójt, uzręczniając się do nowego poskoku w powietrzu, którego od śniegu nie odróżniał, gdyż współ ze śniegiem białło mu w oczach, tańcem obłąkanych.

— Tańcz, póki sił! — zawołała wiedźma, tuląc go do siebie.

— Często tak tańczysz? — spytał wójt i czyniąc po raz pierwszy w życiu nie znany mu dotąd piruet, zdziwił się, że przyszedł mu z taką łatwością.

— Jak się zdarzy — odparła wiedźma niedbale.

W tej chwili przed oczyma wójta przemknęło coś, niby imbryk hebanowy, dwukrotnie złotem nakrapiany.

— Kruk? — spytał wójt przelotem.

— Kruk — potwierdziła wiedźma. — Skradzionymi dukatami pozłocił dziób i ogon. Zamiast krakać komu na śmierć, złoci się na ponętę.

— Złoci się! — zawołał wójt i jakby pod wpływem tego zjawiska ze zdwojoną szybkością zawirował po śniegu.

Ale po chwili, na kształt potwornej szarańczy, zatrzepotał skrzydłami w świetle księżycowym zjaw, który wójt rozpoznał od razu.

— Szataniec! — szepnął, czując, że nogi pod nim chwieją się i płaczą w tańcu, jakby miał ich na razie za wiele.

— Mój dawny powiernik — odrzekła wiedźma. — Leci jak szalony. Zawsze lubił pęd i niepochwytność.

Szataniec, kształtem nietoperzowym na wznak strzeliście wydłużony i jakoby na wezglowiu niewidzialnym wsparty, przemknął i znikł w oddalonych.

Zachwiana na chwilę ochota powróciła wójtowi. Z hulaszczą swawolą próbował na śniegu najzawilszych skoków, skrętów i wirowań, a wszelkie zamysły taneczne udawały mu się jak wprawnemu tancerzowi.

Szkoda wszakże, iż nie mógł wójt, a i czasu nie miał, aby teraz na siebie samego ze strony popatrzeć!

Oczy skrzyły mu się ogniem obłądnym, szczęki poruszały się pomocniczo w takt tańca, nogi migaly w księżycu jak szprychy potworne, a twarz przybrała taki wyraz, jakiego z pewnością żaden wójt na świecie nigdy jeszcze nie miał i mieć nie pragnął!

— Kochasz mnie? — spytała nagle wiedźma w chwili, gdy wójt myślał właśnie, czy ma wywrócić kozła¹³⁴ na śniegu, czy też na potem ów zwrot taneczny odłożyć.

— Kocham — odparł wójt i nie wywrócił kozła.

— Zabilbyś dla mnie żonę własną? — spytała znowu wiedźma i łeb swój do wójtowskiej twarzy, jak kufer do ściany, przydźwignęła.

— Kto wie, czy nie zabilbym? — odpowiedział wójt zuchowato i zmajstrował nogami takiego hołubca, aż mu w krzyżach jakaś mniej posłuszna sprężyna zgrzytnęła kilkakrotnie, zanim z powrotem na dawnym miejscu osiadła.

Atoli pod zgrosą słów, które wymówiwszy, własnym uchem natychmiast pochwycił, oraz pod nieprzewidzianym wpływem gruntownej w krzyżach rozterki zgubił nagle rytm nie znanego mu zresztą tańca, wykoleił się z nabytego wiru i zanim wiedźma zdołała jego ślepy zapęd pohamować, runął w śnieg z takim odruchem, jakby go ktoś przez okno z któregoś piętra wyrzucił.

Nosem utkwiał na sztywnym rąbku własnego kozucha, który od dawna zwiął się z jego rozpląsanych barów i z rozkrzyżowanymi rękawami poległ płasko na śniegu, jak nieboszczyk, przed chwilą zamordowany, a sam siebie jeszcze żałujący.

Ptak

Diabeł

Urzędnik

Miłość

¹³⁴wywrócić kozła — wykonać przewrót z wyskoku; fiknąć fikolka.

Wójt leżał jak długi, i zamierzając powstać, z przerażeniem uświadomił sobie własną, uciążliwą w tej chwili, rozciągłość i uczuł przy tym coś, niby raptowny, choć niejasny brak pośpiesznie zapotrzebowanej drabiny.

Zdawało mu się, że zbyt się splaszczyl i, gdy wiedźma z upadku go podniosła, miał takie wrażenie, jakby się na nowo uwypuklił i po dawnemu wypełnił przynależne mu a utracone chwilowo miejsce w przestrzeni.

Zuchwałe znużenie taneczne, zapóźniając się leniwie, trwało jeszcze w jego rozbrykanym ciele i upajało go kuszącym poczuciem nieograniczonej lotności i rozkosznego przewyżczenia niewiadomych przeszkód, które, zda się, poroztrzącał zwyczajnie wierząc w płasie nogami.

Zagrzał się i parował, jak siano w stodole, i oddychał jeszcze w takt przerwane nagłe tańca, ale jednocześnie czuł się zhańbiony, oplwany i ośmieszony, jakby mu kto z tyłu pęcherz z grzechotką przypiął, a na plecach kredą trafne przewisko lub dotkliwą polajankę nakreślił.

Z żalem spojrzął na łopatę, która, jednocześnie z jego upadkiem poniechawszy swej pracy usługowej, zatkwiała się tuż obok w śniegu i sterczała, gotowa na rozkazy.

Wiedźma pod brodę go ujęła pieścizotliwie i do oczu, czapą nakrytych, jak do gniazda ptasiego zajrzała.

— Kto kocha, ten myśli czyta — szepnęła, zakłócając uśmiechem zastygłą sieć zmarszczek na twarzy. — Wiem, że chciałby mój gołąb do gołębnika z powrotem pofrunąć, jeno nie może więzów miłosnych bez mojej pomocy rozluźnić...

— A chciałby... — odpowiedział wójt, traktując siebie jako osobę trzecią ze względu na mgliście odczuwaną obcość i nowość tej złajdacznej a nieodczepnej osoby.

— I rozluźniłby więzy bez żalu, żeby skrusze zbyt szczerze popożgować? — spytała znowu wiedźma i niespodziewanym uderzeniem dłoni wtłoczyła mu czapkę aż po uszy.

— A rozluźniłby — wyznał wójt spod czapy i przywróciwszy jej należyte na głowie stanowisko, dodał:

— Figlujesz?

— Do domu wracaj, sokoliku rudy — odrzekła wiedźma, na pytanie nic nie odpowiadając. — Wracaj, pókiś jeszcze drogi nie zapomniał. Lecz pamiętaj, że jutro w nocy musisz czekać na mnie w tym samym miejscu, gdzie cię za chwilę, odlatując, zostawię, aby od tego miejsca taniec przerwany na nowo rozpocząć. Niedługo mi tego tańca z tobą, bo już za trzy dni na tamten świat się wybieram, jak na żebry nieznane, i chcę te trzy dni z tobą przetańczyć, aby mnie śmierć znużoną płasem zastała i tym łatwiej mogła do reszty znużyć i ukoić. Dlatego też zakazane mi imię Boga wspomniałam, że Mu już bliżej do mnie niżli mnie — do Niego, bom się odeń na sto mil ziemskich oddaliła, a On się ku mnie, śmiercią moją zwabiony, na sto mil niebieskich zbliżył, aby mi siebie, jako dom opuszczony, przypomnieć.

— Wrócisz do domu onego? — spytał wójt ciekawie i trwożnie.

— Wracaj ty do swego, gdzie żona cię twoja czeka — odparła wiedźma wymijająco. — Nic ci ja złego nie zrobiłam, więc mnie we wspomnieniu nie przeklinaj. Przebaczone, jeno, żem ci tę czapę aż po uszy wcisnęła, nie mogąc nic innego podówczas uczynić.

Wiadomość o bliskiej śmierci wiedźmy nie wzruszyła wójta tak wielce, jak się tego z przedwczesnym lękiem w duszy spodziewał, wzdrygając się z góry na jeden jeszcze więcej dowód niewytlumaczonej miłości.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wiedźma dosiadła wiernej łopaty i w okamgnieniu wzbila się ku niebu, znikając mu z oczu.

Wójt, brnąc w śniegu, udał się w drogę powrotną. Idąc, co chwila spluwał, jakby się nie mógł naspluwać do syta i pozbyć jakiejś zbyt szczerze w gębie.

Najbardziej go zbijała z pantaląku ta wstrętna okoliczność, że ilekroć splunął, tylekroć tęsknotę do znikłej w niebiosach wiedźmy poczuł.

Lubczyk i duryj wciąż jeszcze, widać, działały, chociaż działanie ich złagodzone było nieobecnością głównego przedmiotu. Opętane serce wójta to wrzało gniewem, to miękło na wspomnienie szpakowatego warkocza, którego dotyk czuł jeszcze w dłoniach od mrozu zgrabiałych.

Przecucie, Śmierć

Czary, Miłość, Niewola

Taki ze mnie wójt, jak z żony mojej królowa — myślał w duchu, choć w żonie był skądinąd rozmiłowany i częstokroć mniemał właśnie, że jest do królowej, jak dwie krople wody, podobna.

Ominął już kołowrót i wszedł w pierwszą pustą ulicę, gdzie kuźnia stała, do połowy śniegiem zakapturzona.

Na końcu ulicy zoczył chłopą samotnego, który, pogwizdując, szedł mu właśnie na spotkanie. Na widok chłopą spostrzegł wójt nagle, że kozucha nie ma na sobie. Zapomniał go wdziąć w pośpiechu, zbyt myślni swymi zakłopotany.

Zaklął pod wąsem i chciał chłopu ująć na stronę, ale już było za późno.

Zobaczy, że nie mam kozucha, i jeszcze zapytać gotów, gdzie go sprzedał lub przepił — pomyślał wójt. — A jeśli domyślny, zgadywać coś zaczniesz, aż i zgadnie wreszcie lub — nie daj Boże — na kozuch w polu trafi!

Chłop zrównał się z wójtem i stanął, jak wryty, przerywając nagle pogwizdywanie.

I wójt stanął przeciw woli, jakby z powodu, że chłop pogwizdywać przestał.

Starał się przy tym tak jakoś niedbale ramionami poruszać, jakby chciał tym ruchem nieobecność kozucha zbagatelizować.

— Bajtała? — spytał chłop, nasłuchując potwierdzenia swego domysłu i nie poznając wójta po nocy.

— Taki ja Bajtała, jak ty Karasiński! — odparł wójt ze złością i sięgnął dłonią, aby kozuch nieobecny do ciała zbliżyć, lecz w porę dłoń powstrzymał.

— Karasiński? — powtórzył chłop z opieszałą i poczucia czasu nie mającą ciekawością. — Jakiż to Karasiński?

— A taki właśnie, jak żaden! — rzekł wójt, z lekka przysiadając do ziemi i wydziwając od słusznej zresztą złości. — Nie tylko on, ów Karasiński, jeszcze się nie narodził, ale i nigdy się nie narodzi, byle tylko gęby twojej przy księżycu nie oglądać!

I wójt pośpieszył w dalszą drogę, pozostawiając rozmownego chłopą, który wciąż trwał na dawnym miejscu, o Karasińskim zadumany. Dotarłszy do swej chaty, wójt postąpił chwilę przed progiem, westchnął, splunął, przeżegnał się, machnął ręką i wszedł do wnętrza tak rozpaczliwie, że czekająca nań do późna wójtowa, zauważywszy tę rozpacz i brak kozucha, klasnęła w dłonie i wydłużyła twarz okrągłą.

— Co się dzieje z tobą! — zawołała.

— Źle się dzieje — mruknął wójt posępnie i strzepnął ze siebie ochłapy śniegu, które, osypując się kolejno na ziemię, tajały w zaduchu izby i nikły z wolna w oczach.

Wójtowa słynęła z piękności i z pańskiej niemal oglady. Pielęgnowała się starannie i nie szczędziła dokoła swej osoby zachodów rozmaitych. Nosiła się po miejsku i miała właśnie na świadomych swej urody nóżkach pantofle z kokardami, które wójt dwa lata temu z miasta jej przywiózł w podarunku imiennym. Ręce unikaniem pracy doprowadziła do względnej białości, która urywała się nagle w miejscu pierwszego zgięcia palców, noszących urocze już dzisiaj ślady dawnego zaniedbania i zakończonych czarnymi jeszcze i zgrubiałymi paznokciami.

Ruchów wójtowa nabyła przewlekłych, zbyt licznych i jakby niechętnych sobie samym, wstydząc się zapewne trywialnego pośpiechu i naśladowując widziane z dala, a więc zupełnie czytelne i zrozumiałe ruchy dwóch panien ze dworu. Wójtowa nawet i tę niezrozumiałość przyswoiła sobie i potrafiła nią niejednego zalotnika spośród panów oczarować, zastanowić i zakłopotać.

A wstydzic się umiała tak, jak chyba żadna wójtowa na świecie! Wstydziła się spojrzeń męskich i pogwaru męskiego, których spodziewała się zawczasu, ilekroć z chaty na ulicę wyjść zamierzała.

Wójt cenił ją, kochał, dogadzał we wszystkim i niczego nie skąpił.

Tym większą była rozpacz jego w tej chwili.

— Źle się dzieje! — powtórzył wójt. — Nie jestem ja, widać, ani wójtem, ani mężem twoim, jeno osłem i dudkiem w jednej osobie, która nie tylko głowę, lecz i kozuch zgubiła, żeby ludziom, po drodze spotkanym, swą nikczemność i hańbę odsłonić!

Wójt spuścił głowę i rozwiódł dłonie dla okazania swej niemocy, która przekroczyła w nim wszelką możliwą granicę.

Uroda, Kobieta, Pozycja społeczna, Wstyd, Flirt

Miłość, Małżeństwo, Zdrada, Czary, Grzech

Wójtowa spłoszyła się i skupiwszy ramiona, przywarła dłoń do piersi, żywszą falą marszczącą luźną osłonę stanika.

— Mów! — szepnęła, nastawiając nań oczy czarne i uważne.

— Zakochałem się i kwita! — wyznał nagle wójt i złękniiony własnym wyznaniem próbował się uśmiechnąć, lecz uśmiech w pół drogi skamieniał, pozostawiając jeno po sobie wpółrozwartą gębę, która zdawała się dławić wyrzeczonymi przed chwilą słowami.

— W Bartłomiejowej? — spytała z niedowierzaniem wójtowa i krzywiąc usta, zamilkła.

— Ano, w Bartłomiejowej — potwierdził wójt i spuściwszy oczy, głową smętnie pokiwał.

Wójtowa zaśmiała się cicho, podbiegła do męża i drobnym a ciepłym pantofelkiem nastąpiwszy na but zimny i szeroki, wspięła się ku niemu, splecionymi palcami uczepiła się za ramię i na tych palcach złożywszy biały podbródek, szepnęła:

— Nie wierzę.

— I ja nie wierzę! — odparł wójt. — Nie wierzę, a jednak wiem na pewno, że jest tak, a nie inaczej.

— Nie wierzę! — powtórzyła wójtowa, cofając się o krok od wójta. — Co innego się stało, a co innego mówisz.

— Nie co innego, ale to samo właśnie, co mówię, bom doznał tego jak choroby — odrzekł wójt i pięścią po głowie się uderzył.

— Taka stara... — zauważyła wójtowa.

— Nie taka ona jeszcze stara, jak się z daleka wydaje — wtrącił wójt niechcący i z przerażeniem wytrzeszczył oczy na żonę.

Wójtowa nie była tak zaniepokojona, jak się tego wójt obawiał.

Zadumała się tylko i po chwili rzekła:

— Otumaniała cię wiedźma czarami.

— Otumaniała! — pochwyił wójt z rozpaczą i wzdrygnął się na myśl o tym, że stał się bezbronnym miejscem nie znanych mu praktyk wstrętnej wiedźmy.

— Co robić? — szepnęła bezradnie i nie patrząc na żonę opowiedział wszystko, co się z nim stało.

Zawstydzila się wójtowa, słuchając opowiadania, ale, zbyt pewna swej przewagi niewieściej nad starczymi pokusami chytrej wiedźmy, zachowała ów miękki i ciepły spokój, który zawsze i duszę jej, i ciało wypełniał i, jak balsam wonny, udzielał się wójtowi, ilekroć ten ostatni, wracając do chałupy, wstępował z nawykiem w zakłócony chwilowo sprawami publicznymi nurt małżeńskiego pożycia, pełnego dostatniej ciszy i zadomowienia.

Dosłuchawszy cierpliwie do końca niedołącznych i zawyłych wynurzeń męża, wójtowa wydała westchnienie, łatwo i bez żadnego szmeru z piersi młodej i gładkiej dobyte, które wójt lubił właśnie za tę jego łatwość i bezszmerność.

— Stało się! — rzekł wójt, na zakończenie bijąc się w piersi w tragicznym poczuciu bezpowrotnie popełnionego grzechu. — Dowiedzą się ludzie i może nawet wójtostwa mnie pozbawią. Jakże ja im teraz w oczy spojrzę? Ani prawa nie mam, ani chęci, ani śmiałości!

— Znajdziemy jeszcze i prawo, i chęć, i śmiałość — pocieszyła go w liczbie mnogiej wójtowa, pokładając nieokreślone jakieś a nieustanne nadzieje we własnym wdzięku i uroku. — A w moje oczy zawsze ci spojrzeć wolno. To jedno mi się tylko nie podobało, żeś z babą tańczył tak długo. Czyś nie mógł ani jej, ani sobie w tańcu odmówić?

— Bóg widzi — nie mogłem! — ryknął wójt niemal z płaczem w głosie i niezgrabnym od wstydu ruchem drżącej dłoni wskazał nogi własne, jakby na dowód, że ich to miejscowa i osobista wina, za którą w tej chwili przynajmniej odpowiadać nie może.

Wójtowa ze wszystkich przywar płci brzydkiej najgłębiej i najtkliwiej odczuwała bezradność męską, której dotąd wszakże nie mogła mężowi zarzucić, a którą teraz właśnie z biciem serca stwierdziła i lepiej, niżli on sam, zrozumiała.

— Trudno! — rzekła. — Musowi w poprzek nie staniesz i przetańczonego tańca cofnąć nie potrafisz. Nie kłopotz głowy tym, co się już nie odstanie. Rzuciła wiedźma czary na słabość twoją męską, bo i z czegoż miała, jak nie ze słabości owej, korzystać? Trzeba teraz pomyśleć o tym, jak urok wiedźmy odczynić, aby szczęściu naszemu nie bruździł. Noc prześpimy, jakby nic się nie stało, a nazajutrz do Jędrzejowej pójdziemy, bo ona

zna się na tym i zaradzi. Nieraz się jej zdarzało i uroki odczyniać, i choroby zawiązywać, i zmory wszelkie odpędzać. I nam ona z pewnością w kłopotcie naszym pomoże.

— Pomoże, powiadasz? — przepytał wójt ze źle ukrytym niedowierzaniem.

— Byleby się jutra jako tako doczekać — odrzekła wójtowa, wyglądając stanik na piersi, i udała się do izby przyległej.

Wójt za nią posłusznie podążył.

Noc minęła szczęśliwie, bez żadnych przygód, a chrapanie znużonego tańcem wójta, rozzwaniając jakąś źle w ramach umocowaną szybę, było niezbitym dowodem tego, iż wójt wypoczywa i nowych sił przed jutrem niepewnym nabiera.

Nazajutrz na doświtku wójt, jeszcze od snu się smakowicie odsapując, po krótkim porozumieniu się z żoną wychynął lekliwie z wnętrza ciepłej chałupy na mróz poranny i unikając oczu ludzkich, cichaczem przedostał się na pole, aby kozuch odzyskać.

Z odzyskanym kozuchem i z pewną ulgą w sercu do domu powrócił i skoro świt się na niebie rozetlił, wraz z żoną do Jędrzejowej pośpieszył.

Jędrzejowa na samym niemal skraju wsi mieszkała, w pobliżu cmentarza, w tej części, gdzie się chaty przeredzały, jakby rozstępując się i dając drogę drzewom i polom.

Słońce tam szerzej i swobodniej rozrzuciło swe olśnienia po niewzbronnie białym śniegu, na którego błyskotliwej płaszczyźnie jeno tu i owdzie dorywcze ślady zawieruszonej stopy ludzkiej błękitniały w swym pogłębieniu cienistym, niby puste puzdra.

Wójt i wójtowa chyłkiem do szczupłego wnętrza chałupy wnikli i powitali Jędrzejową, która, siedząc na okrytym chustą kufrze, kołysała na kolanach dziecko roczne i nuciła mu do snu bez słów, zadumając słowa dla siebie już, a nie dla niego zastępując.

Wdową była od dawna, a dziecko rok temu jej przybyło, lecz tak się jakoś stało, że ludzie, widząc ją zawsze samotną i nie mogąc ani też nie chcąc z nikim jej w myśli stowarzyszać, bezwiednie przyswajali to dziecko nieboszczykowi Jędrzejowi, nie mówiąc zresztą o tym pomiędzy sobą i jeno milczeniem w chwilach stosownych szacunek swój zaznaczając.

Szanowano ją bowiem powszechnie za to, że umiała każdemu dobre a niezbędne słowo powiedzieć.

Jędrzejowa na wiosnę z listków róży, wraz z białkiem w mózdzierzu utłuczonych, sporządzała krzyżyki wonne, serca i paciorki, które już to na jarmarku, już to na dziedzińcu kościelnym sprzedawała.

To był jej jedyny zarobek.

Nie znać po niej było ani biedy, ani niedostatku, bo łagodnością i ciszą, niby skrzydłami gołębimi, i biedę, i niedostatek przesłaniała.

A zresztą nikt jej nigdy o bóle osobiste nie pytał, a każdy szedł po leki na cierpienia własne i zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że Jędrzejowa też pociechy wymaga, chociaż jej znikąd zaczerpnąć nie może.

Trzeba jej przyznać, że nigdy nie płakała i nigdy o własnych smutkach nie mówiła, jeno zawsze o cudzych, czy to poradę dając, czy to kojąc, czy też wreszcie tłumacząc tych smutków niezbędność i znaczenie ukryte.

Mówiła dużo, płynnie, głosem śpiewnym, gruchliwym i o wiele młodszym od twarzy, nie tyle wiekiem, ile nieznaną a przedawnioną troską z lekka napiętowanej.

Najczęściej ręce na kolanach spletała i głowę ku kolanom chyląc, a źrenice błękitne jakby raz na zawsze rozszerzając, mówiła o tych smutkach cudzych długo, śpiewnie, serdecznie i niby z pamięci, co tym większą budziło w słuchaczach ufność, gdyż znała te smutki dokładnie i dbała jeno o to, czy przyjęte zostały ze czcią należytą i czy ich przebieg prawidłowy nie trafił na jakąś przeszkodę postronną a zbyteczną.

I nie tylko w treści jej słów, ale w samej ich śpiewności bezsłownej brzmiała pociecha niepojęta, którą można było, jak melodię, zapamiętać i nauczyć się w myśli, potem na osobności powtórzyć i raz jeszcze wysłuchać od początku do końca, słowami żadnymi tej melodii nie obciążając.

I gdyby słuchacze, którzy w danym razie naprawdę byli *słuchaczami*, umieli swe uczucia określić, z pewnością by powiedzieli, że znają Jędrzejową ze słyszenia tylko i nie posądzają jej o troski osobiste dlatego, że po głosie jeno rozróżniając ją na świecie, nie przypisują głosowi cierpień, z ciałem doczesnym związanych.

Wdowa, Mądrość

Dziecko

Współczucie

Ładna była, śpiewna, rozmowna, a włos jej bladozłoty połyskiwał tak nieśmiało, jakby zawsze z daleka widziany i niczyją dłonią nie tknięty.

Ujrawszy gości, powstała z kufra i układając dziecko na łóżku, głowę ku nim w pół odwróciła.

— Złego wam się co stało? — rzekła ze współczuciem, złościąc w pościeli odpowiednią wnękę, aby w niej dziecko wygodniej umieścić.

— Tak! — odpowiedziała wójtowa, spuszczać oczy. — Nie wiem, czyśmy na to złe zasłużyli, ale nawiedziło nas i już od wczoraj spokój domowy zakłóca.

— Zakłóca i hańbi! — dodał wójt z machinalnym niemal, a niemniej przeto tragicznym naciskiem na ostatnim słowie.

Jędrzejowa z powrotem na kufrze usiadła i usta, od nucenia zwilgotniałe, dwoma palcami otarła zrzęcznie.

— Powiadajcie wszystko, a zaraz nam się trojgu różniej na duszy zrobi — rzekła, wgarnięciem ramion przyspasabiając się do uważnego słuchania.

Zaczął wójt i zaczęła wójtowa, której wójt wkrótce pierwszeństwa w opowiadaniu ustąpił, nie mogąc ani w wymowie sprostać, ani dostatecznie w gmatwaninie wypadków ubiegłej nocy się połapać, aby im układ nadać odpowiedni.

Okazało się bowiem, że wójt, choć i bohater główny, i niejako winowajca, gadał jak człowiek źle powiadomiony, zaś wójtowa mówiła źródłowo, jak świadek naoczny, i przytaczała częstokroć tak drobiazgowo i poufne szczegóły, że wójt jeno uszu z przerażeniem nastawiał i gubiąc wątek opowiadania, z trudnością mógł się tego lub owego szczegółu we wspomnieniach własnych ze wstydem dogrzebać.

Wydało mu się nawet, że jest postronnym i od toczącej się sprawy dalekim rodzajem martwego słupca, na którym jeno od parady sterczy tablica z napisem: Wójt, a pod nią zupełna nieobecność wzmiankowanego w nagłówku człowieka.

Toteż, doczekawszy się wreszcie końca opowiadania, uczuł względną ulgę, jakby mu kto flaki, z kałduna wyprute, wtłoczył z powrotem i powiedział: „zrachowane!” — albo i nic nie powiedział.

Nie spodziewał się nawet po swej małżonce takiego wielomówstwa, ale, widząc, małżonka, przemilczawszy wczoraj zbyt wiele zarzutów i żalów, pofolgowała dzisiaj swej niedoli niewieściej, tym bardziej że nie chciała Jędrzejowej żadnych wiadomości poskąpić, aby dać jej najcałkowitsze i najszersze pole do wniosków i rozmyślań.

A miała przy tym wójtowa z natury jej daną i wdzięku pełną wbronność, że się nigdy przed mężem na niego samego nie skarżyła, aby urody swojej dokuczliwością nie splamić i nie pokrzywdzić.

Wolała w ciszy, sam na sam ze sobą żale własne rozważać i spowiadać.

W tej chwili wszakże wspomniana cisza byłaby zgola nie na miejscu, zaś żale, do trzeciej osoby zwrócone i w karby szczegółowego opowiadania skwapliwie ujęte, nie uwłaczały bynajmniej urodzie wójtowej i nie mogły wójta do tej urody nasrożyć.

— Oto i cała bieda, która nam się stała — rzekła, przytakując głową skończonemu opowiadaniu. — Chcielibyśmy tę biedę naprawić i miłością wzajemną w dwójnasób powetować.

— I hańby się pozbyć zawczasu — dodał wójt, aby całość zaokrąglić i ze względu na odczuwaną potrzebę udziału osobę swoją, dotąd pominiętą, do rozmowy jako tako wściubić.

Jędrzejowa, dumając, wygładziła dłonią spódnicę na kolanach, jakby wraz z tym ruchem myśli swoje uporządkować chciała.

Uporządkowała je zapewne i obchwyciwszy te kolana splecionymi, na kształt chrustu w płocie, palcami, zwęziła się w ramionach, niby malejąc w czyimś uścisku i objęciu.

Ktokolwiek by na nią spojrzal teraz uważnie, domyśliłby się, że i kochać umie, i kochaną być by potrafiła.

I kto wie, czy nie ta właśnie zatajona w jej duszy i ciele, a nigdy nie wyszeptana prośba o miłość pociągała ku niej ludzi, którzy bezwiednie spełniali tę prośbę, odwzajemniając się czcią i zasluchaniem.

— To pewna, że ci Bartłomiejowa lubczyku albo duryju zadała — rzekła w zadumie, pomiędzy słowami śpiewnie wezbranej. — A może grabkami zjedzonego przez mrówki nietoperza dotknęła cię po kryjomu, aby ku sobie zniewolić. Bo kto kocha, ten po

Żona, Małżeństwo, Mąż

Uroda

Miłość, Wdowa

Czary, Grzech,
Przebaczenie, Wina

kryjomu działa, bojąc się, że mus do kochania zawsze jest od samego kochania lichszy i grzesniejszy. Ale ty się zniewolenia tego nie lękaj i nie brzydź, bo jest ono takie same, jak wszelka inna niedola na świecie, i tyleż w nim winy, ile w każdym smutku, z którym nieraz i do kościoła wejdiesz, aby ten smutek zziębły i zaniedbany ogrzać w słońcu żarliwym, co od szyb ku podłodze kamiennej swe rozpostarcie ukośne rzuca i po drodze kęs ambony zmroczniałej złotym trójkątem, jak Opatrznością Bożą, rozwidnia. Człowiek grzeszy, a Bóg rozgrzesza. I nie wiadomo, co w niebiosach lubczyk, a co duryj oznacza, i jak Bóg pogląda na duszę ziołami tymi opętana. Nie zapomniałeś pacierza?

— Nie zapomniałem — rzekł wójt głosem donośnym i uczuł dreszcz wstępu na myśl o tym, że zioła nikczemne krążą dowolnie w jego żyłach, niby w naczyniu zawiłym i bez wyjścia.

— Wczoraj przed snem pacierz głośno odmawiał, a ja słuchałam, modląc się za niego — dorzuciła wójtowa, z lekka oczy czarne ku niebu wznosząc.

Jędrzejowa westchnęła, jakby to westchnienie dla własnego a nie znanego nikomu użytku z piersi mimochodem dobyła.

— Naumiałam ja się wszelkiej niedoli ludzkiej — rzekła znowu, kołysząc się w rytm zadumy. — Nauczyłam się smutków cudzych, tak że się ich teraz oduczyc nie mogę ani od swoich rozpoznać. Bo są one jak rodzina, z samych siostr i braci złożona. Szkoda bratu siostrę utracić, a siostrze — brata się pozbywać. Pusto by mi bez nich było na tym świecie, jakby ktoś las wyrąbał albo wiosła na samym środku pola porzucił... Dręczy cię twój smutek i marnuje, ale i ty go pewno marnujesz i udręczasz?

— Udręczam — powiedział wójt po jakimś namyśle.

— I marnujesz? — dopytywała się Jędrzejowa.

— I marnuję — zgodził się wójt i potarł dłonią czoło, jakby miał spocone.

— Pozwól mu dokonać się w sobie i odejść — rzekła Jędrzejowa, i wójt teraz dopiero, sam nie wiedząc czemu, zauważył, że włosy ma złote i takie właśnie, jakie mieć powinna. — Pozwól mu odejść według jego własnych obyczajów, bo co przychodzi, to ma i odejście swoje. Nieraz ja widywałam konających i to świata zaludnionego odejście od nich, tak wielkie odejście, że aż się w głowie kołuje od nieznannej samotności. Tej samotności już kilka razy napierała się Bartłomiejowa, ale jej dostać nie mogła. Sądono jej umrzeć w tych czasach, ale się te czasy z jej duszą grzeszną rozmijają, bo żadna wiedźma skonać nie może dopóty, dopóki wiedzy swojej komukolwiek nie odda. Była ona i u mnie, prosząc, abym jej wiedzę przyjęła, ale nie chciałam, bo i własnej mam dosyć, i nie mogę głowy odrywać od tego, do czego się teraz z zamkniętymi oczyma przywarła.

Dziecko na łóżku leżące zakrzętało się z lekka i nacichło.

Jędrzejowa uśmiechnęła się, dając znać tym uśmiechem, że nacichło, i mówiła dalej:

— Wiedźma ona — to prawda, ale nacierpiała się wiele i od ludzi, i od siebie samej. Wiedźmą została dlatego, aby siebie za jakąś zbrodnię pokarać i na katusze piekielne skazać, bo kary ludzkiej uniknęła, pogardę mając dla niej i niechęć... Ludziom i Bogu na stronę uszła, ku złemu dłonie po ratunek błędny wyciągając. Zamiast skruchy — karę wolała dla siebie zgotować. I zgotowała. Żał mi jej, bo może lepsza w duszy od siebie samej i może, nie wiedząc nawet o tym, karę już w sobie odbyła. A jeśli i nie odbyła jeszcze — żał mi jej, że skonać nie może, jak ten żebrak, co dłonią niecałą jałmużny na ziemię rzuconej dostać nie potrafi. Już kilka razy nadaremnie konała, a wiadomo, jak taka nadaremność męczy. Raz nawet prosiła, abym konaniu jej obecnością swoją ulżyła. Czego tylko nie robiłam, aby jej trudności konania ułatwić! I tę trudność zamawiałam, i ściel¹³⁵ na jej głowę zrywałam, lecz nic nie pomogło! Wybiła się ze snu wiekuistego i do życia, jak do zdruzgotanego samotrzasku, wróciła. A dopóki ona nie umrze, dopóty i czary jej z ciebie nie opadną, bo znam ją i wiem, że w miłości nieustepliwa, nieugięta i dozgonna. Zarówno człowieka, jak szatana pokocha, byle tylko kochać i od kochania szaleć po wiedźmowemu.

Wójt, słysząc te słowa, spojrział na żonę i kąty ust ku dołowi osunął.

— Jezu Chryste! — szepnęła wójtowa i odwróciwszy twarz, złapała się oburącz za głowę.

Smutek, Cierpienie,
Mądrość

Czarownica, Czary, Kara,
Pokuta, Śmierć, Grzech

¹³⁵ściel (daw., gw.) — sufit.

— Nieporęcznie mi jakoś z tą miłością — zauważył wójt, zwracając się do Jędrzejowej. — I urząd mi na to nie pozwala, i żona moja ani życzy sobie tego, ani chce zbytnio przedłużać...

— A ty żonę namów, aby wiedzę od Bartłomiejowej przejęła — poradziła nagle Jędrzejowa. — I wiedźmie w skonaniu ulżysz, i czarów się natychmiast pozbędziesz.

Wójt gębę, a wójtowa oczy rozwarła.

Stali tak przez chwilę, bojąc się ruchem najmniejszym zdradzić przed sobą nawzajem uczucia, poradą Jędrzejowej wywołane.

Ukrywał je wójt przed wójtową, a wójtowa przed wójtem.

— Nie uchylajcie się przed czynem dobrym — mówiła tymczasem Jędrzejowa — i nie bójcie się wiedźmy, gdy już do świata należeć przestaje. Trzeba jej dopomóc w chwili, gdy nikt jej pomocy dać nie chce. Trudna to praca — konanie, bo i na śmierć zapracować trzeba, jak na tę chatę pustą, zanim się ją przy drodze postawi, aby w niej potem zamieszkać. Po śmierci dopiero przychodzi to, co się bez pracy dostaje, a niewiele tego jest, jak wszelkiego zbytku na świecie. Chce się wiedźmie tego zbytku, więc go jej nie poskąpcie...

Wójt przyszedł już do siebie — i posmutniał, a wójtowa też przyszła do siebie — i poweselała.

— Jakże ja tę wiedzę przejmę? — rzekła, przekomarzając się nagle i wstydliwie spozierając naokół, jakby w izbie po kątach pełno było ciekawych zalotników. — Jeszcze — nie daj Boże! — w wiedźmę się przeinaczę i ludzi będę straszyla, albo sama się owej wiedzy nastraszę i po świecie będę chodziła nastraszona i taka płochliwa, jak ten zając w zbożu!

— Niekoniecznie... — zaczęła Jędrzejowa, lecz wójtowa przerwała jej z pośpiechem.

— Albo może — zawołała, ukradkiem na wójta poglądając — albo może będą mi się takie sny okropne śniły, że co chwila będę męża budziła i niepokoila.

— Ty słuchaj, co Jędrzejowa mówi — przerwał wójt i żonę dłonią z lekka ku Jędrzejowej przysunął.

— Niekoniecznie — domawiała Jędrzejowa — wiedźmą zostać musisz. Przejmiesz wiedzę dla dobrego czynu, więc i korzystać z niej nie będziesz, a potem przy pracy koło domu zapomnisz, czegoś się nauczyła, i do dawnego stanu powrócisz.

Nastała chwila kłopotliwego dla wójta milczenia, którego nikt jakoś nie przerywał, tak że wójt postanowił osobiście to milczenie przerwać.

— No więc jakże? — rzekł głosem niepewnym, nie zwracając się wyraźnie do nikogo i ciężkim westchnieniem pytanie owo samemu sobie jakby utrudniając.

— Albo ja wiem — odparła wójtowa, krzywiąc niechętnie usta i wzruszając ramionami, i natychmiast dodała: — Nie wiem nawet, którego dnia mam to uczynić i czy nie można by było obejść się jakoś bez tego i innym środkiem zadane czary poniszczyć?

— Nie można by innym środkiem, hę? — zwrócił się poufnie wójt do Jędrzejowej.

— Nie można! — odparła Jędrzejowa wzdychając. — Pojutrze, w piątek, znowu jej godzina konania wypada. Nagódźcie się do mnie wieczorem i razem do Bartłomiejowej pójdziemy.

Znowu nastąpiła chwila milczenia.

Wójt, wyczekując postanowienia żony, spojrział pytająco na okno.

— To już chyba pójdziemy razem, albo co? — rzekła wójtowa, przewlekając wyrazy, aby tą przewłoką osłonić ciekawość, która się w niej niecierpliwiła.

— A to już chyba pójdziemy — oświadczył wójt, zwracając się do Jędrzejowej i nadając swym słowom zapobiegliwie pożyczonej od małżonki niepewności tonu, aby ich zbytnio nie wyodrębnić i zadośćuczynić przy tym osobliwemu wężowi człowieka żonatego...

— W piątek wieczorem — przypomniała Jędrzejowa.

— Ano, jeśli, to tylko w piątek — odrzekł wójt na odchodne i co prędzej żonę przyjaznym poparciem mężowskiej dłoni z chaty na powietrze mroźne wynurzył.

Zapewne — jeśli nie lubczyk, to duryj udzielił jasnemu skądinąd umysłowi wójta odpowiedniego przyćmienia, a może i rodzaju cichego obłądu w chwili, gdy do czynu niebezpiecznego żonę trafny przemilczeniem pociągał. A może chciał się po prostu za wszelką cenę życia pozbyć nieodpartego wpływu ziół szkodliwych, które go do schadzki z wiedźmą zniewalały. Przewidywał bowiem rozpaczliwą resztką zachowanego na wszelki

Mąż, Żona, Wiedza, Czary

Opieka, Śmierć

Czarownica, Wiedza

Mąż

Urzędnik

przypadek rozumu, że te jego wybryki i uskoki od obowiązku i służby nie ujdą w końcu opatrnościowego oka władzy odnośnej. A wiedział, że władza owa o żadne lubczyki i duryje nie pyta, jeno ich skutki występne, jako stronę faktyczną, bierze ściśle pod uwagę i na mocy tych faktów niezbitych wszystko niezbędne rozstrzyga. Wolałby swoją i żoniną duszę byle jakiemu diabłu zaprzedać, niżli własnowolnie stać się przedmiotem tej ścisłej uwagi i narazić się na wspomniane rozstrzygnięcie.

Toteż czuł w głębi duszy nie tylko w swoim imieniu, ale i w imieniu władzy odnośnej wdzięczność dla małżonki za to, że za przyczyną babskich a niezrozumiałych dlań przelewów i namysłów dała się wreszcie namówić na ów czyn poratunkowy.

Starał się nawet nie zastanawiać nad powodem, który ją do tego skłonił, a który przyrównał w duszy do wstrętnej driakwi¹³⁶, co to nią trzeba częstokroć pysk niechętny wysmarować, aby się jeszcze wstrętniejszego wrzodu pozbyć.

Przed piątkiem wójtostwo sprawy nieco drażliwej zgoła nie poruszali, a i w piątek mówili o wszystkim, jeno nie o tym, co im na sercu leżało.

Wójtowa na jakieś ciągoty w ramionach narzekała, a wójt z kolei na też same ciągoty pod łopatką się uskarżał.

Wójtowa często przez okno bez żadnej przyczyny wyglądała, a gdy odeszła, podchodził z kolei wójt i też wyglądał, jakby chciał to samo, co żona, koniecznie zobaczyć.

Wieczorem dopiero wójtowa przemilczaną sprawę, strojąc się do wyjścia, nagle poruszyła.

— Straszno mi trochę... — rzekła, pociągając męża za rękaw.

— Czemu straszno? — odpowiedział wójt, odymając usta z rodzajem wzgardliwego parsknięcia. — Nasza chata z kraju. Wiedźma — sobie, a my — sobie. Ona do nas z czarami, a my do niej — z dobrym czynem.

— Żał mi tych ludzi, których, niechcący, ulicą przechodząc, ni stąd, ni zowąd oczarować mogę — szepnęła wójtowa i, spuszcżając oczy, spódnicę przywdzianą tak ponętnie ściągnęła, że wójt spojrział na tę spódnicę i półgębkiem przymarszczył tak, niby doń lulkę¹³⁷ wtykał, a jednocześnie i półokiem żoniną twarz pozbadał.

— Któż ci każe z czarów korzystać? — rzekł głosem niepewnym. — Nie po to do więdzmy idziemy, aby się czarów nauczyć, jeno po to, aby się ich pozbyć.

— Pewnie, że po to idziemy, aby się ich pozbyć — pochwyliła, nieco błędna, wójtowa. — Ale boję się, że będę w sobie samą możność czarowania, jak tę chorobę ukrytą, nosiła. Korzystać z niej nie będę, a nosić — będę. Gdziekolwiek pójdę — tam i poniosę. Pomodłę się, przeżegnam się — i poniosę. Poniosę i znowu się pomodłę...

Wójtowa, mówiąc te wyrazy, zbladła nagle do reszty. Oczy jej przymgliły się, a wargi — rozchyliły, jak od nagłego pocałunku. Dotknęła dłonią tych warg i zatrzymała ją przy nich.

I gdy wójt, sam nie wiedząc czemu, chciał tę dłoń u warg zastyglą ująć, wójtowa przeżegnała się nagle tą dłonią i stanik na piersi zapięła.

— Płochliwa ty jesteś i do siebie teraz niepodobna — zauważył, nie mogąc się połapać w uczuciach, które żonę jego trawiły. — Możliwością czarowania gryziesz się zawczasu. Ot, co ci powiem: noś w sobie tę możność dopóty, dopóki ci nie obrzydnie. A ja jeno nadzieję całą będę tymczasem w twej kurzej pamięci pokładał. Zanim zdążysz wiedzę obmierzłą osiąść, już sama z głowy twej babskiej, jak ta wódka na mrozie, wywietrzeje. A tak — i wilk będzie syty, i owca cała.

Wymawiając słowo „wilk”, wójt władzę odnośną w całej okazałości sobie przypomniał, a przy słowie „owca” — żonę po głowie jej babskiej pogłaskał zachęcająco.

— I sama wiem o tym, że mi to z głowy wywietrzeje. Wiem o tym, ale ukoić się nie mogę, bo mi tych ludzi żał, co ich na ulicy spotkam, tych ludzi mi żal i żal! — zawołała wójtowa i załamawszy dłonie, rozplakała się nagle jakimś długo tajonym, a spodziewanym od dawna dla oczu własnych płaczem.

¹³⁶driakiew (daw., z gr. *thēriakē*: odtrutka przeciw ukąszeniu) — lek na wszelkie choroby, zawierający wiele różnych składników.

¹³⁷lulka (daw., z ros.) — fajka.

Niepokój, Strach

Czary, Erotyzm

Pamięć, Wiedza

Łzy

Wójt uspokajał ją, jak umiał, słowa pociechy przeplatając gęsto wspomnieniem zwierchności, aby w ten sposób żonę rozplakaną tym pewniej ugłaskać i złagodzić.

Nic jednak nie pomagało. Płacz wójtowej wzrastał żałośnie z każdym słowem, które wójt z duszy dla niej ku pociesze, jako niespodziankę trafną, wygarniał.

Wszakże w chwili, gdy wójt w poczuciu bezsilności stracił już wszelką nadzieję na ucieszenie coraz głośniejszą zawodzącej małżonki, ta ostatnia sama nagle nacichła i stanik, dygotem płaczu przymięty, czujnym dotykiem dłoni odprasowała.

Skończyła — pomyślał wójt i uczył, że wywołany żoninym płaczem smutek i w nim się jednocześnie z jej ucieszeniem skończył.

Wójtowa podniosła ku niemu szeroko rozwarte i od płaczu jeszcze połyskliwe oczy.

— A może w ten właśnie sposób więdźmy na świecie się mnożą? — spytała trwożnie głosem od łez zachłyśniętym.

— W inny one sposób się mnożą! — odparł wójt i machnął dłonią dla okazania pogardy owemu sposobowi.

— Nic mi z tego więdźma nie zrobi? — spytała jeszcze na wszelki przypadek wójtowa.

— Co tam jej na tobie zależy! — pocieszał ją wójt, jak znawca i bywalec, który, osobiście pokosztowawszy zakazanego owocu, durnemu młodzikowi płonnych obaw oszczędza i ujmuje.

— A kochasz ją jeszcze? — szepnęła wójtowa.

— Już nam i w drogę pora — odrzekł wójt wymijająco.

Wójtowa ubrała się strojnziej niż na co dzień, i bicze koralu, których dobraną a gładką czerwienią szyję białą wzgórzyscie przesłoniła, aż podzwaniały zgłębliwie przy każdym jej stąpieniu.

Nadała przy tym swej twarzy wyraz tak dziwny i uroczy, że wójt co chwila się jej przyglądał, aby stwierdzić, czy poniechała już tego wyrazu.

Wójtowa wszakże poniechać go jakoś nie zamierzała.

Przy pierwszych gwiazdach zbliżyli się oboje do chaty Jędrzejowej, która już na nich w progu czekała.

— Śpieszmy się! — szepnęła i owinąwszy się w chustę, wyprzedziła ich, aby drogę do mieszkania więdźmy wskazywać.

Więdźma mieszkała daleko, za wsią, na skraju lasu, w lepiance.

Las nagi i ośnieżony bielił się i połyskiwał gromadami drobiazgowo skrzącego się szronu, a lepianka więdźmy, od śniegu garbata, przez zygzakowate szczeliny szerniałych i popękanych w rozmaitych kierunkach drzewiczek tliła się światłem, które w tych samych kierunkach snuło swe nici złote, a czasem samotnie czerwonym paciorem migotało w przyćmieniu szpary drzewnej.

Jędrzejowa drzewiczki rozwarła i weszła do wnętrza, zniżwszy się tak, jakby do kurnika wchodziła.

Wójt i wójtowa w ślad za nią weszli w milczeniu.

Wnętrze lepianki bogatsze się o wiele okazało niżli jej pozór zewnętrzny.

Na ścianie, drzwicom przeciwstawnej, wisiał dywan misternie pstrokaty, jako te strojne klomby widzianych przelotem, a sztachetami w migotliwe pasy pociętych dla oka ogrodów.

Pod nim leżała właśnie więdźma na tapczanie, okrytym chustką turecką w zawile wzory, podobne do złotych, a stokroć ze sobą pogmatwanych ósemek, które tłem amarantowym nieustannie przeświecając, zdawały się to ogasać i nikać, to odzłacać się na nowo i obecność swą niepochwytłą po dawnemu oczom narzucać.

W nogach więdźmy poruszył się kot czarny, zwinięty w kłębek i nieruchomy, niby mufka, w której w miejscu niespodzianym jarzyły się dwa płaskie szmaragdy, mieniać się od czasu do czasu w teże wielkości szlifujące się na oślep rubiny.

Łopaty, której wójt ukradkiem poszukiwał, nie było nigdzie.

Natomiast w jednym z zakątków smuklił się świecznik kilkoramienny, którego najężone w jednym kierunku płomyki, wydzielając duszny i drętwy zapach sztywnego wosku, ślepiły się w przejrzystych, jak znaki wodne, kołach bramującego je strumieniście powie-

Dom

trza i czasem nieruchomiały, haftując i stebnując¹³⁸ swe złote ulistwienie na tle ściany, czarną oponą¹³⁹ obciągniętej.

W drugim kącie stał wysoki, na kształt pnia, i skórą cielęcą obity kufer gdański, do połowy przesłonięty serwetą, nierozwikłanie kwiecistą i wizerunkami niewiadomych kształtów zwierzęcych, jak śpichrz przedpotopowy, przeładowaną.

Na tym kufrze odbrzaskiem przeciwległego świecznika, niby okuciem doraźnym, polyskiwały kanty hebanowych szkatuł, poustawianych w bezładzie, brużdżącym twar demu ograniczeniu ich kwadratowych powierzchni.

Nad kufrem tkwiło, dłużąc się ku niskiemu pułapowi, zwierciadło wąskie i strzeliste, w którym przygodny pocisk światła zawisnął luzem, niby strzęp złoty, w próżni, poza nim ukrytej, zawieruszony i tyleż samemu zwierciadłu, co i owej próżni przynależny.

Wiedźma, zapewne mozołem przedzgonnym utrudzona, rozpostarła się bezsilnie wzdłuż tapczanu z palcami, na kształt szczypców pustych, sterczącymi ponad piersią, okrytą zielonym w czarne kwiaty łachmanem.

Zdawało się, iż ta zieleń i te kwiaty czarne osypały się z niej przed chwilą, niby z gałęzi potwornej, co — ogołocona — najeżyła teraz swą kościstą i sękowatą rosochę.

Twarz jej zmalala od męki i wklęśła, a znikliwie bielejąc na poduszce, uwypuklała się jeno chwilami, jak owe desenie sekretne, w ten sposób naszkicowane, że od jednej strony jawią się z wolna, a od drugiej giną z oczu pośpiesznie.

Śmierć ją tak dla siebie szkicowała, chcąc, widać, dokładnie nauczyć się kształtu tej twarzy, zanim ją na własność bezpożyteczną posiędzie¹⁴⁰.

Wójt spojrział w tę twarz i zdjął jednocześnie czapkę, niby ślepiec, na niewidziane o coś próbujący.

Wójtowa przyparła się plecami do najbliższej ściany i rzęsy oszronione palcami osmyknęła.

Wiedźma leżała bez ruchu. Może nie zauważyła wchodzących, a może sił jej zabrakło, aby uwagę jakąkolwiek okazać.

Jędrzejowa pośpiesznie zbliżyła się do niej.

— Przyszło? — spytała porozumiewawczo, chustę w obręb pod brodą ściślej zakładając.

Wiedźma w odpowiedzi palce skurczone rozpostarła, korzystając zapewne z byle jakich odruchów, których wysiłek rozmiął się z celem zamierzonym, a których niestosowność przykuwała uwagę obecnych.

— Przyszło — wyszeptala wreszcie, poruszając wargami częściej niżli słowa tego wymagały.

Oczy jej, niby obcęgami podważane, zakrzętnęły się w orbitach i, z kilkakrotnym przestankiem zdążając ku Jędrzejowej, zastygły na osiągniętym z trudem czatowisku.

— Nie podolasz konaniu? — spytała znów Jędrzejowa.

— Nie podolałam — odparła wiedźma głośnie i męka w jej nijakiej od bólu twarzy ożywiła się nagle i ucłowieczyła w swym bardziej określonym wyrazie.

— Wójtowa przyszła do ciebie — szepnęła Jędrzejowa. — Wiedzę twoją chce przejąć i mąk cię zbytecznych pozbawić.

Wiedźma oczy z miejsca, na którym zastygły, przeniosła dalej — ku wójtowej, która, wzrok ich na sobie poczuwszy, oddzieliła się od ściany i krok niepewny ku tym oczom na oślep zrobiła, jak zwierz, co z kryjówki wypłoszony, w stronę niebezpieczeństwa, jako najpierw postrzeżoną, zdąża.

Wstrząśnięte na jej szyi korale wydały dźwięk rozmaity, jak bulgotanie dalekiego strumienia.

— Idź i zbądź co prędzej kłopotu! — szepnął wójt i nogę, ku żonie dla szeptu przysuniętą, cofnął z powrotem.

— Zbęde — odrzekła wójtowa, rozszerzając nozdrza i kurczowo zaciskając pięście, ale się z miejsca nie poruszyła.

Wiedźma na wójta spojrzała.

Strach

Taniec

Śmierć, Miłość
niespełniona

¹³⁸stebnować — wyszywać.

¹³⁹opona (daw.) — zasłona, tkanina.

¹⁴⁰posiędzie — dziś popr.: posiadać.

— Przyszedłeś, sokoliku błędny? — rzekła, ocierając czoło dłonią kościstą, która przylgnąć do czoła nie mogła. — Za późno przychodzisz! Już nie mogę potańczyć z tobą po dawnemu, bo mnie śmierć za chwilę do tańca weźmie, jako ja ciebie brałam.

— A któż by tam w takiej chwili o tańcu myślał! — odparł wójt uprzejmie, aby mniemany kłopot wiedźmy usunąć.

— Nie do tańca on stworzony! — wtrąciła wójtowa głosem drżącym i od pośpiechu zdyszany.

— Do śmierci on stworzony, jeno lepiej do niej niżli ja dopasowany — odrzekła wiedźma.

— Nie turbuj się, nie turbuj! — pocieszyła ją Jędrzejowa. — I ty się do niej za małą chwilę dopasujesz.

— I do śmierci, i do miłości lepiej ode mnie dopasowany, bo to jedno z drugim w parze chodzi — ciągnęła wiedźma. — A ja i w jednym, i w drugim na jednaką trafiłam przeszkodę... Trudno mi było bez sposobów tajemnych miłości zdobywać i trudno mi bez pomocy postronnej skonać.

Wiedźma znowu spojrzała na wójtową.

— Postronna twoja pomoc, postronna! — rzekła, odgrając się nagłym błyskiem w oczach.

— Postronna, ale samochcąca — odparła wójtowa tak dumnie, że wójt się tą dumą niespodzianą nieokreślenie zatrwożył.

— Będzie mnie twój mąż kochał dopóty, dopóki tchu ostatniego w ten świat pozostały nie wyzionę! — szepnęła wiedźma. — A jak wyzionę, bierz go po mnie i czaruj!

— Nie po tobie, bo mój był pierwej niżli twój! — odrzekła wójtowa i szyję ku wiedźmie, jak zagniewany łabędź, wydłużyła.

— Twój było jeno po twojemu, a mój — po mojemu. Nie wiadomo, czyj bardziej, a czyj mniej! — odparła wiedźma i uśmiechem wykrzywiła wargi. — A nie lękasz się mojej wiedzy, łabędko przepiórczata?

Wójtowa męża ku wiedźmie drżącą dłonią popchnęła.

— Powiedz jej, że nie lękam się! — szepnęła gardłem zdławionym.

— Nie lęka się moja żona twojej wiedzy — powtórzył posłusznie wójt, który od pewnego czasu czuł się niby to cielę na targu, co samo nic nie czyniąc, zgiełk kupujących obecnością swoją wywołuje.

— Powiedz, że jej nie kochasz! — szepnęła wójtowa i z lękiem spojrzała na męża.

— Milcz! — zawołała wiedźma. — Milcz, bo tak w oczach twej żony spotworniej, że mnie śmierć żadna z tych oczu przyjąć nie zechce.

— To pewno, że już lepiej przemilczę — odpowiedział wójt i, westchnąwszy, pomyślał: Widać nie lubczyk, jeno sam duryj teraz się we mnie kotłuje.

— Nie krzywdź siebie i innych przed śmiercią! — rzekła napominawczo Jędrzejowa. — Przygotuj się do niej, bo i ona do ciebie chce się przygotować... Nie płosz jej słowami zuchwałymi, jeno powiedz teraz wszystko,

[Brak kilku kart rękopisu]

z koszykiem jagód nikczemnych... Nie chcę przebaczeniem Jego rany mojej wytrwałej lekować, bo ona jedna umie na ziemi matkę mi zastąpić... I zastępuje, bo bardzo z nią spokrewniona... A od ludzkiej kary usunęłam się, jako od strawy zbyt lichej, która męki mojej nasycić by nie zdołała, jeno by ranę moją, na nice odwróciwszy, odmieniła nie do poznania.

Wójtowa teraz dopiero dostrzegła w wiedźmie majestat tajemny, który dotąd uszedł uwagi jej czarnych a wylękłych oczu, a który obudził w niej niezrozumiałe dla niej samej obawy...

Cofnęła się ku mężowi i oczy spuściła.

— Kochasz ją jeszcze? — spytała szeptem ledwo pochwytym.

Wiedźma ten szept z ciszy jego własnej uchem czujnym wyłowiła.

— Milcz, jakom ci rzekła! — zawołała rozkazująco.

— Lubczyk... — zaczął wójt i zamilkł, folgując własnemu zakłopotaniu.

— Lubczyk mi na tamtym świecie zabraknie! — szepnęła wiedźma, na wójta pogładając, lecz głos jej urwał się i zapodział w wargach nagle znieruchomionych.

Zazdrość

Rana, Kara, Los,
Czarownica

Ręce jęły przebierać palcami, jakby pragnąc się ich dorachować lub stwierdzić ich znieczuloną obecność.

— Znów przyszło? — spytała Jędrzejowa.

Wiedźma kiwnęła głową na znak, że przyszło...

— Nie podołasz? — spytała znów Jędrzejowa.

— Nie podołam — odparła wiedźma.

Jędrzejowa spojrzała na wójtową i nic nie rzekła.

Wójtowa zrozumiała to spojrzenie i ze stanowczością niespodzianą zbliżyła się do wiedźmy.

Zdawało się, że nie było jej dotąd w izbie i że teraz dopiero zjawiała się — nagła i nieunikniona.

— Nie lękam się twej wiedzy! — szepnęła. — Mów, póki słucham jeszcze!

Wójt zauważył w niej teraz to samo przymglenie oczu i to samo ust rozchylenie, które już widział wówczas, gdy mu o możliwości czarowania bezładnie prawiała. Tym razem jednak w twarzy wójtowej grało coś jeszcze nieugiętego i surowego nawet, czego wójt określić ani rozpoznać nie umiał.

— Póki słucham jeszcze! — powtórzyła, przechylając się w kibici nad wiedźmą i porządkując zwisły u szyi koralami. Lecz jednocześnie z tym koralowym pobrzękiem zadzwoniła drobnymi zębami, niby na alarm niewiadomy a misterny, i wzrok na koralach własnych zatrzymała, jakby się stały dla niej obecnie jakąś strojną a jedyną ucieczką.

Wiedźma za te korale dłonią się uczepliła, aby sobie podpory jakiegokolwiek uzyskać, i zaczęła szeptać żarliwie i pośpiesznie słowa, nikomu prócz wójtowej niedostępne.

Wójtowa zadrżała, niby struna, po której smykami potwornym prowadzono bezkarne.

Wiedźma wrogo jej czyniła swe zwierzenia, i wrogo jej słuchała wójtowa, dreszczem co chwila wstrząsana, a dreszcz ten wiedźmie udzielał się odruchowo, jak podryg ukąszonego — przypiętemu doń wężowi.

Dwa nienawistne sobie ciała zetknęły się na niepochwytym pograniczu, a dwa nienawistne sobie oddechy zmieszały się nawzajem.

Wójt zaniepokoił się na swym miejscu, wyczekując niecierpliwie końca.

Czego się tylko dla zwierchności nie robi! — pomyślał, rozrzewniając się i rozgrzeszając tą myślą duszę skotlowaną. — A ona nie tylko nic nie wie o naszych ofiarach, lecz na domiar sam człek stara się o to, aby się czasami nie dowiedziała!

Upragniony przez wójta koniec nastął wreszcie, niby godzina, nie wiadomo — która...

Wiedźma wyszeptawszy się do woli, zamilkła i odpadła od wójtowej, jak pijawka, krwi zepsutej syta.

Wójtowa odskoczyła i tyłem, wzroku jeszcze od wiedźmy nie odrywając, przysunęła się do męża, jak do spodziewanego oparcia.

Uchem ku wiedźmie podana, zdawała się wciąż nasłuchiwać jej szeptu, niby turkotu kół dalekich, a potem — nagle w oczy wójtowi lęklawie i ciekawie zajrzała.

— To i już? — spytał wójt, skracając widocznie jakieś dłuższe, a obaw pełne pytanie.

— Już — odrzekła wójtowa niemal pieszczotliwie i dłonią z lekka ręki jego dotknęła, jakby pragnąc tę rękę kosmatą oswoić lub sprawdzić na niej tożsamość swego dotyku.

— Już! — ozwała się wiedźma. — Już ona teraz dziedzictwo moje w sobie nosi, jak ta ryba, co pierścień złoty połknęła. I jeno dusza młoda w nóżkach się jej białych niecierpliwi, ostatniego tchnienia mego wyczekując.

— Czas mam, więc czekać potrafie! — wycedziła wójtowa przez zęby, tak szczelnie zaciśnięte, jakby je na klucz rdzawy zamknąć chciała. — Czekam tak samo, jak i ty — nie inaczej. Obydwe czekamy.

— Obydwe — potwierdziła wiedźma.

Wójtowi w tej chwili właśnie zaroilo się we łbie mętne, a szalejące jeszcze, wspomnienie tańca z ciałem, które oto do konania się nagliło...

I w chwili, kiedy wójt natrętne wspomnienie taneczne bezwiednym ruchem rąk, jak zmrów, odtrącił, wyciągnęły się ku niemu łączywie dłonie wiedźmy i szperając w powietrzu, spotkały się i splotły z jego dłońmi, zanim cofnąć je zdążył.

— Wstać mi dopomóż! — szepnęła. — Ostatnia to postluga twoja, tancerzu zapóźniony!

Nauka, Wróg

Władza

Wójt pociągnął za rękę, jak za badyle chwastu spróchniałego.

Wiedźma zwlekła się z tapczana.

Usunął się wówczas od niej, jak od jaru, napotkanego w drodze. A ona pozostała chwilę, siły przedostatnie skrzętnie ciulając i ostatnią bezsenność rozniecając w sobie żarliwie.

Na jej zmurszałych od męki policzkach, niby na zgliszczach nie dogasłych, zażęgły się z wolna wypieki plamiste z odkreślonymi na nich zmarszczkami bezładnie pomiętej poduszki. Barwiła się raz jeszcze i trwała na skraju uchodzącego życia.

— Zapomniałam, zapomniałam! — szepnęła, wskazując zwierciadło. — Zajrzeć tam — przed śmiercią zapomniałam!

Uśmiechnęła się do własnej zapominawczości i krokiem za dużym, nie dostosowanym do odległości wskazanej mety, niby w daleką wybrawszy się wędrówkę, pobrnęła niedołącznie ku zwierciadłu.

Dowędrowała wreszcie i zajrzała w jego głębinę. Wypieki na jej policzkach zatliły się wyraźnie, sztucznie brukając twarz nie dobranym do tej bladości różem, a sękatę rękę pokwapiły się ku zwierciadłu, chcąc się przedostać do samego wnętrza jego ułudnie rozwartej alkowy¹⁴¹, lecz pokurczyły się tuż u wnijsia¹⁴², w tym miejscu, gdzie się właśnie nieobecność drzwi wszelakich zaczynała...

— Bóg! — szepnęła wiedźma, oczyma dowiadując się o tym, o czym obecni powiadomić swych oczu nie mogli. — Zamiast matki — Bóg w zwierciadle! O!

[Brak kilku kart rękopisu]

Oczy jej, żrenicą i białkiem usilnie wezbrane, zatoczyły po izbie krąg niewiadomy, a tak wszystko po drodze na niewidziane zagarniający, że każde z obecnych poczuło się w tym kręgu niby w miejscu, którego dotąd jeszcze w izbie nie było...

Jędrzejowa spojrzała w te oczy.

— Raz jeszcze — szepnęła niemal modlitewnie — raz jeszcze oczyma tymi świat na odchodnym ogląda, ale go już nie poznaje, bo tak się jej odmienił, że nie mogłaby dłużej w nim przebywać.

Wójt zadrżał nagle. Wydało mu się, że w tym świecie odmienionym wraz z wiedźmą teraz przebywa, czarami z nią jeszcze związany.

Z piersi wiedźmy dobyło się rżenie tak ciche i dalekie, niby obojętny jej ciała brzęk złapanego komara. A brzęk ten wystarczył, aby odąć z lekka jej wargi, które jednocześnie duszę wyzionęły.

Jędrzejowa, chustę z głowy zrzuciwszy, przesłoniła nią zwierciadło.

— Tak lepiej będzie... — szepnęła i poduszkę zdjętą z tapczana zmarłej pod głowę podesała.

— Tak lepiej będzie — powtórzyła i zamilkła.

W lepiance nastąpiła cisza, a wśród tej ciszy nagle czyhanie przedmiotów martwych na upodobnienie się im żywego ciała ludzkiego, które tu przed chwilą jeszcze panowało.

Wszystkie sprzęty izdebki zdawały się rozpoznawać i tajemnej pewności siebie nabierać. Dywan na ścianie wzmógł swoją pstrokatość i napuszył swe klomby wełniane. Chusta turecka pomnożyła liczbę złotych ósemek. Szkatuły hebanowe zwiększyły objętość i wygodnie rozparły się na kufrze gdańskim, który pośpiesznie urósł w oczach obecnych. Kwiecista serweta, kufer ów przesłaniająca, uwypukliła prześlepione dotąd kształty zwierząt nieznanych, roztasowując je kabalistycznie po swojemu, jakby znużona ich dotychczasowym układem. I gdy świecznik, niby na palcach dla rozejrzenia się po izbie wspięty, wyżej, zda się, uniósł swe światło kilkoramiennie, kot czarny, na tapczanie dotąd znieruchomiony, zeskoczył nagle na ziemię i grzbiet najeżywszy, bokiem do martwej wiedźmy się przysunął, aby u nóg jej polec w miejscu, które zapewne w jego rubinowych teraz ślepiach odpowiadało opuszczonemu przed chwilą stanowisku na tapczanie, jakby chciał w ten sposób zmianie, którą zwięszył, dawny pozór przywrócić.

— Wierności dochowuje — szepnął wójt, kota oczyma wskazując, i pomyślał, że zapewne czary, zadane mu przez wiedźmę, wraz z nią na tamten świat się przeniosły. Wójtowa brwi marszcząc, na ciało spojrzała.

¹⁴¹alkowa — pokoi, sypialnia.

¹⁴²wnijsie (daw.) — wejście.

— Nawet pomodlić się za nią nie można — rzekła z gniewnym, a świadomym swej słuszności prerażeniem, jakoby wyrzut zmarłej czyniła za to, że modlitwą obdarzyć jej nie może.

— Można! — pochwyciła Jędrzejowa. — Do dom wracajcie, a ja się za nią jako tako pomodlę. Zawiniłam przeciwko niej, żem nie chciała jej wiedzą duszy własnej zatroskać, a i przeciw tobie zgrzeszyłam, żem brzemień tej wiedzy na głowę twoją zepchnęła.

— A czemuż nie na własną? — spytała trwożnie wójtowa, którą teraz dopiero zdziwiła dawniejsza namowa Jędrzejowej.

— Nie mogłam! — odparła Jędrzejowa. — Sił zbrakło. Syna się bałam, że gdy podrośnie, matkę rodzoną za to potępi albo wyrzut jaki dozgonny uczyni. Nie znam go jeszcze, więc nie wiem, jakimi oczyma na to by popatrzył. Lecz siebie znam i wiem, że wiedzę taką zdobywszy, a nuż nie oparłabym się pokusie, bo opierać się nie umiem, dlatego też syna mam... A ty się oprzesz, boś płochliwa, i jak sarna od grzechu w bok uskoczysz.

Wójtowa o korale dłoń zagrzana ochłodziła.

— Mogłaś innym sposobem czary odegnąć? — spytała podejrzliwie.

— Spróbować mogłam — odrzekła Jędrzejowa — ale i tego nie chciałam.

Wójt ręką machnął, jakby żalowi niewczesnemu na pożegnanie.

— Czemu? — spytała wójtowa.

— Pewno bardziej o tę grzeszną niżli o ciebie strojną się troskałam. Śmierć jej była potrzebna i tę potrzebę czułam tak, jak czasem brak chleba czarnego w chałupie. Chciałam jej twymi rękami jałmużnę podać ostatnią. Głód śmierci jej doskwierał, nakarmić ją chciałam, bo znam głód wszelaki. Wiem, że ty choć narowna i niespodziana, ale dobra i serdeczna, jeno mi się wydało, że i o złych pomysłów należy. Przebacz zawczasu.

— Nie gniewam się za to na ciebie — rzekła wójtowa po namyśle.

— Do domu wracaj, a jutro przyjdę do ciebie — pocieszyła ją Jędrzejowa i twarz jej przybrała nagle obrzędowy wyraz wprawnej znachorki. — Wieczorem przyjdę i nauczę, jak się masz wiedzy nabytej pozbyć. Nauczę, jak tę wiedzę zamówić i na błota odrzucić, i na trzciny zwiać, i na głębokie wody posłać. Na wodzie ją potopisz, na ogniu popalisz, siekierami porąbiesz, nożem pokłujesz, a potem Imienia Jezusowego wezwiesz. Sam Jezus nie przyjdzie, a Imię Jego przyjdzie. I przyjście tego Imienia śpiewne będzie, i posłyszysz je, i poznasz. A na dźwięk tego Imienia kolano wszelkie upadnie: niebieskie, ziemskie, piekielne. A gdy upadnie niebieskie — uśmiechniesz się, a gdy ziemskie — westchniesz, a gdy piekielne — spłoszysz się i w popłochu onym wszelka wiedza ciebie opuści. Idź do domu, idź! Jutro wieczorem przyjdę.

— W swojej sprawie chcę jeszcze słowo powiedzieć — rzekł wójt, który uczuł nagle, że i osobę jego, i sprawę główną zaniedbano, a właściwie przemilczano. — Jak to z tymi czarami teraz będzie? Chyba już i znaku po nich nie ma?

— Ani znaku, ani śladu nie ma! — rzekła Jędrzejowa i, wskazując ciało, dodała:

— Nic nie ma, prócz ciała.

Wójt doznał takiego wrażenia, jakby mu kołtun wybujały z głowy spadł niespodzianie.

— Chwała Bogu! — szepnął. — Rażniej i swobodniej będzie człękowi na świecie bez tego brzemienia.

Wójtowa pierwsza wysunęła się z lepianki. Wójt za nią pośpieszył.

Na dworzu już będąc, usłyszeli śpiewną a szybką gawędę Jędrzejowej. Może modliła się głośno, a może sama ze sobą tak gawędziła, bo zawsze miała i sobie, i innym zbyt wiele do powiedzenia, i każdy, od niej odchodząc, czuł, że czegoś mu jeszcze domówić nie zdążyła.

Wójt gnał co sił. Wójtowa za nim noga w nogę, jak na mustrze, kroczyła.

Barwiste, a nieodczepione w oczach pozostałe wspomnienie pstrokatego wnętrza lepianki nikłym widmem dywanu przesłaniało im białosc śniegu, który w księżycu, jak dzień pochmurny, majaczył.

Wójt najczęściej ten dywan właśnie widywał, a wójtowa — serwetę.

— Czujesz wiedzę? — spytał nagle wójt i na żonę się, idąc, obejrzał.

— Czuję — odparła wójtowa i przyśpieszyła kroku.

— Trawi cię czy jeno lechce? — spytał znowu wójt i też przyśpieszył kroku, przesadzając przy tym garb śniegowy, który na drodze mu się napuszył.

Pokusa, Grzech, Wina

Głód

Zabobony, Czary

Wiedza

— Dotąd lechtała, a teraz to już i trawić po swojemu zaczyna — rzekła wójtowa i przystanęła.

— Stłum! — poradził mężnie wójt i też przystanął.

— Boję się tłumić, bo nie znam się na tym. Do jutra wołę zaczekać, aż Jędrzejowa przyjdzie — odpowiedziała wójtowa i w dalszą drogę ruszyła.

— Gdyby na mnie taka wiedza trafiła, razem ze śliną na ten śnieg bym ją wypłuł albo razem z butami zzuł i precz na śmietnik wyrzucił! — zawołał wójt z mocą i też w dalszą drogę ruszył.

— Sam tego chciałeś — odezwała się spokojnie wójtowa.

— Sam? — obruszył się wójt i dał większy, niż zazwyczaj, krok naprzód.

— Sam — powtórzyła jeszcze spokojniej wójtowa.

— Nigdy ja sam niczego nie chcę, jeno zawsze z tobą na wspólnkę. I tym razem wspólnka była, więc się jej nie wyrzekaj — odparł wójt i splunął na stronę.

Wójtowa nic nie odpowiedziała.

— Bardzo cię wzięło? — spytał wójt po chwili milczenia.

— Jużci, że wzięło! — zagadnęła szybko wójtowa, jakby tego właśnie pytania wyciekując. — Niby nic, a jednak możność czarowania już w sobie od niechcenia noszę i jeno do Boga się modlę, aby ludzi niewinnych po drodze gdzie nie wypatrzyć. A najbardziej bym znajomych spotkać teraz nie chciała.

Wchodzili właśnie do chaty.

Wójt po izbie się rozejrzał, jakby po raz pierwszy w życiu samego siebie odwiedził.

Uśmiechnął się, stwierdziwszy, iż wszystko zastał w porządku należyтым i na dawnym miejscu.

Na widok znajomego ładu sprzętów domowych dusza wójtowska rozpogodziła się i pograżyła w tym ładzie, niby w kąpielu ciepłej a niezbędnej.

— Dobrze tu i spokojnie! — rzekł wójt z dumą gospodarza, który w każdym przedmiocie dojrzały owoc pracy własnej widzi.

Wójtowa zadumana siadła w milczeniu na zydlu, a wójt do okna się zbliżył i spojrzał w świat księżycem objęty.

I znowu uwagę jego zwróciło wzgórze nagromadzonego pod oknem śniegu ze śladem stopy ludzkiej na uboczu. Światło izdebne, jak dawniej, rozwidniało sztucznym poblaskiem tę samą połąć śniegu, nadając jej alkierzową względem całości ustronność. W zagłębieniu od obcasa tkwił po dawnemu patyk, w dziurawą i niecałą czapkę zuchowato wystrojony.

Tego rodzaju patyki tak się czasem żyć i zrosnąć z miejscem potrafią, że żadnemu przechodniowi myśl do głowy nie przyjdzie, aby je ze stanowiska zajętego wykoleić.

Zdarza się wprawdzie, że nieproszony łobuz-urwipoleć pociskiem kamienia czapkę z nich strąci, nie tyle nawet dla zabawy, ile po prostu dlatego, że ujrawszy w śniegu kamień, który go korci, nie wie, do jakiego użytku mógłby ów kamień naprędce zastosować. Ale i to się rzadko zdarza, bo najczęściej taki urwipoleć patykowi owemu raczej niespodzianego łachmana ze swego przyodziewku jeszcze dorzuci, niżeli starego ujmie.

I bywa tak, że tego rodzaju patyki dopiero roztopy wiosenne pozbawiają i stroju, i stanowiska.

Wójt spojrzał na ten patyk i mimo woli doznał takiej radości, jakby ojca rodzzonego po długiej rozłące do serca przycisnął.

Przeniósł wzrok z patyka na żonę, przeciągnął się rozłożyscie i ziewnął od nadmiaru błogości.

— Żadna mię siła teraz już do tańca po polach śnieżnych nie zmusi! — rzekł z gruntownym poczuciem odzyskanej swobody i przypomniawszy sobie ów taniec, grzeszne oczy winowajcy na małżonkę w milczeniu wyrzucił.

— Brzydka ona była — rzekła wójtowa, krzywiąc się i zydel z jednego miejsca na drugie opodal przesuwając.

— Nie żyje, więc już nawet i nie brzydka. Nie ma jej, ot co! — zawołał wójt tryumfując i palec ku górze wzniesiony, niby skarb odzyskany, żonie pokazał.

Wójtowa przez chwilę na ów palec bezwiednie patrzyła.

Małżeństwo

Dom

— Jeszcze nam po niej wiedza przekłeta została — szepnęła wreszcie, uporczywie do oczu mężowskich zagładając.

— Kpię sobie z wiedzy wszelakiej! — zawołał wójt i poweselał nagle. — Teraz ja — pan i wolno mi kpić i o drogę nikogo nie pytać! Co zechcę — to zrobię, a czego nie zrobię — tego i chcieć nie będę!

A zachciało się właśnie ni stąd, ni zowąd wójtowi sprawdzić naocznie, co za cudła¹⁴³ nadprzyrodzone żona jego na śmiech odzyskanemu mężowi zmajdrować teraz potrafi.

Dopóty go ta zachcianka korciła, dopóki z izby nie wybiegł i z łopatą w ręku nie powrócił. Dwie miał łopaty — starą i nową. Nową wybrał, białą jeszcze i świeżym drzewem, niby bielizna wyprana, pachnąca.

Wójtowa na widok łopaty poruszyła się niespokojnie na zydlu i zarumieniła po uszy.

— Spróbuj! — zawołał wójt i łopatę podał pochyło, jak do jazdy.

— Czego mam spróbować? — spytała wójtowa, udając, że nie rozumie skierowanych ku niej zamiarów i, powstawszy z zydlu, usunęła się od wręczanej natrętnie łopaty.

— Niby to nie wiesz, czego masz spróbować? — odrzekł wójt, zapalczywie mrużąc lewe oko. — Zawsze domyślna, a teraz o północy w owczą skórę chce się przede mną wystroić! Ot — przekonać się pragnę, czy nie zapowietrzysz na łopacie, czy nie zapowietrzysz?

Widać wójt dotąd jeszcze w duszy resztkę wygasłego szału dopiastowywał.

— A któż to widział, aby sama wójtowa, na łopacie zapowietrzona, jeździła? — zachnęła się boleśnie dotknięta małżonka, uczuwszy się nagle — samą wójtową.

— Nikt nie widział, jeno ja właśnie chcę widzieć! — nastawał wójt. — Spróbować nie zawadzi. Prócz mnie i ciebie, żadnej innej zwierchności w izbie, chwała Bogu, nie ma. Poza izbę nie wyfruniesz. Sam ci tego zakazuję. Mało wiele pofiglujesz od niechcenia w izbie, pułapu jeno głową czy łopatą tykając, i zaprzestaniesz, a ja tymczasem popatrzę. Jakem wójt, chce mi się żonę własną choć raz na łopacie dla uciechy mojej mężowskiej zobaczyć!

— Nie będę wiedzy nabytej do łopaty bezrozumnej na śmiech ludziom stosowała — odparła wójtowa, wzruszając ramionami tak szybko i często, że aż mówić sobie samej co chwila przeszkadzała. — Znajdę lepsze dla niej zastosowanie.

— Nie znajdziesz! — zaprzeczył wójt, byle żonie zaprzeczyć.

— Znajdę! — zawołała wójtowa i nogą o ziemię tak mocno tupnęła, że bicze korallowe z szyi jej się zsunęły i musiała je dłonią, jak fałę wezbraną z jękiem, podtrzymać.

— Tupnij raz jeszcze, a na łopatę wskocz! — upierał się wójt wesoło. — Dla mnie to zrób, bo mężem twoim jestem i wiem lepiej od ciebie, czego chcę i jakie mam potrzeby. A i sama rada byś sprawdzić, czy masz siłę tajemną, czy nie masz.

— A nie nabierzesz do mnie odrazy? — spytała nagle wójtowa, przekomarzając się jeszcze i dłonią twarz zawstydzoną osłaniając.

Wójt zgadł, że rada by sprawdzić, czy ma oną siłę, czy nie ma. A jeśli nawet i nie zgadł, w każdym razie myśl trafią żonie w czas podsunał.

— Nie nabiorę! — upewnił, ręką się od domniemanej odrazy odmachując. — Pośmię się jeno i nacichnę. Raz kozie śmierć i raz wójtowi zabawa! Nigdy się dotąd nie śmiałem, służbie pilnie oddany.

— Jakżeż ja mam to do ręki wziąć? — rzekła wójtowa i stroniąc od łopaty, jednocześnie dłoń po nią wyciągnęła.

— A bierz tak, jak zawsze — odpowiedział wójt i po raz setny łopatę podał.

Wójtowa ujęła łopatę w dłoń lewą, bo w prawej bicze korali, z szyi spadłych, trzymała.

— Cóż ja mam z tym teraz robić? — spytała wójtowa, bocząc się na łopatę tak, jakby po raz pierwszy w życiu sprzęt tak dziwny i niepojęty ujrzała.

— A cóż masz robić? Okracz i już! — rzekł wójt krótko i zwięźle.

— Jakżeż ja to okraczę — rzekła wójtowa i głowę w ramionach od niedosłego śmiechu dla przyzwoitości schowała, a jednocześnie, zanim wójt stwierdzić zdążył, okraczyła mu tuż popod nosem łopatę.

— Jakżeż mam to do biegu teraz znać? — spytała bezradnie, rady zbawiennej od wójta wyczekując.

¹⁴³cudło — cudo.

— Zawołaj: „wio!” — poradził wójt. — Każda kobyła wołanie takie zrozumie.
 — Wio! — zawołała wójtowa i z przestrachem spojrzała na pułap.
 Łopata nie poruszyła się z miejsca.
 Wójtowa zawstydzila się, a i wójt doznał zawodu na widok czynu nieudanego.
 — Nie tak to łatwo, jak się zdaje — zauważył, w głowę się skrobiąc. — Widać chcesz, a łopata nie chce.
 Wójtowa pogłaskała dłonią łopatę, jak konia, który stanął przed gankiem.
 — Niech no ja tylko przypomnę sobie, jak to ona wówczas po niebie, niby zaraza rozkielznana¹⁴⁴, grasowała! — rzekła cicho i zmrużyła oczy.
 Wójt też oczy zmrużył, lecz przez zmrużone widział dokładnie, jak nozdrza wójtowej wzdeły się i rozzuchwalily, a wargi zwilgotniały nagle i rozwarły się luźne a chciwe...
 — O, tak, tak! — szeptał zachęcająco.
 — Tak, tak! — powtarzała wójtowa, kurczowo ściskając łopatę, jakby dusiła szyję mdlejącego ląbędzia...
 — Teraz powiedz: „wio” — poradził znowu wójt i otworzył oczy.
 — Wio! — szepnęła wójtowa i biczami koralu łopatę z brzękiem uderzyła.
 Łopata i tym razem nie poruszyła się z miejsca.
 Wójt posmutniał.
 — Pewno ci się wiedza nabyta zmąciła jakoś we łbie, albo i po twojemu przeinaczyła — rzekł i głową własną, na myśli mając głowę żoniną, pokiwał.
 — A może nawet nie wysłuchałaś jej należycie i zastosować teraz nie potrafisz. Mów, co ci wiedźma gadała!
 — Trudno mi to opowiedzieć, bo słuchając, aż zawrotu głowy dostałam — tłumaczyła się wójtowa, oddając mężowi łopatę. — Straszno mi się zrobiło i sama już nie wiem, co mi wiedźma do ucha szeptała...
 Wójt pomyślał, spojrzał na żonę i jeszcze raz pomyślał.
 — Może to i lepiej — rzekł wreszcie z westchnieniem. — Kto wie, jakich głupstw — nie daj Boże — napłodziłabyś jeszcze, wiedzę taką naprawdę posiadając i tą wiedzą ludzi, po drodze spotkanych, trapiąc rozmaicie. Ani mnie, ani tobie wiedza taka nie przystała.
 I nagle na twarzy wójta zjawił się dawny, a zaniedbany od pewnego czasu wyraz służbistego zastanowienia i statku. Zdawało się, iż sam siebie w tej chwili do wzięcia w posiadanie osoby swej własnej ośmiela i upoważnia. Uczuł, że po długim wykojeniu wraca do zachwianego na ziemi stanowiska.
 Wójt znowu stał się wójtem.
 — Może to i lepiej — powtórzył głośnie, donioślejszą treść nadając tym samym wyrazom. — Co było, to minęło, i wara mu nas niepokoić!
 Wójtowa, patrząc na odrodzonego męża, odzyskała nagle zaniedbane w ostatnich czasach, a zapożyczone ongi od dwóch z dała widzianych panien ze dworu, ruchy, powabu pełne i przewłoki.
 — Już i spać pora — rzekła, z dawną wprawą tych ruchów zażywając.
 — Pora — potwierdził wójt.
 I gdy wójtowa, stanik na piersi rozluźniając, do izby przyległej się udała, zdawać by się mogło, że aż dwie panny ze dworu, niezupełnie ze sobą pogodzone, do wnętrza izby, wójta wyprzedzając, wkroczyły.
 Wójt w ślad za żoną podążył.

Pozory, Urzędnik

¹⁴⁴rozkielznany — pozbawiony wędzidla; rozzuchwalony.

Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-polskie>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, *Klechdy polskie*, Pax, Warszawa 1978

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Szostak, Aleksandra Sekuła, Aneta Rawska, Dorota Kowalska, Hanna Gąssowska, Justyna Lech, Marta Niedziałkowska, Roksana Trojak, Sylwia Wnorowska, Weronika Trzeciak, Wojciech Szczęsny.

Okładka na podstawie: [slightly everything@Flickr](mailto:slightlyeverything@Flickr), CC BY 2.0